

EWA PRZYDRYGA

POMORNICA

*Pomornicy strzeż się, dziecię,
gdy cię wybierze, toś martwy,
nie skryjesz się nigdzie na świecie.*

EWA PRZYDRYGA

POMORNICA



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Tomasz Majewski*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczkańska, Beata Kozieł*

Zdjęcie wykorzystane na okładce:

© saphnik/iStock by Getty Images

© by Ewa Przydryga

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2450-1

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

*Dla Megi,
mojej Zielonej Siostry.
Dobrze jest mieć Ciebie w swoim życiu.*

*Nie stajemy się oświeceni, wyobrażając sobie światło, lecz czyniąc
ciemność świadomą.*

CARL JUNG

Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Epilog

Podziękowania

Prolog

Wciąż słyszę jej głos. Wydobywa się z zardzewiałej puszki, początkowo jest taki jak przed chwilą – stłumiony i nieśmiały. Obły. Ale to się wkrótce zmienia. Jej urywane słowa rozzuchwalają się tak bardzo, że w mgnieniu oka odzyskują swoją moc. Ten cholerny wigor, który sprawia, że ona ma nade mną pełną kontrolę. Jest nawet gorzej niż zwykle. Jej zaklęcia terkoczą mi w uchu, a stamtąd wślizgują się coraz głębiej, do samego środka pulsującej od jej nakazów głowy. W mój mózg wwierca się szkło. Szkło jej słów.

Nastka, Nastka!

Nastka, chodź!

Podjudza mnie. Złowieszczo chichocze.

Nastka, zrób to, ty tchórze! Nie bądź luzerką!

Luzerka, frajerka. O tobie mówię, śmierdzący tchórze!

Niedojda!

Znów jątrzy.

Nastka! No weź!

Nie daj się prosić!

Zrób to!

Tym razem zmienia ton. Z prześmiewczego na przymilny.

Zróbmy to razem!

Jest obrzydliwy i śliski, taki sam, jak ten pełzający po mojej skórze owad. Ranna ćma o podłużnym włochatym odwłoku i czarnych szeroko rozpiętych skrzydłach. Skąd ona się tu wzięła, tak nagle, tak niespodziewanie?

Niech już przestanie, do cholery! Niech w końcu się zamknie! Niech przestanie mi to wszystko robić!

Strząsam z siebie jej głos. Wraz z nim z mojego ramienia znika ćma. Oddycham z ulgą.

W sypialni na poddaszu wciąż panuje ten sam nieznośny upał. W milczeniu przemierzam pokój, schodzę na parter i, by nikogo nie obudzić, cicho odryglowuję drzwi i zostawiam je otwarte. Ubrana tylko w lepiącą się do mojego ciała koszulę nocną, wychodzę na oświetlony ganek. Nasz ogród zanurzony jest w kojącej ciszy i połyskujących cieniach chłodnej nocy. Jest trochę tak, jakby ktoś ogarnięty szałem rozlał wokół mnie atrament i zmieszał go ze srebrnoszarymi drobinkami brokatu. Są dosłownie wszędzie. Na wyginających się od podmuchu wiatru gałązkach, pod moimi stopami, na deskach tarasu.

Mała, kłamliwa suka. Bo wbrew temu, co zapowiedziała, tutaj jej nie ma, tutaj nikt nie trajkocze. A przynajmniej początkowo tak mi się zdaje, dopóki po drugiej stronie płotu coś cicho nie zaszeleściło. Czyli jednak jest tu, gdzie obiecała. Rozproszone światło wytycza mi dobrze znaną już ścieżkę. Podążam nią. Ziemia grząska po niedawnym deszczu zapada się pod stopami, wciska w szczeliny między palcami, przyjemnie chłodzi. Ale we mnie rośnie niepokój, zmieszany w równych proporcjach z podnietą. Nie pierwszy już zresztą raz kierują moimi działaniami.

Kiedy docieram do płotu, wciągam powietrze i czuję przyspieszający nagle puls. Rytmiczne uderzenia w czaszce, skroniach, klatce piersiowej, na szyi. Przesuwam sztachetę, tę największą i jedyną ruchomą, a następnie zwinnie przechodzę na drugą stronę płotu. To tam go widzę, w świetle papierowych lampionów rozstawionych na ganku i wzdłuż kamiennej ścieżki. Jest tylko on i te otaczające go stare drzewa z łuskowatymi zgrubieniami na korze. Wyglądają jak zmrużone ślepia jakiegoś stwora. Łypią na mnie wściekle. Osądzają mnie. Mnie, a może nawet i jego.

Podeszwy jego białych adidasów są ubłocone nie mniej niż moje stopy. Ma na sobie żółtą wiatrówkę z granatowym logo Lakersów naszytym na plecach. Nie zauważa mnie. Nie może. Nie potrafi. Już nie. Srebrny brokat rozsypuje się przed moimi oczami, jeszcze bardziej napiera na ciężkie, wciąż zaspane powieki. Zamykam oczy, by strząsnąć i ten obraz, ale brokatu jest coraz więcej. Dosłownie sypie się z nieba. Po chwili przeistacza się w inną lśniąca szarość. Płaską szarość, groźną szarość o ostrej, zwężającej się ku górze metalicznej krawędzi. Ostrze noża. Mojego bushcraftowego noża z ręcznie rzeźbionym trzonkiem. Mam go na wyciągnięcie ręki. Na jego widok zawsze aż swędzą mnie palce. W sytuacjach takich jak ta czuję w sobie to dobrze znane mrowienie, które i tym razem nie zwiastuje niczego dobrego. Wypełnia mnie siłą. Tą samą siłą, do której nie mam na co dzień dostępu. Zwykle

hamuje ją ciężka zasuwa. Czuję, jak wraz z przyływem siły nerwowo drga mi powieka. Raz, drugi i trzeci.

Ruchome ostrze zakończone ząbkami, zgrzyt, ruchome ostrze, rozlana pod palcami wilgoć, kolejny zgrzyt. Wszystko dzieje się tak szybko, że zupełnie nie koduję zmieniających się obrazów. Puls w moich skroniach szaleje. Jeśli wtedy tylko galopował, to teraz przyspieszył jeszcze bardziej. Zamykam oczy, by strząsnąć z siebie kolejny obraz. Kiedy je ponownie otwieram, widzę tylko swoje palce. Nic więcej. Oblepia je szeleszcząca czerń. To te same co poprzednio czarno--szare skrzydła pokryte drobnymi łuskami i włochaty odwłok, tylko tym razem zwielokrotnione. Ćmy. Dziesiątki, a może nawet setki. To na pewno ona je przysłała. Kilka wspina mi się na twarz i próbuje wcisnąć do nosa i gardła. Wzdrygam się. By się ich pozbyć, zaciskam powieki, pod którymi wykwitają natychmiast geometryczne kształty. To zawsze pomaga. Okręgi, trójkąty, kwadraty. Jedne przechodzą w drugie. Intensyfikują się. Potem bledną, a na końcu całkiem blakną. I tak od nowa.

Kiedy na powrót otwieram oczy, ciem już nie ma. Ani jednej. Ale palce wciąż są wilgotne i lepkie. Spływa z nich krew. Jest wszędzie. Na koszuli nocnej, na stopach, na szyi leżącego na ziemi chłopaka, nad którym kucam. Pod jego głową. Tam jest jej najwięcej. Policzek ma przyciśnięty do ziemi, z ust sączy się strużka pienistej krwi, jeszcze ciemniejszej niż ta na moich rękach, niemal bordowoczarna. Białe adidasy. Białe adidasy zanurzone są w czarnej ziemi, otwarte oczy wpatrzone w pustkę. W nicość. W czarną dziurę nieba.

Wiatr przybiera na sile. Wprawione w ruch gałęzie drzew pochylają się nad moją głową i gniewnie huczą.

Filip Kalinowski.

Zasłaniam dłońmi uszy, wciskam w nie oba wskazujące palce, ale to i tak nie pomaga. Drzewa wciąż huczą. Huczą wściekle, a ja dobrze je słyszę, choć wcale tego nie chcę.

Filip Kalinowski nie żyje.

Pieprzone ględy.

Wiesz, co się stało. Wiesz...

– Nie! – odkrzykuję ze złością. Obracam się wokół własnej osi i z nienawiścią ciskam kolejne słowa. Ale one giną w pustce nocy. Nikną. – Nic nie wiem. Nic nie pamiętam. Nic! – zarzekam się.

Kłamczucha... – odwarkują. – Wstrętna kłamczucha...

Dźwigam się z ziemi, jestem odbitką krwawej pieczęci jego ciała. Cała nią jestem. Jego krwią. Uciekam przed nimi – tymi wściekłymi drzewami, i przed tym martwym chłopakiem. Po drodze gubię okulary, bez których jestem praktycznie ślepa. Kucam, przeszukuję po omacku ziemię wokół siebie. Krew miesza się z nią. Czerwień miesza się z czernią. W końcu je znajduję i nasuwam na nos.

Przyspieszam.

Stuk.

Ruchoma belka.

Szuuuu.

Stopy suną po grząskiej ziemi.

Szur, szur, szur.

Szurają po tarasie.

Stuk, stuk, stuk.

Wspinają się po drewnianych schodach.

Kiedy wracam do łóżka, nastaje martwa cisza. Chowam się w niej głęboko pod kołdrą. Ale tylko na chwilę. Potem deski podłogowe znów skrzypią...

Rozdział 1

Maj 2022

– Julka, nie mów, że nadal go tam widzisz.

Z zamyślenia wyrywa mnie głos mamy. Uzmysławiam sobie, że wpatruję się w miejsce, gdzie kończy się nasza posesja przy ulicy Iglanej na gdyńskich Działkach Leśnych, w wąski porośnięty trawą pasek ziemi i przylegającą do niego rabatę. Od sąsiada odgradza je nowy lamelowy płot z belek.

– Mówię o tym zamordowanym chłopaku – ciągnie.

Przenoszę wzrok z pustej, niezagospodarowanej jeszcze kwiatowej rabaty na mamę. W biało-granatowej sukience w bratki i słomkowym kapeluszu przewiązanym beżową wstążką wygląda na dużo młodszą, niż jest w rzeczywistości. A przede wszystkim na wypoczętą i odprężoną. Ale to zmieniło się niedawno. Jeszcze kilka lat temu cała była jakby szara i złamana. Pełna cieni. W zasadzie była taka całymi latami.

– On nazywał się Filip Kalinowski, mamó – mówię, a niewypowiedane od dawna słowa palą mnie w gardle.

– Nie możesz wprowadzać się do nowego domu ze starymi duchami. To było szesnaście lat temu.

– Słyszałaś, że ona niedawno wyszła ze Srebrzyska? – pytam i sonduję reakcję mamy.

– Kto? Anastazja? – bardziej stwierdza, niż pyta.

Kiwam głową.

– Nie wypuściliby jej, gdyby stanowiła jeszcze jakieś zagrożenie. To nie ma nic wspólnego z nami. – W głosie mamy słyszę niezachwianą pewność. – Ani nawet z tym ogrodem. – Mama wskazuje czubkiem brody tamto miejsce. Tę niewielką prostokątną wnękę, w której znaleziono ciało zadźganego chłopca. – Chodź, wypakujemy resztę rzeczy z ostatniego pudła – proponuje i z werwą przemierza krętą dróżkę ułożoną z niewielkich kamieni.

Do mojego nowego domu wchodzimy przez duże przeszklone drzwi. Na chwilę zatrzymuję się przed nimi, widząc swoje odbicie, które nieco fałszuje rzeczywistość. Moja cera zawsze była śniada, delikatnie nakrapiana piegami i nieodporna na dotyk. Każde zadrapanie albo niewielki siniak zostawały na długo. Ale w tym odbiciu wydaję się sobie inna, wręcz półprzezroczysta. Jestem szczupła i dość niska. Ludzie mówią, że delikatna i krucha. Podobno widać to w moim spojrzeniu i głęboko osadzonych, jasnoniebieskich oczach. A wcale taka nie jestem. Już nie. Od dawna się tak nie czuję. Wygładzam dłonią długą gęstą grzywkę i kasztanowe włosy sięgające za ucho. Potem zaciskam usta, by lepiej utrwalić nałożoną niedawno bordową pomadkę. Nigdy się z nią nie rozstaję.

Naciskam kłankę i wchodzę do środka. Prosta, złożona z kilku prostopadłościanów bryła umożliwiła mi przearanżowanie domu rodzinnego według własnej wizji. Omal go kiedyś nie straciliśmy. Lata temu, kiedy kredyt zaciągnięty na leczenie mojego brata Janka nie został w porę spłacony, a nadgodziny ojca nie wystarczyły, dom został zlicytowany. Od odebrania go naszej rodzinie ocalił go mój dziadek, który w przetargu złożył najwyższą ofertę. Ale tamto zdarzenie okazało się dla całej naszej rodziny niedźwiedzią przysługą. Pogorszyło tylko i tak nie najlepszą już relację dziadka i ojca. Ojciec nie chciał czuć się utrzymankiem teścia, który był formalnie właścicielem domu, więc uniósł się honorem i wyprowadził, zabierając ze sobą moją matkę i mnie. Janek już wtedy nie żył. Słowo „zabierając” najlepiej obrazuje relację rodziców w tamtym czasie. W pewnym momencie, szczególnie tuż po śmierci Janka, moja mama była od ojca całkowicie zależna i całkowicie mu podporządkowana, choć brakowało w tym jakiegokolwiek emocjonalnej więzi. Nie wspominając już o głębszym uczuciu. Na tamtym etapie łączyło ich głównie przyzwyczajenie. Dom przy ulicy Iglanej 17 stał więc latami pusty. Nikt tam nie wpadał, nikt nie próbował tchnąć w niego nowego życia. Nikt z nas tego nie potrafił. Zbyt wiele mroku tam pozostawiliśmy.

Dziadek przepisał mi dom cztery lata temu, ale nie chciałam mieszkać w nim sama, z pozostawionymi tu trudnymi wspomnieniami. Poza wspomnieniami o śmierci Janka pod powiekami wciąż nosiłam jeszcze inny obraz. Był na nim martwy chłopiec, przyjaciel mojego brata, leżący pod jabłonią z roztrzaskaną czaszką i poderżniętym gardłem. Już nigdy nie potrafiłam spojrzeć na ogród tak samo jak wcześniej. Nie pomogły nawet świeżo zasadzone rośliny. Nie pomógł zrekułtywowany trawnik. I dopiero

niedawno, na kilkanaście tygodni przed naszym ślubem, zdecydowaliśmy się z Wiktorem jednak tchnąć w ten dom nowe życie. Zasługiwał na nie.

Kiedyś było tu wiecznie ciemno. Przez rosnące w ogrodzie lipy i niewielkie okna do środka ledwo przesączało się mdłe światło. Teraz to się zmieniło, choć kredyt zaciągnięty na kosztowny remont będziemy spłacać jeszcze przez długie lata. W tym domu było zbyt wiele trupów w szafie. By móc tu mieszkać, musiałam się ich wszystkich pozbyć. Oczyszczyć szafy raz na zawsze. Duże przeszklenia, czyli dwie przeciwległe ściany na parterze, otworzyły nową przestrzeń, ale przede wszystkim doświetliły salon i kuchnię. Swoje zamiłowanie do natury, prostoty i względnego minimalizmu muszę jednak godzić z zamiłowaniem mojego męża do antyków. Tym właśnie Wiktor się zajmuje. Sprzedają antyków i numizmatów. Prowadzi dom aukcyjny. Z pewną obawą pozwoliłam mu wypełnić nasz salon biedermeierowskimi meblami. Są bezsprzecznie piękne, ale czuję, że wnosząc je do domu, wnieśliśmy tu też jakąś część ducha poprzednich właścicieli. Kompromis. Tego też wciąż się uczę.

Mój zawód jest w pewnym stopniu pokrewny. Jestem architektką wnętrz, a Viral, czyli nasze prowadzone z koleżanką biuro projektowe, działa na rynku od trzech lat. Niewielka idea, w którą zainwestowałam wszystkie odziedziczone po babci pieniądze, rozrosła się do pięcioosobowego teamu zapaleńców, wzajemnie się uzupełniających. Poza mną i Aliną w naszym zespole pracuje troje młodych absolwentów ASP. Lubię swoją pracę. Nie jest jednostajna i wymaga ode mnie nie tylko kreatywności, ale i znajomości psychologii. Nie zawsze klient przychodzi do nas z konkretnymi oczekiwaniami. Staje się wtedy dla mnie otwartą księgą, którą mogę czytać i której myśli mogę dowolnie modelować. W moim życiu kreatywność i psychologia zawsze szły w parze. Już od najmłodszych lat byłam twórcza, a psychologia należy do moich głównych zainteresowań.

– Gdzie mam je włożyć? – To znowu moja mama. Jej głos dobiega zza schodów prowadzących na antresolę.

– Do kuchennego kredensu – mówię, zauważywszy, że trzyma w rękach porcelanowe talerzyki. Wniosła je w posagu moja prababcia Zdzisia. Są w naszej rodzinie od ponad stu lat. Odbieram je od mamy i zanoszę do kuchni.

Kiedy do niej wracam, mama milczy. Z jej policzków odpłynęły rumieńce, twarz wygina grymas bólu. Znow pojawiła się ta sama znajoma szarość.

Mama trzyma kurczowo w dłoniach zdjęcie oprawione w prostokątną ramkę. Patrzy z niego Janek.

– Nie wiem, co go ciągnęło do tej elektronicznej muzyki. To były tylko jakieś upiorne brzdęki. – Krzywi się. – Tak pięknie grał na skrzypcach, to był prawdziwy artyzm, to był prawdziwy on – dodaje z tęsknotą połączoną z jakąś nadmierną emfazą. – Nie wiem, dlaczego z tego zrezygnował. Osiągnął tak wiele...

– Grał na skrzypcach, bo to ty tego od niego oczekiwałaś – prostuję. Teraz to ja się krzywię. – A komponował muzykę elektroniczną, bo to kochał. To do tego miał serce. Właśnie to dawało mu radość – podkreślam.

Obie wpatrujemy się w mojego uśmiechniętego brata. Siedemnastolatek z aparatem na zębach i naciągniętą na czubek głowy baseballówką otoczony sprzętem do produkcji muzyki. Dwa podniesione w górę kciuki i zawadiacki błysk w oku. Kontrolery, kompresor, interfejs audio, wirtualne suwaki na monitorze komputera. To zdjęcie z czasów, kiedy promieniał energią, a jego pokój przypominał jeszcze zwykły pokój nastolatka. Wkrótce potem zamienił się w sterylną salę wypełnioną pikającym nieustannie sprzętem do drenażu oddechowego. Tylko Janek się nie zmienił, choć nie wiem, skąd czerpał tę wolę walki. Zarażał optymizmem i radością, chociaż stawał się coraz bardziej kruchy, a ona obrastała w siłę. Śmierć. Bo to ona coraz łapczywiej wyciągała po niego ramiona. Aż w końcu go dopadła.

– Chodź, zawiesimy to na piętrze – proponuję, kiedy widzę, że oczy mamy się szklą. Naprędce zabieram ze sobą jeszcze jedną fotografię, którą wyciągam z pudła.

Wspinamy się po krętych schodach, mijając po drodze jedyny pokój, który od lat prawie się nie zmienił. Jedyny, którego drzwi wciąż pozostają zamknięte. Klamkę pokrywa cienka warstewka kurzu.

W końcu stajemy pod jasną beżową ścianą, która odbija światło. Na jednym z zamocowanych tam haczyków wieszam zdjęcie i opuszką palca gładzę twarz brata. Obok Janka umieszczam inne, oprawione w ramkę wspomnienie sprzed zaledwie dwóch miesięcy. To nasza ślubna fotografia. Moja i Wiktora.

– Zobacz, musiał odlecieć jakimś dzieciom – słyszę głos mamy. Jest czymś zaintrygowana.

Kiedy się odwracam, widzę, że jest przechylona przez szklaną balustradę schodów i przez panoramiczne okno przygląda się czemuś, co najwyraźniej właśnie dzieje się w ogrodzie. I ja próbuję to zobaczyć. Stara jabłoń, na której wciąż zamocowany jest szkielet domku na drzewie, kilkanaście jeżówek i drewniana ławka z fabryki mebli mojego dziadka. Sterta wyrwanych wczoraj chwastów. Tylko to. Nie widzę nic więcej.

– Tam, pod płotem – mówi.

Kucam, by móc zobaczyć to, co wskazuje mi mama. W miejscu, na które patrzyłam nie dalej niż kilka minut temu, gdzie kiedyś leżały zwłoki Filipa Kalinowskiego, coś szarpie się na wietrze. Zaczepiony o gałąź żółty balonik. Przyglądam mu się dłuższą chwilę.

– Nie uciekł dzieciom – mówię, czując pełzające po plecach ciarki.

Czekam, aż znów dojrzę to, co zauważyłam przed chwilą. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że widzę w baloniku coś dziwnego. Niepokojącego. Może się pomyliłam, może niepotrzebnie się nakręcam. Może...

– Nowożeńcy – odczytuje na głos mama, kiedy balonik znów obraca się przodem. – Dziwne...

Na baloniku faktycznie widnieją litery układające się w to właśnie słowo. Są czarne, rozmazane, ledwie czytelne i wyjątkowo szkaradne.

– Może to któryś z waszych znajomych? Albo Wiktor? – pyta mama i marszczy brwi. Sama w to nie wierzy.

Kiedy wiedziona złym przeczuciem zbiegam schodami na parter i wychodzę na taras, widzę, że w ogrodzie nic się nie zmieniło. Nikogo tam nie ma. Żadnych świeżych śladów obuwia. Kilka kolejnych kroków i jestem na miejscu.

Dalsze oględziny szybko potwierdzają to, co podejrzewałam. Połączony z balonikiem sznurek nie zaczepił się o gałąź przypadkowo. Został do niej przywiązany. Oglądam balonik, szukając na nim jakichś wskazówek, ale niczego nie znajduję. Zauważam jedynie, że litery zostały naniesione markerem i, nim zdążyły zaschnąć, czymś je przetarto.

– Przekłuj go – rozkazuje mama, która wyrasta przede mną jak spod ziemi. – Coś jest w środku.

Dopiero wtedy zauważam niewielki zwitek papieru, który osiadł na dnie, wewnątrz czaszy balonika, tuż nad przewiazanym przy ustniku sznurkiem.

– Nie. Lepiej go nie niszczy – mówię, biorę balon do ręki i powoli rozsupłuję sznurek. Ale palce nie są mi posłuszne. Gubią się i płaczą. Kurwa.

Kiedy sznurek wreszcie puszcza, powietrze ulatnia się z balonika z głośnym sykiem. Przez chwilę mocuję się z wystającą z ustnika karteczką. Wreszcie ją wyszarpuję. Po rozłożeniu okazuje się nią wizytówka.

– Co na niej jest? – szepce mi do ucha mama. W TYM miejscu i TYCH okolicznościach ona też się niepokoi. Jej oddech jest przyspieszony, podobnie jak mój.

Motel Ranczo, Adama Dickmana 122, 81-122 Gdynia

W szare tło niewielkiego kartonika wpisane jest także prostokątne logo z piktogramem osiodłanego konia.

– To taki obskurny motel na Obłuzu nieopodal stadniny koni – wyjaśniam, wracając pamięcią do niedawnej sytuacji.

– Skąd wiesz?

– Nocowaliśmy tam z Wiktorem jakieś dwa tygodnie temu, kiedy robotnicy usuwali tutaj awarię wodociągową – wyjaśniam mamie. – Pamiętasz?

– W takim razie to jednak pewnie on. – Twarz mamy nieco się rozchmurza. Rysy łagodnieją. – To znaczy Wiktor. – Kiwa sugestywnie głową. – Spójrz na drugą stronę. – Stuka paznokciem w wizytówkę.

Obracam kartonik w palcach. Na widok naniesionej odręcznym pismem wiadomości oblewa mnie zimny pot.

22 maja, godzina 19.00 <3

Pokój nr 3

I kolejne koślawe, odręcznie narysowane serduszko.

<3

– To nie Wiktor – stwierdzam.

– Dlaczego?

– To nie jego pismo. Poza tym Wiktor nie chciałby mnie tam zapraszać, a tym bardziej w tak dziwaczny sposób. Jest tam brudno i koszmarne, w tym motelu. A i tak to naprawdę nic w porównaniu z bezpieczeństwem. A raczej

z jego brakiem. Ktoś z naszego zamkniętego pokoju ukradł wtedy Wiktorowi trochę gotówki. Niewiele, ale jednak. Potem okazało się, że drzwi niby nie zostały przez nas zamknięte. Niby to my nie zabezpieczyliśmy właściwie dostępu do pokoju. Niby – powtarzam z ironią. – Tam nie ma żadnych kamer, czyli wiesz, *dead end*... Wiktor wie, że moja noga już nigdy nie postanie w tym miejscu. Jego zresztą też.

– Nic mi o tym nie mówiłaś – stwierdza ze zdziwieniem mama. – Powiadomiliście policję?

Nie odpowiadam. Głowę zaprzatają mi inne myśli. Złe przeczucia.

– Wracamy? – pyta mama, kiedy widzi, że kieruję się w stronę domu z balonikiem w ręku. Idzie za mną. Odkładam balonik na stół, a wizytówkę wsuwam do kieszeni. Z kredensu ściągam kluczyki od wozu, a z oparcia krzesła torebkę. Zakładam ją na ramię, sprawdzając, czy atomizer z gazem jest na swoim miejscu.

– Dokąd się wybierasz?

– Jadę tam – oznajmiam. – Dochodzi osiemnasta. Ktokolwiek napisał wiadomość na tej wizytówce i powiesił ją w ogrodzie, może tam na mnie czekać za godzinę.

– Albo i nie – dopowiada mama jakoś złowróźnie. – Zostaw to. To jakiś głupi żart.

– Nawet jeśli, to chcę wiedzieć, kto za nim stoi. I dlaczego ktoś zaczepił balonik na tym cholernym konarze, pod którym leżał martwy Filip. – Zatrzymuję się na progu w drzwiach frontowych. Ale nie wiem, czego tak naprawdę mogę się spodziewać, chyba jeszcze nie jestem gotowa do konfrontacji. Trudno.

– Lepiej pojedź z tobą – nalega mama.

– W ciągu godziny mają przywieźć resztę naszych rzeczy. Zostań – upieram się. – Zadzwoń. Tylko sprawdź, o co chodzi – dodaję uspokajająco. Ale to, co mówię, brzmi jakoś niewiarygodnie nawet dla mnie samej.

W drodze na Obłuże próbowałam kilkakrotnie połączyć się z Wiktorem, ale na próżno. W zasadzie wcale mnie to nie dziwi. Czwartkowe popołudnia mój mąż często spędza z kumplami na brydzu, w jakimś piwnicznym

pomieszczeniu z zerowym zasięgiem. Na kilka godzin nie ma go wtedy dla świata, nawet dla mnie. W tym tygodniu planował taki wypad do Gdańska.

Zza przedostatniego zakrętu powoli wyłania się prosta bryła motelu. To prostokątny dwukondygnacyjny klocek w szpetnym musztardowym kolorze. Toporne metalowe schody łączą po obu stronach parter z pierwszym piętrzem. Jest wciąż widno, ale przymocowane do elewacji czerwone neony już oświetlają fasadę. Zamiast dodać motelowi uroku, tylko podkreślają jego brzydotę. Inne, mniejsze, migające czerwono-niebieskie światło pobłyskuje z jakiegoś niewidocznego na razie punktu. Ale to zapewne mieszczący się obok motelu parking. Biorę ostatni zakręt i wtedy moje przypuszczenia się potwierdzają. Niestety. Wszystkie miejsca parkingowe są zajęte, w tym dwa przez policyjne radiowozy. Na ich widok w przetyku czuję ołowianą kulę. Nieoznakowany samochód z migającym na dachu kogutem zaparkowany jest przed samym wejściem. Drzwi są otwarte na oścież. Mam nieodparte wrażenie, że cokolwiek się tam dzieje, ma to związek ze mną, z balonem i pokojem numer trzy. Pieprzona intuicja.

Zostawiam samochód przy drodze i z sercem tłukącym się w piersiach kieruję się w stronę wejścia. Zauważam wtedy dwóch nastoletnich chłopców ciekawsko zaglądających przez płot. Zmierzająca w ich stronę kobieta z aktówką w ręku gestykuluje i każe im się odsunąć. Niewielka grupka gapiów, a może gości, stoi obok szczupłego mężczyzny w okularach o beznamietnym wyrazie twarzy. Podobnie jak tamta kobieta, on też wygląda na glinę, choć nie ma na sobie munduru. Ale moją uwagę szybko odwraca głośny stukot obcasów.

W przeszklonych drzwiach motelu, pod eskortą kobiety i mężczyzny o jednakowo twardych i czujnych spojrzeniach, staje młoda dziewczyna. Przypomina mi zaszczute zwierzę. Ledwo trzyma się na nogach. Powoli stawia chwiejne kroki. Ma na sobie obszerny biały szlafrok z naciągniętym na głowę kapturem, w którym cała tonie. Nie widzę jej twarzy, tylko duże przekrwione oczy. Jest w nich zapisany ból i śmiertelne przerażenie. A może wyrządzona jej krzywda? W pewnej chwili, gdy podtrzymywana przez policjantkę potyka się o stopień, kaptur zsuwa jej się z głowy, odsłaniając siniaki i rozharatany policzek. Zauważam, że na wysokości piersi jej szlafrok jest ubrudzony krwią. Widać sporą jaskrawoczerwoną plamę. Nim zdążę podejść bliżej, dziewczyna znika w zaparkowanym przed motelem wozie, przy czym, mimo pierwszego wrażenia, robi to zadziwiająco sprawnie. Wóz rusza.

Korzystając z tego, że nikt mnie nie zatrzymuje, wchodzę do motelu. Przy ladzie recepcyjnej spotykam emanującego pewnością siebie postawnego faceta. To na pewno glina. Jest w cywilnych ciuchach, więc to pewnie dochodzeniowiec albo operacyjny. Wyłapuję strzępki rozmowy między nim a przestraszoną młodą recepcjonistką. Ignorując moją obecność, facet pyta ją o księgę meldunkową i rejestr nagrań z monitoringu. Jeszcze nie wie, że niczego takiego tutaj nie ma. Najwyraźniej motel nie jest zamknięty, bo, ku mojemu zaskoczeniu, nikt mnie nie zatrzymuje. Podążając za strzałkami wskazującymi rozmieszczenie pokoi, od jedynek do czwórek, skręcam w lewo. Pod butami mam znajomy, cuchnący kurzem i brudem oliwkowy dywanik. Na jego końcu, a jednocześnie na końcu długiego ciemnego korytarza, raz po raz błyska jasne światło. Dobiegają stamtąd jakieś mechaniczne dźwięki. Szmery. Im bliżej jestem końca korytarza, tym bardziej dotkliwy i nieprzyjemny staje się też zapach. To kwaśny odór chemikaliów. Chyba. Mijam jedynekę i przeciwległą do niej dwójkę. Oba pokoje są zamknięte. Już tylko kilka kroków dzieli mnie od trójki. Kilka kroków i narastający strach. To stamtąd, z ostatniego pokoju po lewej, wydobywa się światło, smród i te ostre dźwięki. Dwa kroki. Jeszcze tylko jeden. I...

I wtedy drogę zagradza mi wysoki cień. Staje za biało-czerwoną policyjną taśmą. Cień szybko przybiera postać mężczyzny koło czterdziestki, który ledwie mieści się w drzwiach. Na odsłoniętych ramionach ma tatuaże, a przez jego szyję przechodzi długa, zygzakowata blizna. Ma łagodne, brązowe oczy i delikatne rysy twarzy, zupełnie niepasujące do jego wyglądu.

– Tutaj nie wolno wchodzić – mówi stanowczym tonem.

Usiłuję wykorzystać ten moment. Przechylam głowę, by dojrzeć, co dzieje się w pokoju. Ale niewiele tam widzę – tapetę ze spłowiałym wzorem w jodełkę i ubranego w żółtą kamizelkę technika, w którego rękach błyska lampa. Tamten ostry dźwięk to pewnie był odgłos jego aparatu.

– Co się tutaj stało? – pytam. Niechętnie przenoszę wzrok na glinę. Staram się coś wyczytać z jego twarzy.

– Prowadzimy działania operacyjne – odpowiada facet lakonicznie. Stanowczym ruchem ręki nakazuje mi wyjść.

Nie ruszam się z miejsca.

– Miałam przyjść o dziewiętnastej. Właśnie tutaj. Do tego pokoju – mówię z przejęciem. Na potwierdzenie swoich słów z kieszeni spodni wyciągam wizytówkę. Pokazuję mu ją.

Wtedy w jego twarzy coś się zmienia.

– Kto to pani dał? – pyta, zerkając na kartonik. – I jaki dokładnie jest pani związek z tym pokojem? – Marszczy czujnie brwi.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Nie wiem, co tutaj robię. – Policjant rzuca mi zagadkowe spojrzenie.

– Co to znaczy? Co znaczy, że pani nie wie?

Przenoszę swój wzrok na wizytówkę.

– Znalazłam ją w swoim ogrodzie ukrytą w jakimś koszmarnym baloniku.

– Proszę chwilę poczekać. Musimy panią przesłuchać. Jak się pani nazywa?

Wykorzystuję kolejnych kilka sekund i to, że operacyjny się nachyla. Przez chwilę skupia się na wibrującym w kieszeni telefonie. Wyciąga go i wycisza albo odbiera. Sama nie wiem. Teraz mnie to nie obchodzi. Dzięki lepszemu polu widzenia zauważam, że technik w kamizelce nie jest w pokoju sam. Naprzeciwko niego, pochylony nad zmiętą na łóżku kołdrą, stoi drugi funkcjonariusz. Czemuś się przygląda. Podążam za jego wzrokiem. Do wezgłowia łóżka, a dokładnie do jego metalowych sztachet, przyczipione są dwa skórzane pasy zakończone metalową obejmą. Nieco niżej, na poduszce i kołdrze, zauważam ślady krwi. Dużo skrzepłej krwi. Gorączkowo przeczesuję wzrokiem pokój, spodziewając się, że zobaczę tam kogoś, kto jest ciężko ranny. Ranny albo martwy. W uszach słyszę tępy syk. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to nie syk, tylko mój telefon. Z tego paraliżującego mnie stresu już wszystko mi się miesza. Ktoś do mnie dzwoni. Naprawdę muszę to sobie dwukrotnie powtórzyć. Machinalnie wyciągam telefon z torebki. Widząc, że to mama, przesuвам palcem po wyświetlaczu.

– Chodzi o Wiktora – rzuca w słuchawkę mama, nim zdążę jej powiedzieć, że nie mogę teraz rozmawiać. Jej przerażony głos mrozi mi krew w żyłach. – Chyba coś się stało.

– Gdzie on jest...? Czy wszystko z nim w porządku...? – Tylko tyle udaje mi się z siebie wydusić.

Potem zamieram.

– Nie wiem... Chyba nie... – Mama łapie nerwowo powietrze. – Wracaj. Wracaj do domu... Szybko!

Rozdział 2

Wytatuowany funkcjonariusz o łagodnych rysach to podinspektor Friebe. Tak mi się przedstawił. W asyście innego funkcjonariusza zadał mi całe mnóstwo szczegółowych pytań, nie dając prawie nic w zamian. Poza tym, że w związku z prowadzonym dochodzeniem poszukuje mojego męża, co, jak miemam, ma jakiś związek z tamtym motelowym pokojem. On też nie wie, gdzie jest Wiktor. Nie powiedział mi absolutnie nic więcej. Ani nawet tego, kim była wyprowadzona z motelu ranna dziewczyna i dokąd ją zawieziono. Stoimy po dwóch stronach barykady. Friebe i ja. W przenośni i dosłownie. Takie odnoszę wrażenie. Podszyta niepokojem czekam w naszym domu na swojego męża. Friebe i drugi glina, który wcześniej wypytywał o niego moją mamę, czeka na Wiktora na zewnątrz.

– Odzywał się jeszcze? – pyta mama.

Przyciska twarz do szyby w kuchni. Na szybie pojawiają się kolejne powiększające się okręgi pary z wydychanego przez mamę powietrza.

– Nie. Wysłał mi tylko jedną wiadomość.

– Nic więcej? – docieka mama.

– Mamo, ja też umieram z nerwów i czekam. – Wzdycham. W rękach miętoszę kuchenny ręcznik, byle czymś je zająć. W środku cała dygoczę. – Pół godziny temu napisał, że wraca do domu, a potem wyłączył telefon – powtarzam.

– Spróbuj zadzwonić do niego jeszcze raz – nalega.

– Próbowałam milion razy. Jego telefon nadal jest wyłączony. Nie odebrał nawet mojego esemesa – dodaję z pewnym zniecierpliwieniem.

– Ale przynajmniej jest cały. Chociaż tyle wiemy – pociesza się mama.

Milczymy jeszcze krótką chwilę. W mojej głowie gęstnieją szare kłęby niepokoju. W pewnym momencie rozprasza je znajomy warkot silnika. Po chwili na podjazd wtacza się ubłocone suzuki mojego męża. Oddycham

z ulgą, ale to tylko pozory. Boję się, że cokolwiek zaraz się wydarzy, zburzy nasz świat.

Reakcja Friebego na widok przybysza jest natychmiastowa. Wraz z drugim policjantem stają przy samochodzie Wiktora, osaczają go, zanim on zdąży się w ogóle z niego wydostać. Ja też wciąż tkwię w tym samym miejscu, jak skamieniała. Ale kiedy mój mąż wysiada, i we mnie coś ożywa. Wybiegam na podjazd. Widzę, że, dzięki Bogu, małżonek faktycznie jest cały i zdrowy. Szybko wyczuwam jednak, że coś jest nie tak. Gestykuluje, ale jego twarz jest biała jak kreda. Mruży oczy, widać tylko cienkie szparki. Robi to zawsze, kiedy udaje, że panuje nad sytuacją.

– Proszę odsłonić prawe ramię – pada komenda.

To pierwsze, co słyszę.

– Miałem wypadek. Nie bez powodu ramię jest opatrzone. I o co w ogóle chodzi? – Wiktor patrzy na Friebego z pogardą. Ale poza pogardą w jego oczach czai się też zwykły strach. Na moment przenosi wzrok na mnie. Mój pewny siebie, asertywny na co dzień mąż gdzieś nagle zniknął. Najwyraźniej przytłoczyła go wina. Tylko jeszcze nie wiem jaka.

– Proszę wykonać moje polecenie. – Friebe nie ustępuje.

Wiktor się waha.

– Rozumiem, że mogę odmówić?

– Wtedy zaproszę pana na komendę. – Słowo „zaproszę” w ustach Friebego brzmi groźnie.

Na ramieniu męża widać spory opatrunek. Nie było go tam jeszcze kilka godzin temu. Nie wiem, czy wizja zeznawania na komisariacie wpłynęła na jego decyzję, ale mój mąż odkleja plaster mocujący opatrunek.

Podchodzę bliżej. Spod gazy powoli wyłania się świeża rana. A raczej pięć świeżych ran, cienkich i długich na kilkanaście centymetrów. Biegną równolegle, poza jedną, najkrótszą. Mdli mnie na myśl o tym, że mogła je zostawić broniąca się przed atakiem kobieta. Ale, Boże, z tym właśnie mi się kojarzą.

– Czy podobne obrażenia ma pan w okolicy lewego obojczyka? – pyta Friebe. W jego głosie słychać cynizm.

Twarz Wiktora tężeje, a on robi krok do tyłu. W jego gwałtownej reakcji widzę potwierdzenie słów podinspektora. Ma je i boi się odsłonić. Friebe też

to widzi.

– Proszę unieść koszulkę – pada komenda.

Kolejny krok do tyłu.

– Wiktor, co tu się dzieje?! – To ja, to mój własny głos. Brzmi jakoś obco. Fałszywie.

– Panie Kryński, proszę unieść koszulkę!

– Nie zrobię tego, do cholery! Jakie macie prawo, żeby tego ode mnie żądać?

Chwila niebezpiecznej ciszy.

– Panie Kryński, jest pan podejrzany o przestępstwo na tle seksualnym, a także o brutalne pobicie – mówi Friebe z dziwną lekkością. – W konsekwencji, na podstawie postanowienia prokuratora, jest pan zatrzymany i zostanie doprowadzony na przesłuchanie.

Z aktówki, którą cały czas trzymał pod pachą, Friebe wyciąga jakieś dokumenty.

– Ma pan prawo do kontaktu z adwokatem – dodaje.

Wręcza dokumenty mojemu oszołomionemu mężowi. I ja przebiegam wzrokiem po kartce, która jest na wierzchu.

„Prokurator wszczął śledztwo, które dotyczy przestępstwa na tle seksualnym i przemocy wobec Mileny Kos. Zasadnym jest dokonanie przeszukania posesji położonej w Gdyni przy ulicy Iglanej 17, należącej do podejrzanego, oraz pomieszczeń do niej przylegających. Wzywa się podejrzanego do wydania wskazanych rzeczy”.

Litery tańczą mi przed oczami.

– Zadzwoń do Wróbla! – zwraca się do mnie Wiktor. – Zadzwoń do Andrzeja! – powtarza nagłaco.

Potem wszystko dzieje się błyskawicznie, zostaję z milionem pytań, na które żaden ze śledczych nie chce mi odpowiedzieć. Chociaż pytam. Uparcie chcę się dowiedzieć, a oni uparcie milczą. Na nadgarstkach mojego męża wkrótce zaciskają się kajdanki. Ich głuchy brzdęk i puste spojrzenie Wiktora, który się nie broni, nakładają się na siebie. Ten odgłos i wyraz jego twarzy. Kiedy to się dzieje, a on znika w policyjnym radiowozie, po naszym domu rozpełzają się funkcjonariusze, którzy, jak się okazuje, cały czas tam byli.

Zaparkowali wóz na sąsiedniej posesji, ukryli go między drzewami. Czekali cierpliwie, by dokładnie przeczesać nasz dom i ogród. Zostawili tam swój brud, którego nic i nigdy już nie zmyje. Nie wypleni. Tak naprawdę nie wiem, kto zostawił go więcej. Oni czy Wiktor... A może brud był tutaj zawsze, od tych przeklętych szesnastu lat, tylko niezdarnie przykryty cienką warstwą nowej, lśniącej bieli... Ładu, który starałam się nieudolnie zaprowadzić...

Bo o tamtej nocy, kiedy zginął Kalinowski, wiem przecież znacznie więcej, niż zapisano w oficjalnych rejestrach. Możliwe, że zło już wtedy się tu zaległo, a potem, w sprzyjających warunkach, tylko na dobre się rozpleniło.

Rozdział 3

Dzięki Andrzejowi Wróblowi, zaprzyjaźnionemu z naszą rodziną adwokatowi, który teraz jest także obrońcą Wiktora, wiem więcej niż kilka dni temu. Ta wiedza sprawiła, że runęło wszystko, co dotychczas z takim mozółem budowaliśmy. Zrujnowała zaangażowanie, wspólne trudy, miłość, zaufanie, euforię. To na początek. Teraz, w pokoju widzeń, nie potrafię już patrzeć na swojego męża tak jak kiedyś. I chyba już nigdy nie będę potrafiła tego zrobić. Urywki wspomnień i miłość wiążącą nas ze sobą wraz z każdym wspólnym doświadczeniem teraz przesłania tylko wstręt. W myślach to ja zadaję mu ból, ten fizyczny i emocjonalny, najgorszy z możliwych. A to i tak nie daje mi żadnej satysfakcji.

Siadam naprzeciwko Wiktora na podniszczonym plastikowym krześle. Jesteśmy w wielkiej bezosobowej sali widzeń, w której śmierdzi tanim żarciem z kantyny. Przy prostych porostawianych tu stołach siedzą osadzeni i ich rodziny. Dookoła nas jest gwaro i duszno, wokół krążą dwaj strażnicy, ale dla mnie nic nie istnieje. Niczego nie zauważam. Wiktor powoli podnosi na mnie wzrok. Zalega między nami wymowna cisza.

Przez chwilę zastanawiam się, co właściwie mnie do niego przyciągnęło. Oczywiście poza zwykłym szczeniackim zauroczeniem. Głównie chyba to, że mnie uzupełniał. Był tak różny ode mnie. Z natury jestem wycofana i nieufna. Trwałe relacje buduję mozolnie – całymi miesiącami, o ile nie latami. Mija naprawdę wiele czasu, nim się otworzę, a i tak tylko w gronie najbliższych i najbardziej zaufanych osób. Natomiast Wiktor miał w sobie niczym nieskrępowany luz, pewien dziki magnetyzm, i nie tyle cechy przywódcy, co raczej przewodnika. Był, a raczej wciąż jest, elokwentny i głośny. Nie przejawia się to w agresywny sposób. Wiktor nie koncentrował uwagi wyłącznie na sobie. Słuchał i łączył ludzi, wciągał ich do swojego ciekawego świata, i chyba najbardziej to mnie w nim fascynowało.

Kiedyś.

Zanim się odsłonił.

Dziś jest cieniem samego siebie. Jego cera zszarzała, niemyte od kilku dni i nieuczesane blond włosy upięte są w niedbały niewielki kucyk, z którego wyswabada się kilka kosmyków. Ramię ciasno oplata mu czysty bandaż. Na lewym obojczyku pod koszulką widzę niewielkie, prostokątne wybrzuszenie. Biorę je za opatrunek maskujący kolejne zadrapanie. Na ten opatrunek przenoszę swój wzrok.

– To nie jest tak, jak myślisz. – Wiktor odzywa się pierwszy, widząc malującą się na mojej twarzy niesmak.

– A co twoim zdaniem myślę?

– Że jestem podłym gnojem.

Trzymaj nerwy na wodzy. Powtarzam to sobie. *Trzymaj.* Biorę głęboki wdech.

– A nie jesteś?

– Nie zgwałciłem tej dziewczyny – odpowiada.

Po pokoju widzeń rozchodzi się brzęk otwieranej bramy. Kolejny raz ktoś wchodzi albo wychodzi. Przez salę przetacza się głośniejszy niż wcześniej gwar. Ale to wszystko to tylko szum, w tych okolicznościach zupełnie nieistotny.

– Czyli to, że pod jej paznokciami znaleziono wyskrobiny z twoim DNA, jest pieprzonym kłamstwem? – warczę.

– Skąd o tym wiesz?

Wiktor zsuwa dłonie z blatu i chowa je pod stołem. Odnoszę wrażenie, że w obliczu tych niepodważalnych dowodów i on chciałby się tam przede mną ukryć.

– Od Wróbla.

– Podobno prokurator nie wyraził zgody na dostęp do akt.

– A jakie to ma teraz znaczenie? – obruszam się. – Nie wyraził, to prawda. Ale poza protokołem powiedział Wróblowi i to, i kilka innych rzeczy o tej dziewczynie, o jej obrażeniach. Otarcia naskórka, podbiegnięcia krwawe na sutku, liczne obrzęki okolic intymnych – przypominam sobie wszystko to, co cytował mi Wróbel, a co przyprawiało mnie o mdłości. – Mam wymieniać dalej?

Sonduję reakcję mojego męża. Nie wydaje się tym wyznaniem poruszony.

– Czyją stronę trzyma Wróbel? – zżyma się. – Naszą czy jej?

– Naszą? – Wzdrygam się. – Tu nie ma naszej strony, Wiktor.

– To jest jakaś wariatka. Wariatka albo cwana sucz, która chce mnie pogrążyć.

Mój mąż gwałtownie odchyła się na krześle.

– Wariatka, z którą nic cię nie łączy?

Milczy.

– Miej odwagę chociaż raz nie kłamać. Naprawdę to takie trudne?

– A co chcesz usłyszeć? – Wzdycha ciężko. – Że miałem romans i że się z nią przespałem? To prawda, zdradziłem cię, ale zrobiliśmy to raz, i za jej zgodą – mówi bez skrępowania, bez cienia winy w głosie.

– I to tyle? – pytam drwiąco.

– Naprawdę myślisz, że gdybym ją zgwałcił, to byłbym na tyle głupi, by po wszystkim wyrzucić gumkę do kosza w tym samym pokoju? Że podałembym glinom taki dowód na tacy?

Rozsuwam splecione dotychczas dłonie i chwytam się krawędzi blatu. Wbijam w niego paznokcie, dopóki palący ból nie każe mi przestać. W ten sposób, z dość mizernym skutkiem, rozładowuję wściekłość i rozczarowanie.

– Wiem, że kupiłeś te cholerne skórzane kajdanki. Te, które znaleziono wpięte w ramę motelowego łóżka – cedzę przez zaciśnięte zęby. – I to kolejna rzecz, która cię pogrąży.

– Nie zrobiłem tego. – Wiktor reaguje stanowczo. – I nie pobiłem jej.

– Masz mnie za idiotkę? – Jestem na granicy wybuchu. – Widziałam wyciągi z twojej karty kredytowej.

Wiktor wzrusza ramionami. Wplata dłonie we włosy i potrząsa przecząco głową. Wiem, jest skołowany mimo pozorowanego spokoju.

– Byliśmy raz w restauracji. Może wtedy sfotografowała moją kartę kredytową i sama je zamówiła, używając danych stamtąd. Zostawiłem ją potem na chwilę samą w aucie, razem ze schowanymi w skrytce dokumentami i portfelem. W każdym razie to ona wtedy przyniosła te kajdanki. Chciała, żeby... – urywa.

– Żeby?

– Pytasz, żeby znienawidzić mnie jeszcze bardziej? O to ci chodzi?

– A szukasz winy we mnie czy w sobie?

Wytrzymujemy własne spojrzenia jeszcze tylko krótką chwilę. Wiktor pierwszy odwraca wzrok i wbija go w podłogę, w szpetny skrawek wytartego linoleum, które ma pod stopami.

– Lubiała ostry seks... – mamrocze. – Pejczy albo kajdanki. I inne gadzety, które upuszczą nieco krwi.

Czuję wzbierający we mnie niesmak. Myślałam, że bardziej już się nie da. Że więcej obrzydzenia w sobie nie pomieszczę. A jednak nonszalancja Wiktora dopiero teraz doprowadza mnie na samą krawędź wytrzymałości.

– Jak długo to ciągnąłeś? Czy było tylko tamto, tylko wtedy, faktycznie raz, czy pieprzyłeś ją, jeszcze zanim przysięgałeś mi wierność? – Wypluwam z siebie słowo po słowie. – Jestem kurewsko ciekawa.

Tym razem odpowiedź Wiktora długo nie nadchodzi.

– To był tylko tydzień. Nie chciałem tego dłużej ciągnąć. – Spuszcza wzrok. – I nie doszłoby do tego, gdybyś... – Urywa.

– Gdybym? No, gdybym co?

– Gdybyś nie była taka zimna... Myślałem, że po ślubie to się zmieni... Ale było tak samo... Ciągle tak samo zachowawczo.

Tama, za którą się chowałam w areszcie, teraz pęka. Wraz z goryczą, wściekłością i upokorzeniem wypływa ze mnie wspomnienie schowanej w szafie połyskliwej kartki z arlekinem. Tkwiła tam, pod ubraniami mojej mamy, odkąd skończyłam sześć lat. Czasem mam wrażenie, że ta kartka wszystko zapoczątkowała.

Nie wiem, co teraz mówię ani co robię. Na chwilę wszystko spowija gęsta mgła. Głos Wiktora też jest inny, stłumiony, jakby dochodził zza ściany.

– Przepraszam... To nie tak... – Słyszę jego rozmyte słowa. – Nie chciałem cię zranić – zapewnia gorączkowo. – Kocham cię. Tylko ciebie. A tamto to była jedynie chwila słabości. Jestem po prostu zdezorientowany tym wszystkim, dlatego walę na oślep. A to nie fair.

Podnoszę rękę, prosząc, by przestał.

– Nie przysłałam tu, żeby dawać ci wsparcie. – Odchylam głowę, by nie widział, że wierzchem dłoni ocieram ukradkiem łzę. Powoli odzyskuję rezon. – Brzydzę się tobą, Wiktor. Sobą też się brzydzę. Ale brzydzę się tylko tym, że cholernie długo byłam tak ślepa.

Chwila milczenia.

– To po co tu przyszedłaś?

– Po informacje o Milenie Kos. Nie ma jej w mediach społecznościowych.

– Ton mojego głosu się zmienia. Jest zadziwiająco opanowany i rzeczowy. – Nie ma jej nigdzie. Chcę wiedzieć, gdzie mogę ją znaleźć.

– A po co?

– Czy i tobie Wróbel mówił, jak Kos wytłumaczyła pozostawienie balonu w naszym ogrodzie?

Wiktor kiwa na potwierdzenie głową.

– Kłamała – mówi. – Twierdziła, że zrobiła to, bo chciała, żebyś nas nakryła. To miała być jej zemsta za to, że niby nie chciałem się z nią wiązać. I to miał być powód wybuchu mojej agresji.

– I jedynie z powodu balonu wierzę, że tego nie zrobiłeś – przyznaję niechętnie. – Że nie zrobiłeś tego, o co jesteś podejrzany – podkreślam dobitnie.

– Jedynie?

– Nie ufam ci, Wiktor. Już nie. Chyba wcale cię nie znam – oznajmiam stanowczo. Łapię się na tym, że w moim głosie nie ma nienawiści. Jest tylko drążący mnie od kilku dni smutek. – Ktoś inny musiał zostawić ten balon. Nie było go w ogrodzie kilka minut wcześniej. Wniosek nasuwa się sam. Kos musiała z kimś współpracować. I albo to był zupełny przypadek...

– Albo?

– Albo to ma związek ze śmiercią Filipa.

– Przeniesienie. To właśnie robisz – oschle kwituje Wiktor. – Łączysz to, co się stało z Anastazją, bo nadal się jej obawiasz, a świadomość tego, że niedawno wyszła z psychiatryka, tylko ten lęk podkreca. Odpuść. To zły trop.

– Łączę to, bo balon zawieszono dokładnie w tym samym miejscu, w którym zginął Filip – prostuję.

– Mogą mnie tutaj trzymać aż do procesu. A to nawet kilka miesięcy. – Mój mąż niespodziewanie zmienia temat. – Będę cię potrzebował. – Bada moją reakcję. – Nie prosiłbym, gdyby to nie mogło mi faktycznie pomóc. Wierz mi, w obliczu tego syfu, w który się wplątałem, i tego, co ci zrobiłem, wstydzę się o to prosić...

Na jego wymęczoną twarz nakładają się natrętne obrazy z przeszłości. Ja i on w różnych sceneriach i konfiguracjach. Wspomnienia są realistyczne,

wyraźne, mają fakturę, zapach i smak. Wypełniają mnie bolesną tęsknotą. Nasz wypad w góry. Adrenalina i wbijający się w skałę czekan, mój i jego. Ręka Wiktora wpleciona w moją dłoń, słony smak jego ust na moich wargach, kiedy siedzimy na górskiej grani. Porażki, najpierw moja, a potem jego, które zawsze razem przekuwaliśmy w nic nieznaczącą błahostkę, bo kiedy byliśmy razem, tylko tym porażki się zawsze okazywały. Setki takich jak tamte scen, godzin, minut, sekund. Razem. *Ups and downs*. Niektóre kobiety między innymi z tego powodu wybaczą, bo czy można jedną decyzją, jednym fatalnym działaniem zdewaluować to, co stanowiło najwyższą wartość? Najwyraźniej można. Krytyczne myślenie. W tym Wiktor zawsze był dobry, dopóki nie zaczął myśleć tylko fiutem.

Waham się, mimo wszystko się waham. W końcu podnoszę się z krzesła i zdecydowanym ruchem przysuwam je do stołu.

– Nie możesz tego ode mnie oczekiwać.

Na jego twarzy maluje się autentyczne zdziwienie.

– Naprawdę zamierzasz tak to skończyć? Tutaj? Teraz?

– Ja? – Parskam wymuszonym śmiechem. – Ty pierwszy nam to zrobiłeś.

Kiedy już kieruję się do wyjścia, ponownie słyszę jego głos.

– Szanghaj, bar orientalny przy Świętojańskiej.

Odwracam się. Mój mąż nadal siedzi w tej samej co poprzednio pozycji. Pochylony nad blatem. Nieruchomy.

– To chyba tam Milena pracowała – dodaje po chwili. – I chyba nie chciała, żebym o tym wiedział... – Urywa.

Kiedy podchodzę bliżej, Wiktor podejmuje przerwany wątek.

– Myślałem, że może się wstydziła, ale teraz sam nie wiem. Może celowo chciała ukryć przede mną to, gdzie pracuje. Poza tym barem nic o niej nie wiem. Absolutnie nic. Tamtego dnia umówiłem się z nią w parku Centralnym. Przyjechałem pół godziny przed czasem i zaparkowałem na Świętojańskiej, jakieś sto metrów od parku, bo bliżej się nie dało. Zobaczyłem ją wtedy przez sklepową witrynę, krzątała się za barem. Nie zauważyła mnie, a ja nie przyznałem się, że ją tam widziałem. Spotkaliśmy się w ustalonym miejscu, w umówionym czasie.

Nie czekam na nic więcej. Po wysłuchaniu Wiktora, znacznie szybciej niż poprzednio, przechodzę przez salę widzeń. Po chwili docieram do metalowych

drzwi prowadzących na korytarz. W obawie, że mogłabym zatrzymać się kolejny raz, zamiast we własne myśli wsłuchuję się w głośny szum wentylatora.

Po wyjściu z aresztu staję pod bramą i przez kilka kolejnych minut obracam w dłoniach telefon, zastanawiając się, co powinnam zrobić, a raczej, czy i w jaki sposób powinnam zaangażować się w pomoc Wiktorowi. Mimo wszystko jego dalszy los nie jest mi obojętny, zakładając oczywiście, że to, do czego doszło w motelu, było zastawioną na niego pułapką. Gwałt i zdrada nie są równoważne, bez względu na to, jakie kryteria przyjąć, prawne czy moralne.

Nie zastanawiając się więc dłużej, odblokowuję ekran i wybieram numer Wróbla. Ponownie proszę go o informowanie mnie na bieżąco o rozwoju sytuacji i możliwościach, jakie się pojawią. I, choć z trudem przechodzi mi to przez gardło, deklaruję też swoje zaangażowanie i chęć pomocy.

Nie zrobię dla Wiktora niczego, co będzie wbrew moim zasadom moralnym, ale nie pozwolę też, by odsiadywał wyrok za przestępstwo, którego nie popełnił. Taką decyzję właśnie podjęłam.

Rozdział 4

Nazwanie baru Szanghaj najlepszym barem orientalnym w Gdyni, a za takie miejsce Szanghaj się uważa, jest sporym nadużyciem. Wciśnięty między dwie lśniące witryny sklepowe niewielki bar z przyklejonymi do brudnej szyby pożółkłymi kartkami menu odstrasza już od samego wejścia. Wyblakły szyld z brakującymi literami dopełnia obrazu.

Po przekroczeniu progu baru docierają do mnie dwa zapachy, z których jeden jest przyjemny, a drugi wybitnie nieznośny. Jaśminowa herbata, którą popija siedzący przy barze jedyny gość, i stara frytura, w której coś głośno skwierczy. Są nią oblepione ściany i szyby, jedne i drugie pokryte warstewką tłustej żółci. Barowym odgłosom wtóruje brzdęk mikrofali. Za ladą, przy kasie, na którą właśnie nabija zamówienie, stoi młoda dziewczyna o ciemnej karnacji, ubrana w czarną sukienkę podkreślającą jej talię.

– Szukam Mileny Kos. Czy jest dzisiaj w pracy? – pytam, choć nie wyobrażam sobie, aby Kos po tym wszystkim dziś tutaj była.

Dziewczyna oblewa się rumieńcem.

– Milena to nie moja sprawa – odpowiada z tajemniczym uśmiechem, którego nie potrafię rozszyfrować. – Jak pani chce, to proszę pytać szefa.

– A gdzie go zastanę?

– Zaraz wyjdzie – mówi i kątem oka zerka na zasłonę z kolorowych koralików oddzielających część restauracyjną od zaplecza. – Jedzie po towar.

Potem dziewczyna wraca do swoich zajęć, raz po raz spoglądając w moją stronę. Kilka chwil później zza koralików wyłania się niewielki Azjata z gęstymi brwiami i pucołowatymi policzkami. W rękach trzyma puste styropianowe pojemniki.

– Szukam Mileny Kos. Podobno tutaj pracuje – mówię i uśmiecham się przyjaźnie.

Mężczyzna mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Ale nie odwzajemnia uśmiechu.

– A pani kto jest? Gazeta? – Na jego twarzy pojawia się grymas niezadowolenia.

– Gazeta? Nie.

– Czy jaka rodzina?

– Też nie. Chcę jej tylko coś przekazać – kłamię.

– Przekazać tutaj? – Marszczy brwi. – To nie ma jej adresu albo telefonu?

Potrząsam głową.

– Kto? Ja?

– No pytam przecież.

– Wiem, że Milena pracuje tutaj. Tylko tyle.

– Nie pomogę – stwierdza mężczyzna kategorycznie.

– Dlaczego?

Azjata wydyma usta i odchrząkuje. Przez chwilę wydaje mi się, że zaraz splunie przez lewe ramię.

– Ludzie mają aury. W środku. – Odstawia pojemniki na posadzkę i stuka drobną pięścią w klatkę piersiową. – To jest ich prawdziwy dom. Nie ściany, tylko ciało. Jej aura to były same kłopoty. Żadne tam jasne kolory, tylko węzeł. Duży, czarny węzeł, i do tego... – Przekłada jedną rękę przez drugą, przeplata je. Najwyraźniej szuka odpowiedniego słowa.

– Splątany? – Staram się odgadnąć jego myśl.

– Bardzo splątany – potwierdza stanowczym skinieniem głowy. – A to – rozgląda się po barowej sali – to nie miejsce na kłopoty.

– Jej aura taka była? – podchwytyję.

– Była. Była. – Azjata kiwa sugestywnie głową. – Już tutaj nie przyjdzie.

– Czy coś jej się stało? – pytam. – I dlatego nie przyjdzie?

– Nie przyjdzie, bo już tu nie pracuje. Zwolniona. Mówiłem, nie pomogę. – Wzrusza ramionami, zabiera pojemniki i wychodzi.

Przez otwarte drzwi do baru wpada ryk silników i skrzek mew. W godzinie szczytu Świętojańska tonie w szarych kłębach spalin.

– Czy tutaj doszło do jakiejś awantury? – pytam krzątającą się za ladą dziewczynę, która tylko udaje, że poleruje szklanki.

– Nie. Dlaczego?

- Pani szef raczej nie darzył Mileny sympatią.
- Mówiłam, nie chcę się mieszać – oznajmia dziewczyna zdecydowanie i odwraca się do mnie plecami. Stawia szklanke na półce.
- A może były z nią inne problemy? – Nie ustępuję.
- Proszę już o nic więcej nie pytać. W sensie o Milenę. Ja tutaj tylko pracuję. Wydaję dania i tyle. Nie bawię się w psychologa.
- A potrzebowała go? Psychologa?
- Naprawdę muszę jaśniej? Nie chcę o niej mówić. – W głosie dziewczyny słyszę zniecierpliwienie. Z zaplecza dobiega metaliczny brzdęk dzwoneczka, który odwraca jej uwagę. Obstawiam, że to sygnał z kuchni. Pewnie danie, na które czeka gość, wyłowiono właśnie z frytury. – Muszę wracać do pracy – kwituje naszą rozmowę.

Kiedy dziewczyna znika za kolorowymi koralikami, wyciągam z kieszeni zużyty bilet autobusowy i zapisuję na nim swój numer. Czekam, aż dziewczyna wróci i obsłuży gościa. Potem przesuвам bilet po blacie, upewniając się, że go widzi.

– Jeśli będzie pani mogła rozmawiać, bardzo mi pani pomoże. To ważne – podkreślam. – Milena skłamała w ważnej sprawie. Chodzi o czyjeś życie – podbijam nieco stawkę. To zawsze pomaga.

Na informację o kłamstwie coś w dziewczynie drgnęło, ledwie zauważalnie, ale jestem pewna, że mi się nie wydawało. Czekam jeszcze chwilę, ale ponieważ brak reakcji z jej strony, wychodzę.

Rozdział 5

– Hej! – wołam do Natalii, sąsiadki mieszkającej po drugiej stronie ulicy, która wraca z dziećmi do domu. Zawsze zamieniałyśmy kilka słów. Ostatnio, także dziś, odpowiada mi tylko szybkim skinieniem głowy. Potem znika za drzwiami, ponaglając dzieci, by weszły do środka. W teorii niby nic się nie zmieniło ani w relacjach z Natalią, ani w relacjach z innymi sąsiadami, ale w praktyce od momentu aresztowania Wiktora wszystko jest inaczej. Wiem, że o nas gadają. Podpatrują z bezpiecznego dystansu z ciekawością równą odrazie, byle nie wpuścić naszej zarazy na ich własne podwórko. Swoją drogą na tym właśnie polega fenomen brukowców – dysonans poznawczy. Trzymaj odrażające tematy na dystans, a jednak je chłoń, zza szklanego ekranu, monitora komputera, szyby. Przeżuwaj i wypluwaj, zanim zdążysz je strawić.

Pan Lucjan, mój mieszkający pod dziewiętnastką sąsiad, wywiesza pranie na balkonie. On jedyny ma dla mnie życzliwy uśmiech. On jedyny mnie nie unika.

– Dzień dobry, maleńka! – woła.

Odmachuję mu. „Maleńką” jestem dla niego niezmiennie od dwóch dekad, odkąd mój ojciec kupił tę działkę i postawił na niej dom, a ja, kilkuletnia wówczas, trochę wyobcowana w nowym miejscu i spragniona rówieśników, przemykałam się na podwórko sąsiada, by bawić się z jego psem.

Dwukrotnie przekręcam klucz w zamku furtki, która wpuszcza mnie do ogrodu. Odkładam siatkę z zakupami i postanawiam podlać kwiatową rabatę, by zająć czymś ręce, a przede wszystkim głowę. Napełniam konewkę i zaczynam od roślin rosnących na najbardziej nasłonecznionym stanowisku. Celowo nie chcę zapuszczać się w głąb ogrodu, by na chwilę oddalić od siebie wspomnienie o balonie i Filipie Kalinowskim. I o wszystkim tym, co wydarzyło się potem. Ale podświadomość wyraźnie kłóci się z tym, czego ja chcę. Zerkam więc mimowolnie na starą jabłoń i osadzony na niej szkielet domku na drzewie, w którym lata temu bawiłam się z bratem. I wtedy zauważam coś zupełnie nierealnego, a jednocześnie rzeczywistego. Na jednej z gałęzek, przewiązana czerwoną wstążką, wisi foliowa koszulka. W środku

jest chyba kartka papieru. Zaciskam powieki, licząc, że zniknie. Jednak ona wciąż tam tkwi.

Sięgam po rękawice ogrodowe, by tym razem nie zatrzeć ewentualnych śladów, i podchodzę do drzewa. Delikatnie wysuwam złożoną na pół kartkę. Jej narożniki są lekko pożółkłe i sfatygowane. Rozkładam ją, przebiegam po niej wzrokiem, niemal natychmiast rozpoznając treść. Szesnaście lat temu w najbliższym sąsiedztwie w każdej skrzynce pocztowej upchnięty był gruby plik składający się z tej i innych takich kartek. Do teraz nie wiadomo, kto je tam umieścił, bo po zabójstwie Filipa Kalinowskiego fanatyków, pragnących samozwańczego wymierzenia sprawiedliwości, było naprawdę wielu.

W naszej niewielkiej społeczności Nastka została uznana za winną zabójstwa Filipa na długo przed tym, nim zapadł w tej sprawie oficjalny wyrok, także uznający jej winę. Ale również niepoczytalność. Zamiast odsiedzieć wyrok, najpierw w poprawczaku, a potem za więziennymi kratami, Nastka trafiła do ośrodka zamkniętego, gdzie latami poddawana była leczeniu. Kartka, którą trzymam teraz w ręku, to jeden z jej wpisów na Tumblr, bloga, który prowadziła szesnaście lat temu. Te i inne jego fragmenty stały się jednym z wielu dowodów w sprawie zabójstwa Filipa Kalinowskiego. Po zatrzymaniu Nastki urywki jej tekstów anonimowo umieszczane w skrzynkach pocztowych miały jeszcze bardziej pogłężyć „potwora”, za jakiego Nastkę tutaj uważano. Skutecznie podsyciły nienawiść, którą karmiła się nasza społeczność przez pierwsze miesiące po tamtym zdarzeniu. Z czasem, zamiast zblednąć, nienawiść zatoczyła jeszcze szerszy krąg. Uderzyła rykoszetem w rodzinę Nastki, która, bojąc się o własne bezpieczeństwo, szybko wyniosła się do innej części Gdyni.

Rozglądam się wokół, szukając śladów obecności intruza, który wdarł się do mojego ogrodu. Tym razem dość szybko je lokalizuję. W trawie wilgotnej po niedawnej ulewie widać ślady butów. Są nieduże, równie dobrze mogłyby należeć do kobiety, nastolatka albo nawet dziecka. Ale w gruncie rzeczy trudno jest mi to ocenić. Łatwiej jest wnioskować, skąd intruz przyszedł. Ślady butów prowadzą pod lamelowy płot, który odgradza mnie od posesji numer piętnaście, tej samej, gdzie kiedyś mieszkała Nastka z rodziną. Po tamtych wydarzeniach dom nie miał szczęścia. Jego lokatorzy zmieniali się przynajmniej kilkakrotnie. Zupełnie jakby istniała jakaś wisząca nad domem klątwa, która nie pozwoliła nikomu zagrzać tu miejsca na dłużej. Obecnie dom też wystawiono na sprzedaż.

Płot jest dość wysoki, ale nie mam wątpliwości, że to tędy wszedł intruz. Usiłuję podciągnąć się na drewnianych, wciąż wilgotnych sztachetach, ale na szczycie jestem jedynie przez krótką chwilę. Potem się ześlizguję. Jednak tyle wystarczy, bym po drugiej stronie zobaczyła zaniedbany i opuszczony ogród, w którym walają się narzędzia. Jedynym śladem niedawnej obecności intruza jest wbita w ziemię tabliczka z informacją, że dom jest wystawiony na sprzedaż. Podobna wisi od frontu. Ta umieszczona w ogrodzie różni się w zasadzie tylko jednym detalem. Poza danymi telefonicznymi i nazwą agencji jest na niej zdjęcie agenta opiekującego się tą konkretną ofertą.

Z tablicy zerka na mnie uśmiechnięta i niezmiennie pewna siebie Alicja Majchrzak. Znam ją. Znam ją aż za dobrze. Kilkanaście lat temu, jeszcze w czasach liceum, była dziewczyną Wiktora. Jej nagła obecność na tej przeklętej posesji przyprawia mnie o dreszcze. Ponownie podciągam się na sztachetach na równie krótką co poprzednio chwilę, ale upewniam się wtedy tylko, że w ogrodzie nie ma żywej duszy, a tym bardziej żywej Alicji.

Z zaciśniętą w dłoni kartką wracam do domu, kładę ją na stole i raz jeszcze czytam widniejący na niej upiorny wierszyk.

Idź przez las, co tak cię woła.

Na jego krańcu wyłoni się szkoła.

Czai się tam upiór wśród nocnej ciszy.

Krzyków błagalnych nikt tam nie usłyszy.

To zmierzchnic rój i mara o bladej skórze,

brocząc krwią winnych, kroczy na Psie Wzgórze.

Nie skryjesz się w bunkrze, na drzewie ni w domu.

Wessie twój szpik, potem duszę, nie odda nikomu.

A zamiast na koniec pożreć twoje ciało,

do pnia dębu je przyszpili, by tak wisiało.

Zaszumi wiatr w liściach, pod ciężarem jej mocy

ugnie się drzewo.

Na znak, że odeszła, ale tylko ledwo.

Pomornicy strzeż się, dziecię,

gdy cię wybierze, toś martwy,

nie skryjesz się nigdzie na świecie.

Przypominając sobie wszystko to, co wydarzyło się w następujących po tym wpisie tygodniach, czuję, jak po kręgosłupie przechodzą mnie ciarki. Blog Nastki był nie tylko wytworem jej mrocznej wyobraźni, ale, jak się potem okazało, także zapowiedzią odwetu, jaki planowała wziąć na swoich szkolnych rówieśnikach. Głównie tych, którzy jej w tamtym okresie dokuczali. Stwierdzono, że jeden z tych celów osiągnęła. Uznano ją za winną zabójstwa Filipa Kalinowskiego. Raz jeszcze przebiegam wzrokiem wiersz, dobrze znaną mi treść, a następnie zatrzymuję się na niewielkim wycinku doklejonym na dole kartki. Zważywszy na inny, jasny i czysty papier, a także wyraźniejszy druk, zgaduję, że musiał zostać tam umieszczony niedawno. Z paralizującym mnie niepokojem odczytuję wiadomość na głos. W pewnym momencie milknę, bo strach sznuruje mi usta. A to dlatego, że wiadomość biorę za skierowaną do mnie wskazówkę albo groźbę. A najpewniej jest to jedno i drugie.

W pniu dębu, gdzie czarna zieje jama, tam są ich wici.

Boisz się ich od lat, choć tylko skrycie.

Wydobądź je i pokaż – nie tyle sobie, co światu.

***Jeśli odmówisz, to śmierci w męczarniach
pozazdrościsz bratu.***

W jakimś pierwszym, naturalnym odruchu chwytam torebkę i wydobywam z niej telefon, bo mam zamiar powiadomić Wróbla. Najpierw jego, a potem pewnie i podinspektora Friebeego, bo obecność kartki w tym samym miejscu, w którym wcześniej znalazłam balonik, jeszcze dosadniej wskazuje na powiązanie tych dwóch spraw ze śmiercią Filipa Kalinowskiego. Ale w ostatniej chwili się powstrzymuję. Robię to już nawet nie dlatego, że ujawnienie treści kartki zmusiłoby mnie do złamania danej komuś szesnaście lat temu obietnicy. Robię to w obawie przed reperkusjami z powodu fałszywych zeznań, które w związku z tamtym sekretem złożyłam niegdyś w komisariacie. Ten sam znajomy strach, gęsty i oblepiający, skrada mi się po plecach i dyktuje kolejne kroki.

Rozdział 6

Czerwiec 2006

***A zamiast na koniec pożreć twoje ciało,
do pnia dębu je przyszpili, by tak wisiało.
Zaszumi wiatr w liściach, pod ciężarem jej mocy
ugnie się drzewo.
Na znak, że odeszła, ale tylko ledwo.
Pomornicy strzeż się, dziecię,
gdy cię wybierze, toś martwy,
nie skryjesz się nigdzie na świecie.***

Siedząca przed klawiaturą laptopa nastolatka przesunęła myszką nad ikonką „Opublikuj”, w którą dwukrotnie kliknęła. Potem zminimalizowała stronę. Jej sięgające pasa jasne włosy rozsypały się na plecach. Dziewczyna opadła na oparcie obrotowego krzesła, które wprawiała w ruch.

– Spoko wyszło, co, Lena? – zwróciła się do dostawionego do jej biurka krzesła, szczerząc zęby. Jej błyszczące oczy zatrzymały się w jednym punkcie. Nastolatka poprawiła okulary, by móc lepiej go widzieć. I wtedy zobaczyła siedzącą na krześle dziewczynę o lekko rozmytych konturach.

– Skąd ci się to bierze? Ta faza. Trochę to poschizowane – usłyszała.

– Znikąd. – Nastolatka wybuchnęła śmiechem i kolejny raz obróciła się na krześle. Coś w jej spojrzeniu się zmieniło. Oczy stały się szkliste, jakby dopadła ją nagła gorączka. – Ona jest we mnie. Odnalazłyśmy się – dodała, kiwając sugestywnie głową. Zmrużyła oczy, by złapać lepszą ostrość, ale kontur dziewczyny siedzącej na krześle jakoś nie chciał się wyostrzyć.

– Kto?

– Pomornica. – Nastolatka przewróciła oczami. – Mówiłam ci.

– Mówiłaś. Ale po co to wszystko?

– To ty mi odpowiedz pierwsza. Nie wkurwia cię to, że oni mają nas za nic? Że jesteśmy dla nich jak bezmózgie popychadła?

– Te dupki ze szkoły?

– Oni przede wszystkim. Ale nie są jedyni. Dobrze o tym wiesz.

– Nie oni decydują o tym, ile jesteśmy warte – padła odpowiedź.

– Pieprzysz – prychnęła nastolatka. – Nie udawaj, że cię to nie rusza, Lena. Umierasz ze strachu w obawie przed tym, że znów cię ośmieszą, albo może nawet lepiej, popchną albo skopią. A potem ukryjesz siniaki, bo będzie ci wstyd. Wstyd przed samą sobą, bo im na to pozwoliłaś. Powtarzasz gadki motywacyjne swoich starych. A oni nie mają o niczym pojęcia. Nie mają pojęcia, przez co przechodzisz. Nie mają pojęcia o niczym poza swoim głównianym materialnym światem. W ogarnianiu własnego syfu są świetni.

– A co ona ma do tego? Ta mara z twojego bloga? – W głosie Dziewczyny Z Krzesła wyczuwalna była jeszcze nieśmiałość, ale jednak wyraźnie zarysowana ciekawość.

– Wybrała mnie na swojego wysłannika.

– Wysłannika? Czyli?

– Dzięki niej obrastam w siłę. W jej siłę, którą wykorzystam przeciwko tym skurwielom. Popatrz! – wykrzyknęła nastolatka i podciągnęła mankiet swojej biało-granatowej bluzki w paski. Przebiegła wzrokiem po szczupłym ramieniu, kończąc na rozcapierzonych palcach prawej dłoni. – Widzisz je? – Poruszyła palcami, które zafalowały jej przed oczami.

– Nic nie widzę. Nie widzę, bo nic tu nie ma. – Nastolatka usłyszała zniecierpliwiony głos.

– Bo czasami, tak jak dziś, one są jak hologram, delikatne i ledwie widoczne, bardziej pastelowe niż czarne. Chwilowo nie mają skrzydeł. Ale są tutaj, powoli pełzają po mnie. Łaskoczą. – Podrapała się po ramieniu. Na jej zaczerwienionej skórze pojawiła się wysypka. – Wystarczy, że im się przyjrzyysz – dodała zachęcająco.

– O czym ty mówisz? – W głosie Dziewczyny Z Krzesła słychać było lęk.

– Zmierchnice. Jej ćmy. Pomornica tędy we mnie weszła, a z nią weszły i one – wyjaśniła nastolatka. Wyciągnęła przed siebie zaciśniętą w pięść lewą dłoń.

– Nastka, nie chcę o tym słyszeć – sprzeciwiła się kategorycznie Dziewczyna Z Krzesła. – Posłuchajmy muzyki albo skoczmy na most, nad rzekę. Tak jak zawsze. Normalnie. Przerażasz mnie. Serio! To jest... – Głos gwałtownie ucichł.

– Jakie, no jakie? – podjudziła Nastka. Jej zęby błysnęły w demonicznym uśmiechu.

– Chore – powiedział szeptem głos.

Ale Nastka go zignorowała. Otworzyła pięść, ujawniając biegnącą przez wnętrze dłoni ledwie zasklepioną kilkucentymetrową ranę. Rozdrapała ją paznokciem. Z uszkodzonej skóry popłynęła krew. Najpierw nieśmiało, a potem mocniej, żwawiej. Czerwone krople spadały na klawiaturę.

Kap, kap, kap...

– W ciebie też może wejść. Staniesz się silna, niezniszczalna. Tędy wpuściłam ją do siebie. Odtąd komunikujemy się telepatycznie. – Wskazała ranę. – To było jak przejście. Ją też tak samo otworzę. – Nastka przeniosła wzrok z krzesła na bawiącą się obok kilkuletnią dziewczynkę z pluszowymi słuchawkami na uszach. Wydobywała się z nich jakaś wesoła dziecięca melodia. – Zrobię to, bo jej ból będzie krótki, za to nagroda nieporównywalna ze szkodą. Nikomu nie pozwolę jej skrzywdzić. Nauczę ją, jak się bronić – dodała.

Z ukrytej w biurku bocznej szuflady wyciągnęła skórzaną pochwę. Zrobiła to ostrożnie, z namaszczeniem. Wysunęła z niej niewielki nóż z ręcznie rzeźbioną rękojeścią. Ostrze błysnęło w słońcu.

– A ty? Zrobisz to? Też ją wpuścisz? – spytała łagodniej, z nadzieją w głosie. Obróciła nóż w dłoniach. – Wtedy staniemy się siostrami. Siostrami krwi.

– Nie! – jęknął głos.

– Tchórz. – Z oczu Nastki posypały się iskry. – Zwykły tchórz!

– Gabrysi też tego nie zrobisz! – Głos Dziewczyny Z Krzesła był śmiertelnie poważny. Donośny. – Nie pozwolę ci na to.

– Gównu masz do gadania. To nie twoja siostra – warknęła Nastka i wstała z krzesła. Wetknęła ostrze noża za pasek spodni i podeszła do dziewczynki. Z rany na jej ręce wciąż wolno kapą krew.

Dziewczynka miała takie same jak siostra blond włosy i identyczne granatowe oczy w kształcie migdałów. Jej zadarty nosek był nakrapiany piegami. Ubrana w białą sukienkę trzymała w dłoniach plastikowe figurki przedstawiające Kubusia Puchatka i Kłapouchego. Na podłodze rozstawiła miniaturowe łóżeczka, rozłożyła owoce i skrawki kolorowych materiałów. Była pochłonięta zabawą.

Na widok kucającej obok siostry dziewczynka się uśmiechnęła.

– Pobawisz się ze mną? – spytała, ściągając słuchawki. Spojrzała siostrze w oczy.

– Potem – odpowiedziała Nastka łagodnie, wsuwając zdrową rękę w piąstkę dziecka. Opuszką palca kilkakrotnie przetarła wnętrze malutkiej dłoni. – Potem – powtórzyła i wstała, bo poczuła napierające na udo ostrze noża.

Tym razem zamiast głosu siostry usłyszała inny, równie znajomy, choć mniej donośny. Dobiegał z parteru.

To była jej mama.

– Nastko, zejdziesz po ciasteczka? Już ostygły.

Nastka poderwała się z miejsca i bardziej uchyliła drzwi.

– Przyniesiesz je na górę? – zawołała do matki. – Proszę. Bardzo proszę. – Podeszła do biurka i odłożyła nóż do skrytki. Przykryła ją deseczką, która oficjalnie służyła za dno.

Z kuchni na dole dobiegło ciche westchnienie i przeciągłe „Nooo, dobrze”. Po chwili na schodach dały się słyszeć kroki, a następnie drzwi otworzyły się na oścież. W pokoju, z talerzem czekoladowych ciasteczek, pojawiła się mama. Była ładna, choć składała się z samych odcieni szarości. Szare oczy, szara bluza, szare włosy, szara cera, szare spodnie. Wszystko było jednakowo zmęczone i przygaszone. Wszystko, poza polukrowanymi na żółto-czerwono ciasteczkami. Miały kolorową posypkę, lentilkowe oczka i szeroki uśmiech z pokruszonej czekolady. Pachniały skórką pomarańczową i cynamonem.

– Skaleczyłaś się? – spytała mama, widząc plamy krwi. Kiedy stawiała ciasteczka na biurku, brzegiem talerza trąciła klawiaturę, co wybudziło monitor z uśpienia.

– To nic – odpowiedziała Nastka. – To tylko wczorajsze skaleczenie o gałąź.

Matka czujnie spojrzała na córkę.

– Ale ono już się podgoiło przecież.

– Po prostu puściło, kiedy chwyciłam joystick. – Nastka wskazała na leżący na stole kontroler. – Niezdara ze mnie.

Mama pokiwała ze zrozumieniem głową. Ale nawet nie spojrzała na ranę.

– Odkaż to i zaklej plastrem – poleciła.

Kątem oka zerknęła na rozbłyskujący jasnym światłem monitor. Wyświetlał się na nim założony na YouTube kanał Nastki z ostatnimi polubionymi przez nią filmikami. Kobieta nie skupiła uwagi na ich treści. Prostokątne ikonki zlały się bowiem w jeden wielobarwny ciąg. Podskakiwały przed jej oczami, wznosiły się i na powrót opadały, jak złożony z kolorów pędzący na oślep pociąg. To przez poważną wadę wzroku, wysoką krótkowzroczność, którą odziedziczyła po niej Nastka, kobieta nie lubiła czytać ani używać komputera. Ograniczała te aktywności do koniecznego minimum. Zmrużyła więc oczy i szybko odwróciła wzrok. Gdyby zatrzymała go na dłużej, to może miałyby szansę zobaczyć, że do zatytułowanego *Krąg życia* dwuminutowego filmiku jej córka niedawno dodała komentarz.

„Podobało mi się, jak Zeus zatłukł tę mysz na śmierć”.

Obok komentarza pojawiła się uśmiechnięta buźka. I kciuk w górę. Pierwszą minutę filmiku wypełniało krwawe polowanie na mysz uwięzioną z białym puchatym kotem w pustej wannie. Drugą minutę zdominowała anihilacja myszki. Najpierw kot ją rozszarpał, potem pożarł. Biel i czerwień. Czerwień i biel. Były tylko te dwa kolory. Tylko one i głośny chichot kogoś, kto stał po drugiej stronie kamery.

– I nie siedź za dużo w komputerze. Pobaw się na dworze. Jest dzisiaj tak ładnie, może pograsz w kosza? – zachęcała mama Nastkę i poprawiała zsuwające się z nosa okulary. Potem podeszła do młodszej córki. – Chodź, Gabi, pomożesz mamie polukrować resztę ciasteczek. – Wzięła małą za rękę.

Wykorzystując nieuwagę matki, Nastka zamknęła okienko z ostatnio odtwarzanym filmikiem. Zatrzymała go na dwudziestej trzeciej sekundzie, na zbliżeniu kadru ust jednego z Preppersów Dnia Zagłady i słowach:

Tę część wbijamy w miękką tkanę.

Nastka dobrze знаła ten filmik. Wiedziała więc, że za chwilę mężczyzna uniesie lizak i wskaże plastikowy patyczek. Zwinnie przesunie go w palcach i umieści w zaciśniętej pięści między dwoma palcami.

W oczy, w policzki lub naczynia krwionośne.

Ciach, ciach, ciach.

Dźgnie nim powietrze.

Raz za razem.

Jego twarz rozpromieni szeroki uśmiech.

Polub. Skomentuj. Subskrybuj.

Jeszcze jeden uśmiech.

Dziewczynka chętnie podniosła się z podłogi. Do kieszonki sukienki wsunęła Kubusia Puchatka i chwyciła matkę za rękę. Przesłała pochylonej nad klawiaturą starszej siostrze całusa i wraz z matką i jej obietnicą, że kolejne ciasteczka będą miały kształt serduszek, wyszła z pokoju. Nastka zamknęła za nimi drzwi.

– To jesteś ze mną czy nie? – zwróciła się do Dziewczyny Z Krzesła. Ona wciąż tam tkwiła, w tym samym miejscu, na obrotowym krześle. Skamieniała.

– Nie wiem, o co ci chodzi – westchnęła z rezygnacją.

– Pokażemy im, gdzie ich miejsce. Użyjemy do tego sprytu i siły.

– O jakiej sile mówisz? I co zamierzasz zrobić?

Nastka nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko inaczej niż zwykle. Jeszcze bardziej złowieszczo i jeszcze bardziej drapieżnie. I choć wyglądała tak pierwszy raz, Dziewczyna Z Krzesła dobrze wiedziała, co ta nowa twarz oznacza. Dobrze wiedziała, co się za tym kryje.

Rozdział 7

Maj 2022

Psim Wzgórzem mieszkańcy Działek Leśnych nazywają położony na wzniesieniu niewielki wybieg dla psów. Ale częściej niż psy zjawiają się tutaj uczęszczający do pobliskiego liceum nastolatki. Jeszcze kilka lat temu w budynku obecnej „dwójki” mieściło się także gimnazjum, do którego – podobnie jak większość dzieciaków z naszej dzielnicy – chodziłam. To tutaj zaprowadziła mnie upiorna wskazówka. Raz jeszcze ją sobie przypominam.

***W pniu dębu, gdzie czarna ziele jama, tam są ich wici.
Boisz się ich latami, choć tylko skrycie.***

Przeszywający chłód staje się jeszcze bardziej dotkliwy z powodu podmuchów wiatru. Niosą ze sobą woń miasta. Najpierw wyczuwam dobrze mi znany ziemisty zapach deszczu. Mieszają się z nim zapachy z pobliskiej piekarni, mułu i wodorostów. Tym właśnie pachnie Gdynia. Nęci i jednocześnie odpycha.

Na urządzeniach typu *street workout* położonych po drugiej stronie wzniesienia wkrótce ktoś się pojawia. To młody mężczyzna w termoaktywnych ciuchach. Podciągając się na drążku, rzuca mi ukradkowe spojrzenia. Odwzajemniam mu się tym samym. Tylko tym razem w moim spojrzeniu czai się żywy, paraliżujący wręcz strach, a nie zwykła ciekawość. Być może mam przed sobą autora wskazówki, która mnie tutaj doprowadziła. Śledzę każdy jego ruch. Po chwili, gdy dołącza do niego kobieta z dzieckiem, dociera do mnie, że to tylko zwykła rodzina. Szybko znikają więc z mojego radaru, a ja zajmuję się tym, po co tutaj przyszłam.

Przemierzając się kolejno między dębami, skrupulatnie je sprawdzam. Badam wypukłości na korze, szukam między korzeniami, a nawet w wydrążonych przez zwierzęta dwóch pobliskich norach. Nie mam pojęcia, co spodziewam się tam znaleźć. Nie bacząc na nic, wdzieram się dosłownie w każdą szczelinę, która mogłaby posłużyć komuś za skrytkę. Tylko taką

wytyczną się kieruję. Wkrótce moje dłonie są całe czarne i lepkie od mokrej ziemi. Od tego zapalczywego drapania i szorstkiej kory połamałam sobie paznokcie, pieką mnie zranione palce. Pod paznokciami mam grudki ziemi i mech. Ale im dłużej szukam, tym bardziej mam poczucie klęski. Kolejny dąb, piąty spośród sześciu rosnących wokół polany, do niczego mnie nie doprowadza. Ostatni, ten najstarszy, zupełnie pozbawiony liści i najprawdopodobniej martwy, stoi w pobliżu skarpy.

Na pierwszy rzut oka i tam niczego nie ma. Żadnej jamy, żadnej dziupli, żadnego spróchniałego konara, mimo znaków ewidentnej degradacji. Ale nie rezygnuję. Podobnie jak wcześniej, także i teraz wciskam palce między szczeliny. Raz za razem natrafiam tylko na twardą i szorstką jak stalowe łuski korę. Dzieje się tak do czasu, kiedy moje palce znajdują niewielką dziurę, z której sypie się próchno. Szarokremowy pył wieloletniego rozkładu. Pod moimi palcami jest go coraz więcej. Kiedy cały osiada na ziemi, spod mojej dłoni wyłania się długa na kilkanaście centymetrów wąska dziupla. Rozszerza się ku dołowi. Wsadzam do środka dwa palce i ostrożnie ją przeszukuję. Opuszki stykają się z jakąś śliską, chłodną powierzchnią. Kiedy ją wyczuwam, serce zaczyna szaleć mi w piersiach. Wydobyć znaleziska nastrecza mi trochę trudności, ale pomagam sobie brelokiem od kluczy, który staje się przedłużeniem mojej dłoni. Zahaczam o niego tkwiący w środku przedmiot i powoli przeciskam go przez dziurę. Kiedy trzymam go w rękach, ledwie wysunięty z folii ochronnej, dociera do mnie, że w tym amoku popełniłam błąd. Cholerny błąd. Nie włożyłam rękawiczek.

A teraz jest już za późno...

W ubrudzonych ziemią dłoniach trzymam nóż. Niewielki bushcraftowy nóż z ręcznie rzeźbionym trzonkiem i krótkim zakrzywionym ostrzem. To najprawdopodobniej tym ostrzem ugodzono Filipa Kalinowskiego. Takie jest moje pierwsze skojarzenie. Lata temu widziałam przecież ten nóż nieraz, choć zawsze z pewnej odległości. Nastka trzymała go w skrzynce zamontowanej pod siedzeniem ogrodowego taboretu. Widziałam go przez płot, widziałam, jak Nastka go stamtąd wyciąga. Widziałam, jak się nim chełpi, jak nóż sztywno tkwi w jej rękach, jak jasno błyszczy jego ostrze. Było jak lustro, w którym się przeglądała. W takich chwilach jej twarz ciemniała zawsze jeszcze bardziej.

Narzędzie tamtej zbrodni na pewno nadal jest przechowywane w policyjnym depozycie albo archiwum. Po chwili to do mnie dociera. A więc

to inny nóż, bliźniacza kopia. Jednak to uderzające podobieństwo nie może być przypadkowe. Ktokolwiek zostawił tutaj nóż, chciał wymusić na mnie jednoznaczne skojarzenie.

Tamta zwykła rodzina musiała się mnie wystraszyć, bo wszyscy zniknęli, jak tylko zobaczyli, co wydobyłam ze skrytki. Jestem tutaj zupełnie sama. Siadam na wilgotnej ziemi i spoglądam na foliowy woreczek, z którego przed chwilą wyciągnęłam nóż. W dziupli był tylko woreczek, nic więcej. Zauważam w środku coś jeszcze. Złożona na pół, lekko poślókła kartka papieru. Podobna do tej, którą wcześniej znalazłam w swoim ogrodzie. Ale nie mogę być tego pewna. By rozwiać wątpliwości, wycieram ręce i wyciągam kartkę z woreczka. Okazuje się, że przeczucie mnie nie myliło. Stara podniszczona kserokopia zadrukowana jest fragmentami bloga. Jest do niej doklejona niewielka karteczka. Kolejny powielony schemat. Blog i ostrzeżenie. Kolejna personalna konfrontacja. Przebiegam wzrokiem tekst.

Nie obchodzi jej, dlaczego zakpiłeś.

I tak słono zapłacisz, jeśli kogoś boleśnie skrzywdziłeś.

***Jeśli zdeptałeś godność słabszego,
popchnąłeś, wyśmiałeś.***

***Za to wszystko i za inne zło, każde z osobna,
przed sądem Pomornicy staniesz.***

***Kiedy jej szpony już oddzielą zepsutego ducha od ciała,
Ona u wrót Nicości będzie stała.***

A Nicość twoim wiecznym lochem się stanie.

***Czarna to otchłań, gdzie daremne
wszelkie duszy jęki, duszy błaganie.***

Zepsute dusze te ognie piekielne wypalą.

Dopóki znów czystością się one nie staną.

Czytam tekst dwukrotnie, a następnie przenoszę wzrok na inny, jeszcze bardziej złowieszczy, bo personalny, komunikat, wydrukowany na doklejonej karteczce. Jego forma i styl nawiązują do pierwszych strof tamtej opublikowanej przed laty przepowiedni, przywodząc na myśl sposób, w jaki swoje myśli formułowała nastoletnia wówczas Nastka. Ale, mimo podobieństw do tej dość nieporadnej składni i stylu, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że za kolejnymi słowami kryje się ktoś inny. Naśladowca.

***Stara mazda CX-3 po mieście jeździ,
za jej kierownicą blond sekretnica siedzi.
Próżna i lekkomyślna, za kółkiem niczego się nie boi.
A co jeśli Pomornica już pod jej drzwiami stoi?***

Kiedy docieram do ostatniego wersu, kartka wypada mi z rąk. Wiem, kim jest kobieta, o której mowa. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Drżącymi dłońmi wydobywam z torebki telefon, odblokowuję ekran i wybieram numer. To jeden z tych, z którymi łączę się najczęściej. Pierwszy sygnał, drugi, kolejny. I jeszcze jeden. Brzęczą mi w uszach, każdy równie długo, z jednakowo natarczywą intensywnością. Następny sygnał przechodzi w głos automatycznej sekretarki. Kurwa!

Próbuję połączyć się ponownie. Tym razem telefon zostaje odebrany po drugim sygnale.

Oddycham z ulgą.

– Co jest? – pyta znajomy głos. Ledwie przebija się przez pulsujący gwar.

Pojedyncze słowa, które udaje mi się wyłowić, nie zdradzają miejsca ani osób, z którymi może teraz przebywać moja mama.

– Gdzie jesteś? – rzucam nerwowo w słuchawkę.

Mocniej przyciskam telefon do ucha.

– Na lotnisku – odpowiada cicho mama.

Teraz sobie przypominam. Dwa dni temu mama poleciała przecież do Oslo, by odwiedzić ciocię, która niedawno przeszła operację wszczepienia by-passów. Wymieniałyśmy się nawet esemesami. Ale przez sytuację z Wiktoorem zepchnęłam tę informację gdzieś daleko, osiadła z tyłu mojej głowy.

– Mam lot przesiadkowy w Warszawie. Będę w domu za cztery godziny. Coś się stało? Chodzi o Wiktora? Są jakieś nowe wieści? – pyta mama.

– Odbiorę cię z lotniska.

– Ale po co ta fatyga? – dziwi się mama. – Mogę przyjechać uberem.

– Nie! – protestuję. – Nigdzie się stamtąd nie ruszaj. Przyjadę po ciebie.

– Ale o co chodzi? – Mama nie ustępuje. Zna mnie, więc wyczuła mój niepokój. – Powiedz mi wreszcie.

Nie odpowiadam. Nie odpowiadam, bo po leśnej polanie rozchodzi się drażniący moje uszy metaliczny szelest. Nasila się z każdą sekundą, wraz

z towarzyszącym temu dźwiękowi stukotem ciężkich butów.

Chrzęst. Chrzęst.

Gałązki łamane pod naporem podeszew.

Kolejne kroki, coraz bliżej, coraz głośniejsze, coraz cięższe. Podnoszę się z ziemi, ale w tym oślepiającym słońcu przedzierającym się przez korony drzew widzę nad sobą tylko potężny zarys męskiej sylwetki. Nic więcej.

Rozdział 8

Czerwiec 2006

Przez boisko przetoczyła się kolorowa fala młodości. Ubrane w jednakowe koszulki i szorty nastolatki trzymały w rękach piłki w jaskrawopomarańczowym kolorze. Dziewczyny wybijały się z ziemi i na ugiętych kolanach lądowały na betonie. Unosiły ramiona w górę i, przy pełnej synchronizacji, szykowały się do oddania rzutu. Potem zaczynały od początku.

– Żwawiej, żwawiej! – zwróciła się do swoich uczennic stojąca za linią boiska krępa kobieta. Miała kręcone blond włosy upięte w kok. Przylegające do jej masywnych ud czarne legginsy obnażały mankamenty sylwetki. Spod rozpiętej bluzy wyłaniała się fałda tłuszczu.

Powietrze przeciął ostry pisk gwizdka.

– Teraz odbijcie piłki o ścianę. – Kobieta wysunęła gwizdek z ust. – Tylko pojedynczo, jedna po drugiej, i powoli. Pooo-wooo-li! – poleciała, przeciągając sylaby i wskazując na pokrytą graffiti ścianę. – Zaraz wracam – dodała. Potem oddaliła się w kierunku sali, w której znajdował się sprzęt sportowy.

– Proszę pani! – usłyszała za sobą cichy głos.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła biegnącą w jej stronę wysoką szczupłą blondynkę. Przypominała jej półprzezroczystą zjawę. Bez okularów zawsze wyglądała inaczej, na jeszcze bardziej bezbronną i niezdarną, niż w rzeczywistości była.

Każda szkoła ma swoją ofiarę. Tutaj jest nią Nastka, pomyślała wuefistka.

– Nastko, trenuj. Chociaż raz bez marudzenia – rozkazała nauczycielka. – Zaraz wracam – dodała łagodniej.

– Mogę usiąść na ławce? Dzisiaj boli mnie brzuch. Jestem...

– Niedysponowana? – Wuefistka weszła dziewczynie w słowo. Zmarszczyła brwi. – Niedysponowana byłaś w zeszłym tygodniu – dodała

z sarkazmem wyczuwalnym w głosie.

– Ale bolą mnie też oczy. – Dziewczyna zmrużyła powieki. – Bardziej niż zwykle.

– Rozmawiałam z twoimi rodzicami. – Nauczycielka westchnęła ciężko. – Twoja wada wzroku nie jest przeciwwskazaniem do udziału w grach zespołowych. No dalej... Ruchy, ruchy... Do roboty! Będzie fajnie! – Z impetem klasnęła w wielkie dłonie. – Zaraz wracam i chcę cię tutaj wtedy zobaczyć. – Zapięła suwak bluzy i wskazała na białą linię odgradzającą boisko od ściany.

Po nieprzespaniu kolejnej z rzędu nocy oczy Nastki faktycznie były w fatalnym stanie. Jej mózg stężały od wielogodzinnego pisania bloga i snucia miliona fikcyjnych wyobrażeń był równie wycieńczony. Kiedy nauczycielka zarzuciła Nastce kłamstwo, oczy dziewczyny znów zafałszowały rzeczywistość. Twarz wuefistki podwoiła się, rozmazała i opadła. Dokładnie tak postrzegała ją uczennica.

– Gdzie mi włazisz pod nogi, niezdaro?! – wrzasnęła Marysia, kiedy Nastka otarła się o nią ramieniem, próbując ustawić się z piłką na końcu kolejki. W tamtej chwili jej nie zauważyła.

Cholerne okulary, pomyślała dziewczyna. *Cholerne okulary są zatrzaśnięte tam, w środku.* Powiodła tęsknym wzrokiem w kierunku zamkniętych drzwi, które prowadziły do szatni. I one były teraz rozmyte, otoczone blednącą poświatą wokół przejścia. Okulary były dla niej czymś w rodzaju oręża. Dodawały jej odwagi. Jak w ogóle miała się bronić przed docinkami, jeśli nawet dobrze nie widziała, z czyich ust padały? Już dwukrotnie w tym roku szkolnym znajdowała okulary połamane. Do pierwszego takiego incydentu doszło w tej szatni, po jednej z lekcji wuefu. Innym razem stało się to na przerwie. Swoje zmiażdżone okulary Nastka znalazła w porzuconym w śmietniku plecaku. Po interwencji rodziców i wstawiennictwie wychowawczyni okulary przestały się łamać. Niestety prześladowania nie ustały.

Cholerne suki.

– Speniałaś? – usłyszała inny głos. Towarzyszył mu rechot. Był wyjątkowo głośny i dobywał się z wielu ust, niósł echem. Nastka nie była teraz w stanie rozpoznać żadnej z tych twarzy, tym bardziej że oczy jej się zaszklily. Nienawidziła tego. Och, jak ona tego nienawidziła. Tych napadów słabości, nad którymi nie mogła zapanować. W chwilach takich jak ta zastanawiała się,

czy faktycznie miała w sobie tę, którą przywołała przez głębokie nacięcie na lewej dłoni. Pomornicę. W miejscu nacięcia poczuła nieprzyjemne mrowienie. Rana już prawie się zagoiła, ale Nastka czuła, że podłużne cięcie znów pulsuje pod bandażem.

Żeby mogła te suki lepiej zobaczyć. Żeby tylko mogła...

Kiedy stanęła na białej linii, rzuciła piłką najmocniej, jak potrafiła, rozładowując przy tym całą nienawiść, którą nosiła w sobie od kilku miesięcy. Z jej ust wydobył się przy tym dobiegający z głębi trzewi pierwotny ryk. Przeraził ją, bo nie spodziewała się, że nosiła coś takiego w sobie. Piłka odbiła się od ściany, ale nie wróciła do rąk Nastki. Trąciła jej ramię i potoczyła się dalej, po boisku. Uderzyła o płot.

– *Shit*, czy można być większą oferumą? – Ten głos Nastka rozpoznała. Był kleisty i obrzydliwy. Dyktatorski. Z tym zawsze kojarzył się jej głos Klary, biuściastej blondyny o pustym wzroku i wodnistych oczach. Klara była też przewodniczącą klasy. Kiedy została wybrana, awansowała do rangi lidera, z którego zdaniem należało się liczyć. Ale Nastka tego imperatywu nie respektowała. Ona zawsze lubiła iść pod prąd.

– Można! – odkrzyknął ktoś, a Nastka poczuła na karku obcy oddech. Pachniał gumą balonową i nienawiścią. Był charakterystyczny, Nastka rozpoznała Magdę, psiapsiółkę Klary. Takich popleczników miała w klasie znacznie więcej.

Potem na klatce piersiowej dziewczyna poczuła sprężynujący ciężar. Pojawił się niespodziewanie i nagle zniknął. Uderzenie nie było silne, ale po pierwszym ciosie nadeszły kolejne i chyba właśnie to zaskoczyło ją najbardziej. Minęła chwila, nim dziewczyna się zorientowała, że wymierzone w nią ciosy to tak naprawdę grad spadających na nią piłek do gry w dwa ognie. Były wszędzie. Na jej głowie, szyi. Uderzały ją w pieszczel, udo, brzuch, a nawet krocze. Rechet nasilał się z każdym kolejnym celnym trafieniem. Nastka skrzyżowała ręce i uniosła je nad głowę, by ochronić się przed kolejnymi razami. Wszędzie widziała jedynie jaskrawopomarańczową barwę. Tylko to miała przed oczami.

– Niedojda!

– Zobacz te ikсы. Zaraz się sama o siebie zapłacze!

– I wypierdoli.

– Ha, ha! No pewka. Bo jakże inaczej. Miejsce frajerki jest na glebie.

– Patyczki się połamią, jak te jej okularki.

– I będzie ryczeć! Buuuuu!

– Ejyyy no. Ale w ogóle jakie okularki? Co wy?! To są dna od słoików! Jej stara robi weki, a jak zeżrą te ogóry albo śledzie ze słoiki, to ona ma okulary. Recykling w wydaniu Seretnych, ha, ha!

– Bida z nędzą!

– I walą tak samo jak ona. Walą zgnilizną!

– I bang!

Powietrze przecięło głucho plaśnięcie przybijanej piątki. Raz, drugi i trzeci.

– Śmierzące dna od słoików połączone drutem. Ale beka!

– Upsss! Wykrakałyście. Ha, ha, ha.

– Ale że co?

– Obczajcie ją!

– Patrzcie, no patrzcie na jej nogi. Zaraz będzie leżeć.

– Leżeć na glebie i ryczeć!

Nienawiść.

Nastka słyszała tylko zewsząd atakującą ją nienawiść ubraną w znajome głosy. Szumiały złowieszczo i po raz kolejny odzierały Nastkę z resztek godności. Stało się dokładnie to, co zapowiedziały. Stawiając kolejne kroki do tyłu, dziewczyna potknęła się o jedną z leżących za nią piłek, zachwiała i runęła na beton. Upadając, uderzyła się boleśnie w ramię i plecy, które przejęły ciężar upadku. Nad dziewczyną natychmiast wyrosły wydłużone cienie. Było ich przynajmniej kilka. Pozostałe koleżanki tylko biernie przyglądały się z boku. Nie protestował absolutnie nikt. Nikt nie stanął w jej obronie.

Znieczulica.

Nastka ostatnio znała ją aż za dobrze. Ale wciąż się do niej nie przyzwyczaiła. Nie sposób się było do niej przyzwyczaić, a tym bardziej ją zaakceptować.

– Komu się teraz poskarżysz? Komu pożalisz się, że nie umiesz chodzić jak człowiek? Swojej ślepej jak kret mamusi? A może twój dziwak stary wpadnie i kolejny raz zrobi tu gnój? – To znów była Klara, tylko jeszcze bardziej zuchwała niż poprzednio. W rękach trzymała piłkę.

W lewym barku Nastka poczuła ostry, palący ból. Teraz chciała tylko dźwignąć się z ziemi, a potem pod nią zapaść. Nic więcej.

Ale taki scenariusz się nie ziścił, bo rozległ się jazgotliwy pisk gwizdka, jako zapowiedź tego, że ktoś przybywa jej z odsieczą.

– Co tu się dzieje? – Głos wufistki grzmiał jak nadciągająca burza. Burza z piorunami. – Rozsunąć się! – padła komenda.

Potem nad Nastką wyrósł kolejny cień. Szeroki i długi. Pachniał kremem Nivea. To była jej nauczycielka.

– Nic ci nie jest? – usłyszała jej zdenerwowany głos. Nad rozmytą sylwetką rozpościerała się ściana błękitu.

– Nie – skłamała. Bark bardzo ją bolał. Plecy też.

– Kto ci to zrobił?

Cisza.

– Nastko, kto ci to zrobił? – Ton głosu nauczycielki stawał się coraz niecierpliwszy. Otaczający dziewczynę krąg wydłużonych cieni bardziej się rozsunął. Jeszcze bardziej się rozproszył. Teraz krąg chciał pozostać anonimowy.

Nastka pomyślała, że tego nie zrobi. Nie odpowie na to pytanie. Ale za jej decyzją nie stał strach przed zemstą koleżanek. To nie to. Zupełnie nie to. Stała za nią siła i rozpierająca ją od środka nienawiść, tak silna, że dziewczyna była pewna, że mogłaby nią rozbić ścianę, choćby tę z graffiti, pod którą leżała. A i tak to byłoby tylko preludium do najważniejszego. Nastka mogłaby dzięki sile swojej nienawiści krzywdzić i zadawać fizyczny ból. Mogłaby na przykład wedrzeć się do głów tych dziewczyn i wyszarpywać z nich zwoje mózgu, nitka po nitce. Aż zostałyby tam sama pustka. Tylko pustka. Nastka wiedziała, że teraz, jak nigdy wcześniej, byłaby do tego zdolna. Wiedziała, że o ile dobrze się do tego przygotowuje, tym razem sama wymierzy sprawiedliwość. Tym razem się nie zawaha. Zrobi to niedługo, już bardzo niedługo... I to przekonanie wypełniało ją niepokonaną siłą, jakiej nie czuła w sobie nigdy wcześniej.

Pomornica.

Czyli mara jednak w niej była, tylko potrzebowała czasu, by się w niej rozrosnąć i przeobrazić. Nastka uśmiechnęła się, co jej nauczycielka wzięła za grymas bólu. Krew pulsowała Nastce w skroniach. Nie czuła wstydu ani bólu, ale jakieś łechcące podekscytowanie tym, co ma wkrótce nadejść.

– Chodź, pomogę ci wstać. – Wuefistka wyciągnęła do niej rękę.

Kiedy wsparta o nauczycielkę Nastka podnosiła się z ziemi, bark zabolął ją jeszcze mocniej. Ale to nie miało znaczenia, bo wiedziała, że już nie jest sama. Na znak potwierdzenia istniejącej między nimi symbiozy inne, sprzymierzone z nią głosy zaszumiały jej w głowie. Nie miały twarzy ani żadnej fizycznej powłoki. Tylko ona je słyszała. Tylko ona miała do nich dostęp.

Kilka godzin później

– Słyszałam, co się stało. Przykro mi. Przepraszam, że mnie przy tobie nie było.

W głosie Leny czaiło się autentyczne poczucie winy.

Podmuchy wiatru stale przybierały na sile. Ale Nastka lubiła, kiedy zapachy miasta owiewały jej twarz, plątały włosy. Lubiała też, kiedy zachodziło słońce, dokładnie tak jak teraz, a na niebo wypełzała groźna szarość. Lubiała, kiedy liście traciły blask, jakim za dnia obdarowywało je słońce. Woląла widzieć, jak gasną, jak pochłania je czarna noc. Jak spowija wszystko to, co żywe. Nic nie mogła na to poradzić. Paradoksalnie w świecie odartym z kolorów i światła czuła się najlepiej. Bezpiecznie.

Kątem oka patrzyła na niedawno zagospodarowaną wokół przestrzeń. Niewielki pusty prostokąt ogrodzono i zaaranżowano na nim wybieg dla psów, po którym teraz hasały dwa beagle'e. Nastce wydawało się, że zamiast łatek psy mają połyskliwe rybie łuski. Czasami wiele rzeczy jej się wydawało, ale już jakiś czas temu przestała kwestionować to, czy faktycznie są one osadzone w rzeczywistości, czy jednak nie. W obawie, by nikt nie wziął jej za wariatkę, nauczyła się też, jak udawać, że niczego dziwnego nie dostrzega. Że jest taka jak inni. Ale ona nigdy taka nie była i tego akurat miała pełną świadomość.

– Dlaczego nie było cię dzisiaj w szkole, Lena? – spytała Nastka. Sama się zdziwiła, że w jej głosie nie było cienia pretensji.

– Źle się czułam. Zostałam w domu – odpowiedział głos Leny. – Nic cię nie boli? Podobno upadłaś na rękę.

Nastka była zbyt dumna, by przyznać, że upadek zostawił jednak bolesny ślad. Ale podebrany matce z szafki nocnej ketonal załatwił doraźnie sprawę. Nastka miała nadzieję, że to wystarczy.

– Po co tutaj przyszliśmy? – spytał głos Leny. Czaiła się w nim obawa.

– Bo nie odpowiedziałas mi wtedy na pytanie.

– Jakie?

– Jesteś ze mną czy nie? – spytała Nastka.

Usłyszała tylko ciężkie westchnienie.

– Ale ona nie istnieje... Ta twoja mara... Powinnaś...

Nastąpiła długa chwila niewygodnej ciszy.

– No wyduś to z siebie wreszcie.

– Powinnaś z kimś o tym porozmawiać – wyszeptał z troską głos Leny. – Z jakimś specjalistą.

Nastka wybuchnęła zgrzytliwym śmiechem.

– Z konowałem? Niby o czym? To oni są nienormalni, a nie ja. – Obruszyła się. – Rozmawiam z nią. To mi wystarczy.

Kolejna chwila pełnej napięcia ciszy.

– Właśnie o to chodzi. Chcę cię zrozumieć, ale nie potrafię. Tracę cię.

– Tracisz? Boshe... Lena! Jakie to górnolotne – prychnęła Nastka. – Bawisz się w nudną dorosłość twoich starych czy co?

– Rozmawiasz z kimś, kogo nie ma – wyszeptał głos Leny. – Z kimś, kto przyszedł do ciebie we śnie i zapewnił, że razem z tobą będzie wymierzał sprawiedliwość. Z kimś, z kim, jak twierdzisz, dzielisz ciało? Słyszysz, jak to brzmi?

– *Whatever*. – Nastka wzruszyła ramionami. – Nie będę ci się więcej tłumaczyć. Czas najwyższy skończyć z nimi, trzeba zrobić czystkę. Albo, skoro tak lubisz gładkie słówka, przeprowadzić eksterminację. – Zęby Nastki błysnęły w chytrym uśmiechu.

– O kim ty mówisz?

Z plecaka opartego o drzewo Nastka ostrożnie wydobyla papierową grę w piekło – niebo. Wsunęła w starannie wykonane origami oba kciuki i palce wskazujące. Wprawione przez nią w ruch ścianki na przemian zamykały się i otwierały, odsłaniając zapisane czarnym tuszem imiona.

Magda. Klara. Malwina. Justyna. Michał. Marycha.

Były jeszcze jakieś, ale ścianki zmieniały się zbyt szybko, by Lena mogła je odczytać. Za to w oczy rzuciło się jej coś innego. Każde osadzone było

w namalowanym pastelami niewielkim, ale bogatym w szczegóły rysunku. Motywem przewodnim każdej ilustracji były ćmy.

Nastka kolejny raz przetasowała ścianki. Na koniec odsłoniła jedyną pustą. Widniała na niej tylko ćma z szarymi, nakrapianymi na czarno skrzydełkami.

– A kogo ty wybierasz? Wpisz tutaj imię – poleciła i wskazała na ściankę.

– Nikogo – odparła kategorycznie Lena. – I po co ci tamte imiona? To jakiś skarbczyk nienawiści czy co?

– Ciepło... ciepło... – podekscytowała się Nastka. Potarła dłonie. – A co jeśli ci powiem, że wiem, kogo ty nienawidzisz? Bo nie jesteś jakąś pieprzoną Matką Teresą, która wielbi wszystkich i wszystkim wybacza. To jak będzie, zrobisz to sama czy mam cię wyręczyć?

– Dostyc. Spadam stąd. – Głos Leny zaczął się oddalać.

– Serio nie jesteś ciekawa, na kogo padnie?

Nastka poprawiła zsuwające się z nosa okulary. Wydobyła z kieszonki plecaka czerwony długopis, przycisnęła go do papieru i zapisała coś na pustej ścianie. Powiodła wzrokiem za oddalającą się przyjaciółką. Dzięki okularom obraz nieco się wyostrzył.

– Hej, Lena. Naprawdę nie chcesz wiedzieć? – zawołała. – Zaraz zrobi się ciekawie. Cho!

Lena, kierowana bardziej lękiem niż ciekawością, wróciła na swoje miejsce. Nastka słyszała wyraźnie jej głos. Był stanowczy i żądał odpowiedzi.

– Chcę tylko wiedzieć, po co to wszystko.

– Dobra, to w takim razie kompromis. Ja potrzynam piekło – niebo i będę zmieniać ścianki.

– Czego chcesz ode mnie?

– Pamiętasz tamtą wyliczankę?

– „Piekło, niebo, czyściec, raj, swoją duszę tutaj daj” – wyrecytował głos Leny.

– Dobrze. Bardzo dobrze. To jeszcze raz, tylko trochę wolniej.

Głos powtórzył słowa wyliczanki, a w tym czasie Nastka kolejny raz przetasowała papierowe ścianki. Kiedy Lena wypowiedziała ostatnie słowo, Nastka zatrzymała grę na jednym z pól.

– Dobry wybór! – zareagowała, przyglądając się literom zapisanym czerwonym tuszem, które przed chwilą naniosła na ostatnią ściankę.

– Kto tam jest? – spytał głos Leny. – I co to wszystko znaczy?

– Voilà! – Nastka szeroko rozłożyła szczupłe ramiona, zupełnie nie czując niedawnego bólu. Rozpierała ją siła, jeszcze potężniejsza niż wcześniej. Jej twarz pociemniała, wyraźnie przemknął po niej jakiś cień. W prawej dłoni nadal miała złożone origami z odsłoniętą jedną ze ścianek. – Cóż, skoro los tak chciał! – wysyczała triumfalnie.

– Los?

– Właśnie skazałaś Filipa Kalinowskiego.

– Skazałam? Niby na co?

Nastka uśmiechnęła się złowieszczo.

– Na śmierć.

Rozdział 9

Maj 2022

Miejsce, które budzi złe wspomnienia, potrafi skutecznie zafałszować rzeczywistość. I dokładnie to stało się teraz. Szelest, jaki pod wpływem stresu wzięłam za anomalię, okazał się tylko ortalionowym płaszczem. Noszący go mężczyzna był strażnikiem leśnikiem, najprawdopodobniej nasłanym przez rodzinę z dzieckiem. Pewnie uznali, że niszczyłam kilkusetletnie pomniki przyrody. Tak to musiało wyglądać. Przymocowane do kory dębów zielone tabliczki faktycznie informowały, co to za drzewa. Pochłonięta podążaniem za wskazówką, zupełnie je zignorowałam. Na szczęście skończyło się tylko na pouczeniu i mojej prędkiej ewakuacji z tej przeklętej polany.

Mimo że mieszkam zaledwie kilkaset metrów od tamtego miejsca, od szesnastu lat konsekwentnie go unikam. Złe wspomnienia są niczym w porównaniu z rozrastającymi się przez lata wyrzutami sumienia. A może nawet współodpowiedzialnością za śmierć. Filip Kalinowski nie zginął z moich rąk, jednak zaniechanie daje przecież ciche przyzwolenie złu, pod jakąkolwiek postacią by się ono ukrywało. Wtedy, jak się wkrótce okazało, zło miało twarz chorej na schizofrenię i schizotypię trzynastolatki, z którą przyjaźniłam się od kilku lat.

Gdybym ją wtedy powstrzymała, gdybym pod tamtym starym dębem podarła to jej cholerne piekło – niebo, Nastka nie wpisałaby na papierową ściankę jego imienia i nazwiska. Nie wylosowałaby go z moją pomocą, nieważne, że wtedy zupełnie nieświadomą. Idiotyczna gra nie skazałaby Filipa na śmierć. To był łańcuch przyczynowo-skutkowy, którego w porę nie przerwałam. Do dzisiaj głowię się nad tym, czy mogłam zorientować się wcześniej, że Nastka jest tak nieobliczalna. Nie byłam już przecież naiwnym dzieckiem, tylko przedwcześnie dojrzałą dwunastolatką. Leną. Bo tak Nastka się do mnie zwracała. Twierdziła, że powinnam nosić imię jej ulubionej postaci z kreskówki, niepokornej i pyskatej, bo bardziej pasowało do mnie niż moje własne.

Do przylotu mamy pozostały jeszcze trzy godziny. Odpisuję na wiadomość Aliny zaniepokojonej brakiem kontaktu ze mną. Nie było mnie w studiu, odkąd Wiktor trafił do aresztu. Proszę ją, by przekierowywała wszystkie połączenia potencjalnych klientów na swój numer. Tylko do końca tygodnia. Tuż przed aresztowaniem Wiktora oddałam do realizacji duży projekt, deadline kolejnego przypadku za dwa tygodnie. A to daje mi moment oddechu, którego teraz tak bardzo potrzebuję. Alina i ja nie jesteśmy ze sobą na tyle blisko, by zapytała mnie, czy za moją prośbą kryją się jakieś kłopoty. Ale może skądś się dowiedziała o Wiktorze i o tym, co działo się w moim życiu przez kilka ostatnich dni. Tego nie wiem. W każdym razie Alina odpisuje mi zdawkowo „Okej, wszystkim się zajmę”. Tyle mi wystarcza.

O trzynastej, czyli za ponad dwa kwadransy, miałam zaplanowane widzenie u Wiktora w areszcie śledczym. Nie sprowadzała mnie do niego chęć pojednania, wybaczenia ani tym bardziej tęsknota, a tylko jego przyziemna prośba o przywiezienie mu najpotrzebniejszych rzeczy. Miałam je oddać strażnikowi przy wejściu. Teoretycznie mogłabym nawet nie spotykać się z Wiktorem, ale przecież łączy mnie z nim o wiele więcej niż to krótkie i nieudane małżeństwo. Nie chodzi nawet o targające mną emocje, bo one wciąż są. Żywe, namacalne i bolesne. Nie potrafię pozostać wobec nas zimna i obojętna. Nawet jeśli sprawiam takie wrażenie, to tylko pancerz, w którym się chowam.

Ale w obliczu ostatnich wydarzeń między mną a Wiktorem wytworzyła się jeszcze jedna zupełnie inna nić powiązań. To ona mnie tutaj przywiodła.

Przeszłość.

On też tam wtedy był, tamtej dusznej czerwcowej nocy dwa tysiące szóstego, w noc zabójstwa Filipa Kalinowskiego. Przyszedł do naszego domu, na zaproszenie mojego brata, na imprezę, którą Janek zorganizował pod nieobecność naszych rodziców.

Było nas wtedy więcej: on, Filip Kalinowski i kilkoro ich wspólnych znajomych.

Ja też tam byłam, choć głównie w łóżku, trawiona wysoką gorączką.

Wszyscy tam wtedy byliśmy.

I wszyscy czegoś zaniechaliśmy.

Kiedy wchodzę do sali widzeń, Wiktor już na mnie czeka przy tym samym obskurnym stole. Spodziewałam się, że dalszy pobyt w areszcie odciśnie na nim widoczne piętno. Jednak zamiast kolejnego cienia na jego twarzy pojawiło się coś, czego nie widziałam od momentu aresztowania. Nadzieja. Siadam naprzeciwko męża. Nasze spojrzenia się spotykają, choć są równie asekuranckie jak poprzednio. Nie wiem, co mój mąż czuje i myśli. Nie potrafię go rozszyfrować.

– Przyniosłam to, o co prosiłeś – rzucam sucho.

– Dziękuję. Ale może wcale te rzeczy nie będą potrzebne.

Marszczę brwi.

– Nie rozumiem.

– Wróbel twierdzi, że na etapie postępowania przygotowawczego tymczasowe aresztowanie może zostać uchylone albo zamienione na łagodniejszy środek zapobiegawczy. Będzie się o to starał – mówi i bada moją reakcję.

Nie wiem, co w związku z tym czuję.

– Czy to znaczy, że będziesz mógł wrócić do... – Domu. Ostatnie słowo, najbardziej pasujące do kontekstu, naturalne i oczywiste, nie przechodzi mi przez gardło. Nie może, bo drzwi naszego domu są dla niego zamknięte.

I takie pozostaną.

– Nie chcę na razie zapeszać. Ale... – urywa. – Nie spodziewałem się, że jednak przyjdiesz – dodaje Wiktor po chwili.

– Ja też nie – mówię otwarcie. – Przyszłam, bo jest coś, o co chcę cię zapytać. Tamta noc, kiedy zginął Filip. Pamiętasz ją?

– Zakładam, że wszyscy ją pamiętamy. Aż za dobrze. – Wiktor wzdycha i wbija wzrok w sufit. Ucieka gdzieś myślami. – Najbardziej zjebane sytuacje zostawiają po sobie taki ślad, jaki zostaje na skórze po zetknięciu ze żrącym kwasem. Skóra częściowo się goi, ale kwas już na zawsze zmienia jej strukturę. – Wiktor opuszcza ręce i pociera dłonią przedramię. Robi to z taką zapalczywością, że na jego ramieniu wykwitają czerwone plamy. – Ale po co ci kolejne wycieczki w przeszłość? Znowu chodzi o tę wariatkę?

W jego pytaniu wyczuwam zniecierpliwienie.

Nie wtajemniczam go w istnienie kolejnej poszlaki wskazującej na związek Nastki z tym, co się dzieje. Im mniej wie, tym lepiej. Przynajmniej na razie.

– Próbuję zrozumieć – mówię ogólnie. – Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nawet po tylu latach.

– Bo nie było o czym.

– Czyżby? Dlaczego wtedy skłamałeś?

Nie tak miało to zabrzmieć, ale moje pytanie samo przekształciło się w wycelowane w niego oskarżenie. I właśnie tak odebrał je mój mąż.

Wiktor sztywnieje i gwałtownie prostuje się na krześle. Przenosi na mnie wzrok. Z jego oczu sypią się iskry.

– O co ci chodzi?

– Twierdziłeś, że tamtej nocy wyszedłeś z naszego domu przed północą.

– Bo tak było. – Obrusza się. Jego noga niespokojnie drga pod stołem. – To była chujowa impreza, już od samego początku. Janek miał obsesję na punkcie swojej elektronicznej muzy, którą w tamtym czasie tworzył. Chciał, żeby tylko wokół tego kręcił się cały wieczór. Wszyscy wyszliśmy. Ja, Alicja, Mikołaj. Myślałem, że Filip też się wtedy ewakuował. Ale było spore zamieszanie. Wszystko działo się szybko. Nie jestem pewien, kto, gdzie, kiedy i w jakim kierunku poszedł.

– Ale nie dlatego wyszliście przed czasem. Nie dlatego, że impreza okazała się fuckupem? – bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Nie – potwierdza Wiktor. – Janek kazał nam się zawijać, bo wasi starzy mieli wrócić wcześniej. Wpadł w panikę. Miał pół godziny, żeby doprowadzić dom do ładu przed ich przyjazdem. Ale to przecież wiesz.

Wiem. Ale chciałam to usłyszeć z jego ust.

– Czy wtedy zapomniałeś o pigułkach? Przez ten pośpiech?

Na ułamek sekundy Wiktor zastyga w bezruchu, potem krzyżuje dłonie na piersiach. Znam język jego ciała i tę jego defensywną pozę.

– O jakich pigułkach mówisz?

– O rozkruszonej, rozpuszczonej pigułce i różowej smudze pod umywalką, jaką po sobie zostawiła. Drugiego takiego pudrowego cukierka, jeszcze w całości, wyłowiłam z muszli klozetowej. Janek mi powiedział, że ty je przyniosłeś... Ecstasy.

Mam nadzieję, że Wiktor zaprzeczy. Liczę, że za obecność ecstasy na imprezie nie odpowiadał mój mąż. Mam nadzieję, że obarczenie Wiktora winą

to tylko kłamstwo mojego brata, któremu, przez wzgląd na naszą bliską relację i jego chorobę, zawsze łatwiej mi było wybaczać. Ale Wiktor nie zaprzecza.

Damn!

– To nie ma związku. Nie bądź naiwna – odpowiada. – Prawie na każdej imprezie przewijały się dragi, wtedy i teraz. A ecstasy to żaden hardcore. Ja je tylko wtedy zorganizowałem. Twój brat zrobił z tego aferę. Nie wziął ich ani on, ani tym bardziej Filip, jeśli o to chcesz spytać. To był zresztą trefny towar. Tani szmelc, który nie dawał żadnego kopa. Zero fazy, przepalona kasa. Pudrowe cukierki. Nic więcej. Dokładnie tym były.

– To o nie pokłóciłeś się z Filipem? Bo na imprezie doszło między wami do spięcia...

Wiktor patrzy na mnie spode łba. Jeśli już na początku tej rozmowy miał jej dosyć, teraz jego niechęć wobec mnie i moich pytań się zwielokrotniła. Uderza palcami w blat stołu. Robił tak zawsze, kiedy dochodziło między nami do sprzeczki, a on miał zamiar poderwać się z miejsca i odejść. Zresztą zawsze odchodził pierwszy.

– Dużo wiesz, jak na kogoś, kto podobno wtedy spał – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Nie odpowiedziałeś.

– Nie pokłóciliśmy się – oznajmia twardo. – To była zwykła wymiana zdań.

– Czy tamtego wieczoru poza tobą, Filipem i Mikołajem byli jacyś inni chłopcy? – dociekam.

– Inni? To znaczy jacy?

– Nie mam pojęcia. Ktoś, kogo mój brat zaprosił na imprezę.

– Nikogo takiego nie widziałem – odpowiada Wiktor zdecydowanie. – Nie sądzę, żeby Janek wtedy spotkał się z kimś jeszcze. Nie miał nawet czasu na dłużej przyłączyć się do nas. Kilka godzin przesiedział wtedy w pokoju, dostrajając tę swoją muzę – mówi, ale jego spojrzenie nagle się zmienia. Staje się jeszcze bardziej surowe, wręcz oskarżycielskie. – A ty? – pyta.

– Co ja?

– Z jakiegoś powodu ciągniesz mnie za język, a sama wiesz o wiele więcej niż to, do czego się faktycznie przyznajesz. Wiesz, dlaczego ja nigdy nie

wracałem do tamtego wieczoru? Nie zadawałem tych wszystkich pytań, które mogłyby równie dobrze obarczyć ciebie jakąś cholerną winą?

W słowach Wiktora wyczuwam zapowiedź zastawianej na mnie pułapki.

Milczę.

– Bo jedno też nie dawało mi spokoju.

Nadal milczę.

– Przyjaźniłyście się. Ty i ta wariatka.

– Nigdy nie była wariatką – prostuję. – I nie zawsze była chora.

– Teraz to nie jest istotne. To tylko słowa.

– A co w takim razie jest istotne?

– Ty też kłamałaś.

W moim przedłużającym się milczeniu kryje się potwierdzenie jego słów. To prawda. Kłamałam. Czekam, aż to on obnaży jedno z moich kłamstw słowo po słowie. Może wreszcie wtedy będę mogła odetchnąć z ulgą.

– Twierdziłaś, że tamtej nocy nie wychodziłaś ze swojego pokoju. Bang! Pierwsze kłamstwo. Widziałem cię przed domem kilka minut po tym, jak Janek kazał nam się rozejść.

– A co ty tam robiłaś?

– Jaraliśmy. Byłem z Alicją. To teraz nie ma znaczenia. Ja spytałem, a ty nie odpowiedziałaś. Co tam robiłaś? – domaga się wyjaśnienia. Staje się natarczywy.

– Janek mnie obudził, bo Tajfun uciekł. Któreś z was zostawiło uchyloną furtkę... – odpowiadam, zgodnie z prawdą. – Poszłam go szukać w lesie...

Po swoich słowach zawieszam głos, czekając, aż Wiktor podważy to, co powiedziałam. A jeśli tego nie zrobi, to może doda, że widział mnie potem jeszcze w innym miejscu.

Ale tym razem niczego już nie dodaje. Niczego nie kwestionuje. Zostawia mnie z czarnym kłębem wieloletnich wyrzutów sumienia, które wciąż nie mogą się ze mnie wydostać.

Z niego pewnie też, bo odnoszę wrażenie, że oboje robimy to samo. Robimy to doskonale, bez jednego mrugnięcia.

Kłamiemy.

Rozdział 10

Czerwiec 2006

Ulicę Iglaną spowijał mrok. Mrok i absolutna cisza. O tej porze ta zamieszкана przez kilka rodzin ulica na skraju lasu, prawie zawsze była pusta. Martwa. Światła latarni punktowo kładły się na chodniku. Co kilka metrów przecinała je zupełna ciemność, z której na powrót przebijało się to samo pomarańczowe światło. Z mroku raz po raz wyłaniały się dwa obiekty. Większy i cięższy poruszał się na rowerze, bardziej smukły i zwinny, na rolkach.

– A to skurwiel. Widzisz, że ledwo się trzyma? – Jadący BMX-em Wiktor zwrócił się do pędzącej obok blondynki. Zwolnił i wskazał na swoją kierownicę. Wydobywający się z niej stukot jeszcze bardziej się nasilił. Chłopak gwałtownie zahamował i zeskoczył z roweru. Oparł go o płot posesji numer piętnaście. Sąsiadowała z tą, do której zmierzał.

– No serio, zabiję gnoja. Twierdził, że wspornik jest sprawny. A to szmelc. Zobacz, cały jest luźny. Stówa w błoto – wysyczał z wściekłością, wskazując na niewielki element przymocowany do kierownicy. Oświetlił go telefonem.

Chwyając się jednej z mijanych po drodze latarni, Alicja wyhamowała. Okrążyła ją i zatrzymała się obok swojego chłopaka.

– Daj spokój – przykucnęła przy Wiktorze pochylonym nad BMX-em. – Nie rób już na starcie kwasu. Załatwisz to jutro.

Chłopak odburknął coś, czego dziewczyna nie zrozumiała.

– Weź eskę, to wyluzujesz. Cały jesteś spięty. – Wsunęła mu obie dłonie w tylne kieszenie dzinsów, a potem zacisnęła na jego pośladkach.

– Tu jej nie ma – wyszeptała Wiktorowi do ucha z udawanym zdziwieniem. Zagryzła dolną wargę. Spięta twarz chłopaka rozluźniła się.

– Szukaj dalej – zachęcił, mrużąc oczy. – Już blisko.

Alicja wyciągnęła dłonie z kieszeni i wsunęła je pod koszulkę Wiktora. Przez chwilę łąskotała jego skórę palcami, a następnie paznokciami narysowała na niej kilka bolesnych, głębokich linii. Potem je rozmasowała. Chłopak zasyczał z bólu i rozkoszy. Wsunął pod koszulkę dłoń, zacisnął ją na rękę Alicji i skierował w okolice swojego pępka. Drugą ręką poluzował pasek spodni. Jego oddech przyspieszył. Przesunął rękę dziewczyny nad swoje podbrzusze, skąd silnym, gwałtownym ruchem skierował ją niżej, za pasek spodni. Ręka Alicji momentalnie wylądowała w jego bokserkach, na nabrzmiałym z podniecenia członku.

– Zobacz, to ta mała psycholka? Czy ona nas podgląda? – Alicja gwałtownie odsunęła się od chłopaka, czując na sobie czyjś wzrok.

Okno znajdujące się na piętrze jednorodzinnego nieoświetlonego budynku, przy którym się zatrzymali, rozbłysnęło teraz jasnym światłem. Stała w nim z nosem przy szybie szczupła blondynka. Była blada i zupełnie nieruchoma. Nierzeczywista. Upiorna. Takie sprawiała wrażenie. Miała na sobie czarną obszerną koszulkę, a na nosie okulary o dużych okrągłych szklach. Przesłaniały połowę jej twarzy. Z samotnej doniczki ustawionej na parapecie sterczał jakiś wąski podłużny przedmiot, który po chwili wzięła do ręki.

Różdżka?

Linijka?

Kijek?

Pałka?

Nóż?

Alicja nie miała bladego pojęcia. Stała zbyt daleko. Ale intuicja podszeptowała jej same złe obrazy. Znała tę dziewczynę, znała drzemiące w niej niebezpieczne skłonności. Były z nią połączone. Nierozerwalnie.

– Niech sobie popatrzy – powiedział Wiktor chełpliwie i zapiął pasek. Z przedniej kieszonki spodni wyciągnął niewielki przezroczysty woreczek wypełniony kolorową zawartością. Potrząsnął nim. Wydobył z niego różową pudrową tabletkę z wytłoczonym na niej serduszkciem. Podał ją Alicji.

Odbierając pastylkę, wycelowała środkowy palec w przyglądającą się jej nadal dziewczynę. Potem ostentacyjnie wsunęła tabletkę do ust. Pigułka błyskawicznie rozpuszczała się na jej języku. Alicja zacisnęła wargi i, stając na palcach, przywarła do ust chłopaka. Dyskretnie wsunęła w nie pigułkę, pozostawiając na chwilę swój język w jego ustach. Były słodkie i słone.

Wilgotne i gorące. Takie, jak lubiła najbardziej. Wypełniło ją wtedy to dobrze znane ciepło. Miało swoje źródło w jej podbrzuszu, skąd rozchodziło się falami do każdej z kończyn, wraz z przyjemnym, pulsującym mrowieniem. Kiedy chwilę później ponownie spojrzała w okno na pierwszym piętrze, dziewczyny już nie było. A może była i tylko chowała się w spowijającej teraz pokój ciemności. Alicji trudno to było ocenić.

– Czytałeś jej bloga? – spytała po chwili. Po jej nagich plecach przebiegły ciarki.

– O kim mówisz? O tej świrusce?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Oboje trafiliśmy na jej listę „znenawidzonych”.

– Co to znaczy?

– Cholera ją wie. – Alicja wzruszyła ramionami. – Laska od jakiegoś czasu kleci upiorne wierszyki. O Pomornicy.

– A co to takiego?

– Jakaś pieprzona mara.

– Fajnie. – Wiktor zaśmiał się lekceważąco. – Fajnie, że się z kimś zaprzyjaźniła. Że rozmawia z kimś innym niż tylko ze sobą i z siostrą Janka. Niech sobie pisze – stwierdził i podprowadził rower do furki. W głębi ogrodu dostrzegł dwa ruchome cienie. Z miejsca, w którym się znajdowały, nieopodal stawu ozdobionego kolorowymi lampionami, biło jasne światło. Dobiegały stamtąd rytmiczne ciężkie basy, delaye i dubstepy. W tych charakterystycznych powtarzających się dźwiękach rozpoznał autorską muzykę Janka. Towarzyszył jej radosny gwar. I on chciał być już tego częścią.

Alicja ściągnęła rolki, związała je ze sobą sznurówkami, przewiesiła przez ramię i pchnęła furkę. Weszli do środka, najpierw ona, a tuż za nią Wiktor. Ruszyli prowadzącą do ogrodu kamienną ścieżką. Wciąż była wilgotna i dość śliska, prawdopodobnie za sprawą włączonych zraszaczy. Z każdym kolejnym krokiem muzyka stawała się coraz głośniejsza. Była bardziej nośna, intrygująca, może nawet bardziej hipnotyzująca niż ta, którą Janek puszczał im jeszcze niedawno na poprzedniej imprezie. Zrobiła na Wiktorze jeszcze lepsze wrażenie. Wprowadzała go w przyjemny trans.

Może to piksa zaczyna powoli działać? – pomyślał. Tym razem wchodzi gładko. Gładko i wyjątkowo szybko.

Wiktor lubił tutaj przychodzić. Nie dlatego, że jakoś specjalnie przyjaźnił się z Jankiem. On zawsze wydawał mu się zbyt emocjonalny i wrażliwy. Może nawet tkliwy. Niemęski. Nadmiernie reagował na wszystkie bodźce, te dobre i złe, a Wiktor stanowił jego zupełne przeciwieństwo. Szkoda mu było czasu i energii. Zamiast się zagłębiać i rozwarstwiać, Wiktor lubił działać. Szybko i skutecznie, a przede wszystkim w sposób, który mógł wywrzeć na innych wpływ. Wiktor lubił przewodzić i inspirować. Niechętnie więc oddawał kontrolę innym. Ale pod nieobecność starych Janek często organizował dobre, ostro zakrapiane imprezy. Poza tym miał smykałkę do muzy. W pewien sposób robiło to na Wiktorze wrażenie. Imponowało mu.

Tym razem Janka nie było w pobliżu. Mikołaj zanurzony po kolana w wodzie brodził w stawie. Kolejny już raz próbował wspiąć się na dryfującą na wodzie deskę surfingową. Bez powodzenia. Ewidentnie był nieźle wstawiony. W koronie drzewa rosnącego nieopodal stawku raz po raz błyskało czerwone światełko. Dopiero kiedy Wiktor odchylił głowę, zorientował się, że światełek jest znacznie więcej. Połączone w kilkumetrową girlandę owiniętą wokół konarów, zwisały z domku na drzewie. Wiktor oparł o pień swój rower.

– No i jak? Nówka sztuka, co? – usłyszał znajomy głos. Dobiegał od strony ganku prowadzącego do ogrodu.

Odwrócił się. Na drewnianym podeście stał Filip Kalinowski. Wiktor nie rozumiał, skąd Kalinowski miał takie powodzenie u dziewczyn. Jeszcze bardziej nie rozumiał, jakim cudem cherlawy, niski chłopak zyskał autorytet u najbardziej popularnej w szkole ekipy. Filip miał szczupłe, wątłe ciało, rude, sztywne jak druty włosy i jasną cerę nakrapianą piegami. A to nie są atrybuty powszechnie uznawane za atrakcyjne. Odnosił jednak spore sukcesy w BMX racingu i tylko to, zdaniem Wiktora, ratowało jego pozycję.

– Jaja sobie robisz? – burknął.

Stojąca za nim Alicja chwyciła go za ramię i ścisnęła dwukrotnie. W ten sposób sygnalizowała mu, aby odpuścił. Ona zawsze odpuszczała, a on dążył do konfrontacji, tym bardziej, jeśli był pewien, że ktoś celowo próbuje go zrobić w wała. A dokładnie tak teraz się czuł.

– Sorry, zwrotów nie przyjmuję – roześmiał się Filip i pokonał kilka schodków prowadzących do ogrodu. Kostki lodu głośno zagrzechotały w jego szklance. Pociągnął z niej łyk coli. W świetle przewieszonych przez balustradę lampionów oczy chłopaka błyszczały radośnie, na jego policzkach kładły się

kolorowe cienie. Tego też Wiktor zawsze mu zazdrościł, tej niewymuszonej energii i światła, które Filip w sobie nosił.

Stał w miejscu i czekał, aż chłopak do niego podejdzie. Odezwał się dopiero chwilę później, kiedy stanęli ze sobą twarzą w twarz.

– Nie cwaniakuj, okej? Zabieraj ten szmelc. – Wiktor wskazał na metalową kłamrę przytwierdzoną do kierownicy BMX-a. – Stówa ma do mnie wrócić. I to ASAP.

– Pogrzało cię, stary? – Na twarzy Filipa malowało się rozbawienie. – Nie ma mowy. Nie oddam ci tej forsy.

– Ach, tak?

– To nie wina wspornika, tylko twoja. Zaczniemy od tego, że widelec roweru jest koślawo przytwierdzony do kierownicy – wyjaśnił Filip spokojnie. – Gołym okiem widzę, że wspornik też jest źle przykręcony. Mogę ci to poprawić, spoko...

– Nie rób ze mnie frajera, co? – wysyczał Wiktor. – Uważasz, że co... Że nie wiem, jak to się robi?

– Hej, daj już spokój – wtrąciła się Alicja. Przeczynała, że ta rozmowa nie zmierza w dobrym kierunku. Widziała, że złość Wiktora eskaluje. – Filip powiedział, że na to spojrzysz – dodała łagodnie i położyła swojemu chłopakowi rękę na ramieniu. – Razem na pewno...

Wiktor czuł, że z każdą kolejną sekundą coś się w nim zmienia. Rozrasta i rozprzestrzenia. W skroniach głośno pulsowała krew.

Tyk... Tyk... Tyk...

Na jego ciało oddziaływała nowa siła. Ale zamiast spodziewanej po zażyciu ekstazy euforii i tej niezwykłej mocy, jaką mu zwykle dawała, czuł tylko jej namiastkę. I to tę najbardziej przyziemną. Była nią wściekłość. Huczała mu w głowie. Napierała na ciało, na każdy pozostający w gotowości mięsień. To wściekłość podyktowała mu kolejny ruch.

Wiktor pchnął przed siebie zaciśniętą w pięść dłoń. Ale wyprowadzony przez niego cios nie zdążył dotrzeć do celu. Nie zdążył, bo Filip w porę zrobił unik. Był szybszy i bardziej zwinny, niż Wiktor przypuszczał. A ostatecznie siła ciosu obróciła się przeciwko agresorowi. Zachwiała jego ciałem. Wiktor na moment utracił nad nim kontrolę.

Tyk... Tyk... Tyk...

Nim ją odzyskał, było już za późno. Z głuchym pluskiem wylądował w stawie.

Na terenie sąsiedniej posesji za niskim płotem zapaliło się halogenowe światło. Lampa, która reaguje na ruch. Po kilkunastu sekundach światło mrugnęło i zgasło, ale zaraz potem zapaliło się ponownie. Towarzyszył mu stukot bosych stóp uderzających o drewniane deski. Rytmicznie i głośno. Ktoś tam jeszcze był. Być może ktoś właśnie ich podglądał. Posadzone przy płocie wysokie tuje nie pozwoliły Wiktorowi rozpoznać, kto się tam kręcił.

Ociekający wodą chłopak wstał z klęczek i przebiegł wzrokiem po milczących twarzach swoich przyjaciół oraz dziewczyny. Na koniec zatrzymał spojrzenie na twarzy Filipa.

– Zapłacisz mi za to! – krzyknął. Te słowa dyktowały mu furia i wstyd. A kiedy one dochodzą do głosu, trudno o trzeźwy osąd. Tak też było w przypadku Wiktora. Pulsowanie nie ustawało. Wciąż narastało, nabierało siły. – Zapłacisz! – powtórzył jeszcze głośniej, z jeszcze większą nienawiścią.

Rozdział 11

Maj 2022

– Wyjaśnisz mi w końcu, co się dzieje? – Słowa mamy są zagłuszone stukotem walizki, którą za sobą ciągnie.

– Zaczekaj – odpowiadam, odblokowując pilotem zamek jej granatowej mazdy CX-3 zaparkowanej na podjeździe podczas kilkudniowej nieobecności mamy. Ukrytym pod kierownicą przyciskiem otwieram maskę i pod nią zaglądam. Nie wiem, na jakie ewentualne uszkodzenia spodziewam się natrafić. Ale ich szukam, bo znaleziona w lesie kartka z kolejną zawołowaną groźbą jasno wskazywała na moją mamę i na jej samochód. Działam pod wpływem impulsu. Poziom oleju i płynu w chłodnicy jest w normie. Na pierwszy rzut oka żaden przewód nie jest przecięty ani naruszony. Opony też wyglądają na nieuszkodzone. Ale wcale mnie to nie uspokaja. Wiem, do czego Nastka była kiedyś zdolna. Wyobrazenie jej osoby w wersji dorosłej, bardziej świadomej i rozjuszzonej wieloletnią izolacją, jest jeszcze bardziej przerażające. Nieważne, że dawna Nastka została uspijona prochami i terapią. To, co dla mnie teraz zostawia, świadczy, że nadal jest niebezpieczna. Bo nie mam raczej wątpliwości, że to ona stoi za tamtą wierszowaną wiadomością, za pozostawionym najpierw w moim ogrodzie, a potem i w lesie ostrzeżeniem. Tylko ona znała symbolikę tamtych miejsc. Tylko ona miała dostęp do związanych z nimi naszych wspólnych wspomnień.

Nie porywam się na sprawdzanie podwozia. Nie mam bladego pojęcia, jak zauważyć tam ewentualne uszkodzenia.

– Ktoś musi do niego zajrzeć – mówię, wskazując na auto.

– Nikt do niego nie zajrzy, jeśli nie powiesz mi, co jest grane. – Stanowczy ton głosu dowodzi, że mama domaga się odpowiedzi. W drodze powrotnej powrotnej do domu zbywałam ją półsłówkami. Potem zadzwonił jej telefon i potem była cały czas zaabsorbowana rozmową z ciotką.

– Znów się pojawiła. Tym razem chodziło jej o ciebie. To groźba, choć nie jest wyrażona ani adresowana wprost. Ale, w kontekście tego wszystkiego, ja to wiem. Wiem. Po prostu – odpowiadam, wręczając jej złożoną kartkę papieru. Tę, którą znalazłam w lesie.

Mama przebiega po niej wzrokiem. A ja kolejny raz łapię się na tym, jak bardzo różne jesteśmy i charakterologicznie, i pod względem fizycznym. Spośród nas dwojga to Janek był jej lustrzanym odbiciem – miał taką samą jasną karnację, zgrabny zadarty nos, jedwabiste włosy, kręcone i tak jasne, że niemalże białe. Miał też jej regularne rysy. Poza niebieskimi oczami we mnie nie ma śladu tej skandynawskiej urody. Po ojcu odziedziczyłam prawie wszystko – moje smukłe stopy i dłonie to idealny odlew jego własnych. Mam też jego śniadą karnację i włosy, tak gęste i grube, że zawsze ciężko mi było je okiełznać. Mama nawet nie próbowała. Kiedy byłam dzieckiem, ścinała je, zanim zdążyły urosnąć dłuższe niż na kilka centymetrów. Bo tak było praktycznie. Bo dzięki temu miała przy mnie mniej pracy. Bo dzięki temu mogła ten czas poświęcić Jankowi. Do pewnego momentu brano mnie przez to za chłopczyka. Wiecznie umorusanego ciemnowłosego chłopczyka o dużych, błękitnych oczach. Ubrania też najczęściej nosiłam po Janku.

– Kto? – pyta.

– Anastazja.

– Przecież ona najprawdopodobniej wciąż siedzi w Srebrzysku. – Mama wyciąga z torebki pęk kluczy i sprężystym krokiem rusza w stronę swojego domu, niewielkiego parterowego bliźniaka o spadzistym dachu. – Miała chyba wyjść w dwudziestym piątym. A to jeszcze szmat czasu.

– Miała.

Mama zatrzymuje się przed frontowymi drzwiami. Stawia swoją walizkę. Wkłada do zamka klucz, ale go nie przekręca.

– Co to znaczy?

– Miała stwierdzoną niepoczytalność z orzeczeniem środka zabezpieczającego w postaci pobytu w zakładzie zamkniętym – przypominam jej.

– To przecież wiem.

– Czas, jaki miała tam przebywać, nie był dokładnie sprecyzowany. Nie znam szczegółów, ale przecież sąd, opierając się na opinii biegłych, może orzec o wcześniejszym uchyleniu takiego środka zabezpieczającego, jeśli

przestaje on być konieczny. Tak musiało być w przypadku Nastki. Podleczyli ją, dobrze rokowała i została wypuszczona. Zwolniła dla kogoś miejsce. Wiesz, jak działa system.

Klucz zgrzyta w zamku. Stare drewniane drzwi otwierają się z głośnym jękiem. Obie stoimy na progu, ale go nie przekraczamy.

– Skąd to wiesz? – pyta mama.

– Dziwię się, że ty nie wiesz. Branicka rozpowiada o tym wszem wobec.

– A skąd ona wie?

– Jej córka sprząta w Srebrzysku. Myślisz, że żal, który Nastka ma do nas, może ją popchnąć do czegoś nieobliczalnego? – pytam.

Autentycznie cały czas się tego obawiam.

Mama nie podziela mojego niepokoju. Na jej twarzy widzę tylko zmęczenie niedawną podróżą. Nie ma tam lęku. Nie ma obawy.

– Żal? O co? – pyta zdziwiona i wchodzi. Przedpokój wyłożony jest białymi połyskliwymi płytkami, które układają się w rozrastające się romby. Pod ścianą stawia walizkę.

– W dniu zabójstwa Filipa zabroniłaś mi się z nią spotykać. Byłaś u niej w domu, rozmawiałaś z jej matką. Awanturowałaś się – mówię niepewnie. Ale mama się nie zżyma. – Są jeszcze inne powody. Po prostu boję się o twoje bezpieczeństwo – dodaję z troską. – Dlatego zamierzam powiedzieć o tym policji. – Wskazuję kartkę, którą mama wciąż trzyma w dłoniach.

Wzmianka o policji ją elektryzuje. Jej twarz tężeje. Nerwowo mruży powieki, jak zawsze, kiedy chce od siebie odepchnąć jakąś niechcianą myśl.

– Daj spokój. – Macha lekceważąco ręką. – Mam teraz na głowie inne ważniejsze rzeczy niż wyprawy na komisariat i składanie kolejnych zeznań. Jesteś podminowana sprawą Wiktora. Za bardzo się nakręcasz. Mnie w to nie mieszaj! – oznajmia kategorycznie. – Ochłoń, dziecko. Chodź, napijemy się herbaty i porozmawiamy spokojnie.

Na końcu długiego wąskiego korytarza stoi secesyjna komoda z nadstawką na rzeźbionych filarach. Między filarami osadzone jest duże, kryształowe lustro. Jak zawsze zniekształca moją sylwetkę. I kładzie na nią te same plamy, tylko w zupełnie innych miejscach niż kiedyś. Bo nie jestem już tamtą małą chłopczycą, której obraz pokazywało zwierciadło.

Pamiętam, że ostatni raz widziałam tę komodę w swoim rodzinnym domu, zanim przeszła solidną metamorfozę. I choć nigdy o to nie pytałam, byłam wręcz pewna, że lata temu rodzice się jej pozbyli. Ponowna obecność mebla rozbudza dawne bolesne wspomnienia. Tak bardzo oddziałujące na mnie w kolejnych latach następujących po tym przeklętym dwa tysiące szóstym. Przerywam rozmowę z mamą. Podchodzę do komody i wkładam dłoń w wysuniętą lekko szufladę. Mój wybór nie jest przypadkowy. Prawa górna szuflada z mosiężnym okuciem. To zawsze była ta.

Palcami badam dno, ale niczego w niej nie znajduję poza wydobytą ze środka zwiewną apaszką, która owija mi się wokół dłoni, i skórzanymi rękawicami ojca. Dostał je od nas – ode mnie i Janka – na swoje czterdzieste urodziny, które zbiegły się wtedy w czasie z jego awansem na stanowisko ordynatora oddziału laryngologii. Kiedyś na ich miejscu znalazłabym cztery opasłe albumy ze zdjęciami przechowujące radosne kadry z naszego rodzinnego życia. A pod nimi tkwiło coś, co pokrywało je niewidoczną pleśnią.

Tajemnica.

– Nigdy cię o to nie pytałam – mówię do matki, choć na nią nie patrzę. Wciąż grzebię w szufladzie. Paznokcie drapią jej szorstkie drewniane dno. – A chcę wiedzieć. Muszę to wiedzieć. – Powoli przenoszę wzrok na matkę.

– Nie pytałaś. Ale o co? – Zdziwienie mamy jest udawane. Znów zdradza ją ta drgająca powieka.

– O ten list, który tutaj schowałaś.

Odpowiada mi cisza.

– Dlaczego tylko ze mną się tym podzieliłaś? – pytam. – A później obie spijałyśmy latami truciznę zapisanych w nim słów. Miałam wtedy tylko kilka lat. A potem przez ten cały czas nie powiedziałaś nikomu. Tylko mnie. Dlaczego?

– Sama go wtedy znalazłaś – odpowiada mama i wchodzi do kuchni. Po chwili słyszę pobrząkiwania szklanek. A potem rozlega się kliknięcie uruchamianego czajnika. – Zresztą to nie było coś, co powinno wyjść poza krąg rodziny. Najbliższej rodziny – podkreśla.

– Nie byłam wtedy na to gotowa, mamó. Najpierw na słowa z tamtego listu, a potem na te twoje. Wciąż podsyciałaś nimi tajemnicę, z którą nie pozwoliłaś mi się z nikim dzielić. A wreszcie nie byłam gotowa na każdą

nieobecność ojca i swoje domysły, które zawsze wtedy snułam. Miliony domysłów.

– To niczego nie zmieniło.

– Zmieniło we mnie. – Obruszam się. – W moich relacjach z mężczyznami. Zmieniło w mojej relacji z... – Na końcu języka mam imię i nazwisko tego biednego martwego chłopaka znalezionego w naszym ogrodzie. Ale zbyt często je ostatnio wymawiam. Tym razem milczę. Pozwalam mu odejść.

Matka o niego nie dopytuje. Albo doskonale wie, o kim mówię, albo, co jest chyba najbardziej prawdopodobne, chce jak najprędzej zakończyć ten temat. W kuchni słyhać wesoły szum wrzątku, tak bardzo niepasujący do tej niezręcznej sytuacji. Chwilę później dociera do mnie aromat zaparzanych ziół, z wyczuwalną nutą lawendy i melisy. On też jest przyjemny. Kojący.

W milczeniu siadam przy kuchennym stole. Za oknem, które mam przed sobą, rozpościera się widok na podwórze i garaż należący do domu moich rodziców. Na szarym tle drzwi garażowych zauważam jakiś niepasujący do całości element. Jest mały, prostokątny i biały. Dzieli mnie od niego zbyt duża odległość, bym mogła z pełnym przekonaniem ocenić, czym ów przedmiot jest.

– Ty to tam zawiesiłaś? – pytam siadającą naprzeciwko mnie mamę.

Odsuwa krzesło, obraca głowę i zerka na wskazany przeze mnie nieruchomy punkt. Mruży oczy, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Nie. Nie było tam tego, kiedy wyjeżdżałam. Wygląda jak jakaś kartka.

O tym samym pomyślałam.

– Zaraz wrócę – rzucam i podrywam się z krzesła.

W połowie drogi do garażu wiem już na pewno. Na wietrze powiewa foliowa koszulka na dokumenty przytwierdzona do drzwi taśmą klejącą. W środku jest kartka papieru. Kiedy podchodzę jeszcze bliżej i mam ją na wyciągnięcie ręki, kartka okazuje się lekko sfatygowana i pożółkła. Jest złożona na pół, dokładnie taka sama jak dwie poprzednie. Wysuwam ją z folii i czytam zapisaną na niej wiadomość.

Rozdział 12

Kwiecień 2006

Kryształowe lustro jak zwykle kłamało. Pokryte ponad sto lat temu warstwą rtęci pełne było rys i rdzawych przebarwień. Przez ten znak upływającego czasu Julia nigdy nie widziała w nim pełnego obrazu siebie. Jednak nawet bez lustra wciąż była na etapie poszukiwania swojej tożsamości zagubionej gdzieś między szkolnym korytarzem a jej własnym domem. Ten drugi ostatnio zbyt często wydawał jej się obcy. Nawet jej pokój nie był już dla niej azylem. Zbyt często nasłuchiwała tu zaburzeń w rytmie oddechów Janka. Bardzo się wtedy o niego bała. Szczególnie przerażała ją ta zbliżająca się nieuchronność, która czaiła się z tyłu jej głowy. Starła się ją szybko zdusić, ale ona później zawsze powracała, jeszcze bardziej natarczywa i namacalna. Zbyt często wsłuchiwała się też w trzask zamykanych i otwieranych przez ojca drzwi. Nie wiedziała też, dlaczego od ponad dwóch lat katuje się sięganiem do tej szuflady – autentycznie weszło jej to w krew. Na co liczyła? Że list stamtąd zniknie, a wraz z nim zdrada jej ojca, który jeszcze częściej niż zwykle wsiąkał gdzieś wieczorami, wymawiając się kolejną bzdurą? Na pewno nie. Nie była naiwna. Była po prostu przytłoczoną dorosłym życiem dziewczyną. Dwunastolatką świadomą tego, że lada dzień mogą stracić dom, który rodzice wzięli pod zastaw kredytu zaciągniętego na leczenie Janka. A wtedy wszystko mogło się rozsypać jak domek z kart.

Czas, który płynie moją ręką

po Twoich nagich plecach.

Ach! Z pewnością mogę nazwać miłością.

Kocham cię.

Markowi

Mimi <3

List tkwił na swoim miejscu, wsunięty pod albumy z rodzinnymi zdjęciami. Leżał tam w kopercie z przyklejonym do niej połyskliwym arlekinem z tekturki.

Mimi <3

Julia przesunęła po podpisie paznokciem, zostawiając głęboki ślad. Ryse. Naprężony papier w końcu pękł, odsłaniając niewielką dziurę.

Mimi vel Marianna Kalinowska.

Matka Filipa.

Kocham cię.

Julia bała się tego słowa. Niosło za sobą jakąś niebezpieczną obietnicę. Nawet ona, wciąż przecież jeszcze dziecko, wiedziała, że potrafiło spowodować większą destrukcję niż przygodny seks. Pochodna nienawiści Julki do ojca i jego kochanki przeniosła się też na syna Marianny. Filip mógł nie wiedzieć o romansie, podobnie jak nie wiedział o nim jej własny brat. Sympatia i zainteresowanie, jakimi darzył Filipa jej ojciec, przyprowadziły Julię o mdłości. Dziewczyna nie wiedziała, jak ma nazwać to uczucie – złością, zawiścią, smutkiem, opuszczeniem? – a tym bardziej, jak sobie z nim poradzić. Do pochylonej nad szufladą Julii dotarł powiew wiatru, który przygnał papierosowy dym. A za nim głos matki.

– Znów się z nią łajdaczy, wiesz?

Julia odnosiła czasem wrażenie, że jej obecność przy tej komodzie, z listem w ręku, była dla matki ulgą. Pocieszeniem.

– Ja już tak nie mogę, mam – odpowiedziała, wciąż stojąc do matki plecami. Zaciśnięty w dłoniach list po raz pierwszy bardzo się pogniół. –

Dlaczego od niego nie odejdziesz? – Odwróciła się powoli, odgarniając grzywkę z czoła. Włosy odrastały, gęste i niepokorne, liźnięte wodą utlenioną, która odbarwiła jedno pasemko. Tym razem Julia nie pozwoliła im sobie ściąć.

– To nie jest takie proste – wyszeptała matka, kiedy usłyszała chrobot dobiegający z pokoju Janka. Powiodła wzrokiem i zatrzymała go na zamkniętych drzwiach pokoju syna. Stała w przejściu wychodzącym do ogrodu.

Nic nie jest proste, pomyślała Julia. Do teraz pamiętała, jak mocno i długo pulsował jej policzek po zderzeniu z otwartą dłonią ojca. Zrobił to na ulicy, uderzył ją, kiedy nazwała Mariannę dziwką. To był jeden jedyny taki raz. Ale tyle wystarczyło, by w Julii coś pękło.

– Przed Kalinowską była inna dziwka. A przed nią jeszcze jedna – wyznała matka, bacznie przyglądając się Julii. – Byłam wtedy z tobą w ciąży. Mogłam to zrobić lata temu, kiedy to wydawało się łatwiejsze. A teraz...

Kolejne dowody zdrady ojca. Jej matka dozowała je i zawsze przemyślała tylko strzępki, tak jak teraz. Każdy z nich bolał Julię równie mocno. Jednak nigdy nie dawała tego po sobie poznać. Trawiła je w milczeniu.

– To co takiego cię powstrzymuje, mamó? – spytała przez zaciśnięte zęby. Tym razem w kącikach jej oczu zalśniły łzy. – No co? Czym teraz różni się od wtedy?

– Oni zawsze to robią. Mężczyźni. – Anna Wysocka się skrzywiła. – Z moim ojcem było tak samo... Zawsze jest tak samo...

O tym Julia już wiedziała. To było zaledwie jedno z wielu takich wyznań matki, które usłyszała od niej w ostatnich miesiącach. Okrasiała je opowieścią o tym, jak niegdyś jej własna matka zmuszała małą Annę do tego, by śledziła ojca i jego kochankę i by zdawała jej potem z tego szczegółową relację.

– Czyli powinnam się przyzwyczaić? – spytała Julka z goryczą.

Nie chciała się przyzwyczajać. Chciała się kiedyś zakochać. Prawdziwie i na zawsze.

– Nie zrobię tego Jankowi – odpowiedziała matka Julii i wypuściła z ust szary obłoczek dymu.

– Dlaczego? I dlaczego tylko jemu?

– Bo to byłoby egoistyczne, dziecko. Zabiłoby go. Wiesz, jaki jest kruchy. Sama nie podołałabym ze splątą kredytu. Stracilibyśmy dom. Bezpieczeństwo. To wszystko jest ze sobą połączone. – Dogasiła papierosa w popielniczce, wytarła ręce w kuchenny fartuch i go ściągnęła. – Odrobiłaś już lekcje? – spytała, jak gdyby nigdy nic.

Julka kiwnęła głową. Wiedziała, że jej matka nie będzie drążyć tematu. Nigdy nie sprawdziła jej żadnego zeszytu.

– A może tak ci wygodniej, mamó? – Julia tym razem wypowiedziała na głos swoje myśli. – Wygodniej jest nic nie zmieniać i myśleć, że jakoś to

będzie. Nienawidzę tego miejsca. Jest mi tutaj źle. Chciałabym odejść. Obojętnie dokąd. Byle dalej. – Wreszcie odważyła się powiedzieć to, co od dawna czuła.

Anna Wysocka minęła córkę w milczeniu i weszła do łazienki. Tylko udawała, że jej nie słyszy, choć każde z tamtych słów przygniotło ją nieprzyjemnym ciężarem. W kącie jej ust zadrgał mięsień. To on mówił, kiedy Anna chciała milczeć. Odkręciła kurek z gorącą wodą, wyszorowała uprzednio namydlone dłonie, a także paznokcie. Kiedy to robiła, znad umywalki uniosły się gęste obłoczki pary. Julia знаła ten rytuał. Wiedziała, dokąd zaraz zaprowadzi jej matkę.

Tym razem usłyszała coś jeszcze, powtórzony dwukrotnie dźwięk rozpylanego atomizera. Słyszała go już wcześniej, zawsze identycznie podwojony. W takich chwilach nigdy nie udało jej się wejść do łazienki na czas. Zresztą drzwi zwykle były wtedy zamknięte. Julia początkowo nie zwracała sobie tym dźwiękiem głowy, ale ciało mamy nigdy nie pachniało po takich spryskiwaniach inaczej. Ani dezodorantem, ani wodą perfumowaną. Ani nawet lakierem do włosów. Julia pytała o to matkę kilkakrotnie, o preparat, którego używa, i po co to robi, ale ona zbywała ją jakimś lakonicznym stwierdzeniem, że tylko bierze swoje stałe leki. Z czasem Julia przestała ten temat drążyć, bo jej matka zawsze po takim rytuale stawała się spokojniejsza i bardziej odprężona. Julia chyba nawet wołała ją taką niż wiecznie rozdrażnioną.

– Mamo, słyszysz mnie? – Julia popchnęła przymknięte drzwi i wparowała do łazienki. Wzrok natychmiast przeniosła na dłonie matki. Ale te nie trzymały już atomizera, opierały się o szafkę. Matka nie patrzyła w jej stronę. Wpatrywała się w swoje lustrzane odbicie. – Odezwij się! – zażądała dziewczynka.

– Nie teraz, dziecko. To nie jest rozmowa na teraz – zareagowała jej matka, odklejając dłonie od szafki. – Później.

– Czyli kiedy?

– Nie bądź egoistką! – Matka podniosła głos. – Janek mnie potrzebuje. Potrzebuje nas. Twoje rozterki są niczym w porównaniu z tym, z czym zмага się twój brat. – Zbyła ją machnięciem ręki.

Anna Wysocka minęła córkę i wyszła z łazienki. Odgłos jej bosych stóp rozległ się wkrótce na schodach. Ucichł dopiero za uchylonymi drzwiami

sypialni syna, i tylko na chwilę. Potem Julia usłyszała ciągnięty przez matkę mebel. Ten dźwięk też dobrze znała.

– Wyjdz! – Słaby głos Janka wydołał się wtedy na korytarz. I choć pozbawiony był swojej zwykłej mocy, słychać w nim było gniew.

Nim sama wyszła z łazienki, podeszła do umywalki osadzonej w drewnianej szafce. Julia dobrze znała zawartość trzech spośród czterech szuflad – wypełniały je detergenty, mydła, gumki do włosów i szczotki. Były tam też przybory ojca do golenia. Dłoń Julki powędrowała jednak w stronę szuflady, która znajdowała się na samej górze. Najmniejszej i najwęższej. Na wbudowanej w nią gałce nadal lśniły kropelki wody. Julia zacisnęła na niej dłoń i pociągnęła, podejmując nie pierwszą już taką próbę. Skończyło się tak jak zawsze – kolejnym fiaskiem. Szuflada była zamknięta na klucz. Julia szarpnęła za gałkę jeszcze mocniej, ale szuflada nawet nie drgnęła. Zamek był nie do sforsowania.

Dziewczynka wyszła z łazienki, wbiegła schodami na piętro i stanęła pod drzwiami prowadzącymi do pokoju brata.

– Mogę ci być potrzebna, skarbie. – W głosie matki słychać było czułość. – Tylko dziś w nocy, aż poczujesz się lepiej.

– Zabierz to i wyjdz! Chcę zostać sam! – Janek z trudem łapał powietrze. – Sto razy mówiłem!

Julia niewiele widziała przez uchylone drzwi. Ciemność rozpraszało jedynie mdłe światło lampki nocnej. Dzięki niemu Julia zauważyła kontur polowego łóżka przystawionego do łóżka Janka. Było podobne do tego, na którym śpią przedszkolaki podczas leżakowania, tylko znacznie większe. Jej brat siedział na swoim łóżku ze spuszczonej nogami i z przypiętym kondensatorem tlenu, przypominającym niewielką walizkę na kółkach. Był przeraźliwie blady. Z nosa wystawały mu rurki zakończone wąsami. To one łączyły go z kondensatorem. Na stoliku nocnym piętrzyły się leki: wziewne, doustne, w blistrze, w sprayu, w syropie. Mieścił się tam cały medyczny arsenał, z którego Janek korzystał średnio co kilka tygodni.

Wciąż w jego życiu były dni, i zdarzały się częściej niż rzadziej, kiedy funkcjonował w miarę normalnie. Chodził do szkoły, spotykał się z kolegami, a nawet regularnie biegał, by poprawić pojemność i wydolność płuc. Ale nawet niewielka infekcja dróg oddechowych powodowała zaostrzenie objawów choroby. Zapalenie oskrzeli, które dla zdrowego człowieka rzadko

kiedy stanowiło bezpośrednie zagrożenie życia, dla Janka było śmiertelnym niebezpieczeństwem. Dosłownie zwałało go z nóg.

– To jest chore. To, że ciagniesz to wyro, żeby słuchać, czy i jak oddycham.
– Chłopak łapczywie wziął oddech. Był świszczący i płytki. – To niczego nie zmieni!

– Ale...

– Mamo, daj mi żyć!

– Ale...

– Wyjdź!

– Boże, dziecko, szkodzisz sobie. – Głos Anny Wysockiej drżał. – Wykończysz się.

– To wyjdź!

Stojąca przy łóżku syna kobieta jeszcze przez chwilę tkwiła nieruchomo, tylko jej ramię drgało lekko. W końcu dała za wygraną. Wychodząc z pokoju Janka, zupełnie nieobecna, ze spuszczoną głową, nie zwróciła uwagi na swoją stojącą w drzwiach córkę. Julka szybko zajęła jej miejsce. Wparowała do pokoju i nonszalancko wyciągnęła się na połowym łóżku.

– Może się jednak przyda? – Wyszczrzyła zęby w łobuzerskim uśmiechu.

I choć początkowo Janek nadal wydawał się spięty, na widok siostry zrobił się nieco pogodniejszy.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

Julia wiedziała, jak rozładować napięcie i rozweselić brata. Od lat byli jak jeden organizm, jak jedna dwuosobowa drużyna. On zgadywał jej myśli, a ona jego.

– Posłuchamy Radiohead? Na jedne słuchawki – zaproponowała.

– Płyta jest w discmanie. – Wskazał brodą na swoje duże, drewniane biurko. – Dawaj *Creepa*! – dodał, z trudem regulując oddech.

Julka podniosła się z łóżka i wzięła discmana do ręki. Janek nie wiedział, że jakiś czas temu, pod jego nieobecność, siostra myszkowała w jego pokoju. Odkryła wtedy w jednej z szuflad koperty, które chłopak od kilku miesięcy tam przechowywał. Wszystkie były zaklejone i starannie podpisane jej imieniem. Ich zawartość tylko częściowo była dla Julki niewiadomą. Koperty były oznaczone datami z jej nie tak odległej przyszłości – przewijały się tam głównie daty jej urodzin i imienin. Biegły w chronologicznym porządku

i zmieniały się rok po roku. Na myśl o tym, dlaczego Janek je przygotował i przed nią ukrył, Julia poczuła, jak żołądek zaciska jej się w ciasny supeł. Nie chciała swojej przyszłości bez niego. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Ta przerażająca wizja, w której były tylko te samotnie otwierane w jej kolejne święta kartki, a on już nie żył, na chwilę wybiła ją z rytmu. W milczeniu wsunęła Jankowi jedną ze słuchawek, w swoje ucho wpięła drugą. Usiadła na łóżku brata, tuż obok niego. Odszukała odpowiedni utwór i wcisnęła przycisk play. Gdy solówce Thoma Yorke'a zaczęły towarzyszyć dźwięki przesterowanych gitar i poruszająca partia fortepianu, Janek ściszył muzykę.

– Słyszysz to? – Jego oczy zasnuły się mgłą. Zmrużył powieki. – Właśnie za to ją kocham.

– Kogo? – spytała Julia.

– Muzykę. Czasem wydaje mi się, że jestem uwięziony w tym trefnym ciele. – Chłopak otworzył oczy, podciągnął się na łóżku i wskazał na podłączone do niego urządzenie. – A ona mnie unosi. Na dwa metry, sto, dwieście, a czasem zabiera jeszcze dalej. Do zupełnie innej czasoprzestrzeni. I nie jest ważne, co znowu się spieprzy, co znowu nie wypali, bo ona zawsze łagodzi taki cios. Też tak masz?

Julka też tak miała. I choć w przeciwieństwie do brata nie ograniczały jej fizyczne bariery, uciekała w bezpieczny świat dźwięków i słów tak samo często jak on. Odpowiedziała Jankowi skinieniem głowy.

– Tak naprawdę istnieje tylko pięć nut, które dają absolutnie nieskończone możliwości kompozycyjne – ciągnął Janek. Jego oczy błyszczały z podekscytowania. Tym razem mówił bez zadyszki, bez najmniejszego trudu. – To też mnie jara, nawet bardziej niż odtwarzanie tego, co zostawili po sobie inni. Kopiowanie jest odtwórcze. To tworzenie daje niezłą fazę. W przyszłym miesiącu, jak dojdę do siebie, a starzy pojedą na weekend, to... – W jego głosie czaiła się jakaś nęcąca obietnica.

– To co? – podchwyciła Julka.

– Zobaczysz, wyciągnę nas z tego całego syfu. Wyciągnę ciebie. Ich też. Chociaż sami powinni posprzątać ten swój bajzel.

– Ehe. Niby jak to zrobisz? – spytała bez przekonania.

Spod swojej poduszki chłopak wydobył odręcznie narysowany szkic. Był staranny. Imponująca dbałość o detale i zachowane między nimi idealne wręcz proporcje i symetria wywarła na Julii wrażenie. W jego centralnej części

znajdowała się ośmioramienna gwiazda. Przez jej kolejne ramiona biegły cyfry o zwiększającej się wartości.

174, 285, 396, 417, 528, 639, 741, 852, 963

– To jądra olivary, czyli najwyższa, najbardziej uporządkowana struktura dźwięku – wyjaśnił, widząc zdziwioną minę siostry. – Efekt rytmu oddziałuje na wewnętrzną strukturę okablowania mózgu. Muzyka to magia!

– Dobra, tu są tylko jakieś ciągi cyfr. – Julia wyciągnęła szkic z rąk Janka, a następnie przyjrzała się mu uważnie, marszcząc brwi. – Ale co to wszystko znaczy?

– To nie są zwykłe cyfry. – Roześmiał się. – Wiesz, że muzyka też ma swoją formułę, jak w matematyce?

– Nie lubię, jak zamiast normalnie mi wyjaśnić, podrzucasz tylko kolejne zawiłe tropy. – Zniecierpliwiona Julia wykrzywiła usta. – No to powiesz mi wreszcie czy nie?

Janek ustawił pokrętko discmana na maksymalną głośność. Głos Thoma Yorke'a i towarzyszących mu instrumentów znów przybrał na sile. Obiecywał. Mamił. Uzależniał. Wprowadzał w stan przyjemnej hipnozy. I jego, i ją.

– Za dużo chciałabyś wiedzieć, moja mała – odpowiedział Janek. – W swoim czasie. Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie.

Julia zwykle nie odpuszczała, dopóki nie poznała wszystkich odpowiedzi na nurtujące ją pytania, ale tym razem wcale nie miała ochoty dopytywać. Chciała pozwolić odpłynąć wszystkim myślom. Chciała zanurzyć się w tej chwili. Poczuć ją i przeżyć.

Ona, muzyka i jej brat.

Tylko tyle.

Tylko tego potrzebowała.

Rozdział 13

Czerwiec 2022

Filip Kalinowski na listy śmierci znalazł się szczybie.

I nic nie da, że go wszyscy pod niebiosa wynosicie.

Ledwie ręka Pomornicy muśnie jego ciało,

a stanie się martwy, zimny i wiotki.

Tak to się już w kartach losu zapisało.

Gdzie to będzie i kiedy, to wie tylko Ona.

W objęciach Pomornicy Filip Kalinowski skona.

W miejscu, gdzie ziemi tąpnięcie, kryjówka się znajduje.

I nie tylko Nastka tam się dobrze czuje.

Schyl się, przez korytarze ziemi przedrzyj.

Do sedna zagadki nareszcie wejrzyj.

Przekładane kolejny raz kartki papieru szeleszczą w dłoniach podinspektora Friebego. W jego gabinecie panuje idealny porządek. Na biurku, w równych odległościach od siebie, leżą długopis, marker, paczka miętowej gumy do żucia i dwie opasłe teczki wypełnione dokumentami. Na regałach mieszczą się podpisane i uszeregowane chronologicznie segregatory, wszystkie w jednakowym kolorze przybrudzonej bieli. Poza tymi przedmiotami jego pokój jest niemalże pusty. Zupełnie bezosobowy.

– No dobrze. Pierwsza część każdej z tych trzech wiadomości jest ekwiwalentem dowodów zebranych w toku postępowania w sprawie z dwa tysiące szóstego przeciwko Anastazji Seretny. Przeglądałem tamte akta. Ale czego pani ode mnie oczekuje? – zwraca się do mnie Friebe, odkłada kartki papieru na blat, splata dłoń.

– Tamten dopisek to groźba skierowana w stronę mojej mamy – mówię, odnajdując właściwą kartkę, tę, do której dotarłam w lesie. – To ona jest

kierowcą wspomnianej mazdy.

– Nie ma tutaj żadnej bezpośredniej informacji, która pozwalałaby domniemywać, że chodzi o pani matkę. Taką mazdą w obrębie samego tylko Trójmiasta jeżdżą setki osób – odpowiada śledczy. Wyraz jego twarzy jest tak samo beznamiętny i nijaki jak wewnątrz tego pokoju.

– Ale to o nią chodzi. Już to panu przecież tłumaczyłam – przekonuję.

– To nie wystarczy. Poza pani subiektywną interpretacją potrzebuję czegoś więcej. Potrzebuję znacznie więcej.

– Kolejnej ofiary? – pytam z sarkazmem. – A może najlepiej kolejnych zwłok?

– Dobrze. Spróbuję ustalić miejsce pobytu Anastazji Seretny i przesłucham ją w związku z tymi wiadomościami. – Friebe podnosi kartki i raz jeszcze przekłada je w dłoniach.

– A co z zapewnieniem ochrony mojej mamie? – pytam.

Friebe stanowczo potrząsa głową.

– To wykluczone. Nie mogę tego zapewnić, nie mając żadnych konkretów.

– To co teraz będzie?

– Będę wobec pani szczery. – Ciężko wzdycha. W toku tych naszych niefortunnych spotkań zdążyłam się już zorientować, że to jego stała, wyuczona zagrywka, która ma pokazać, że owszem, ma ludzką twarz, ale całkowicie związane ręce. – W tym przypadku mogę co najwyżej podjąć czynności, żeby ustalić, kto jest autorem tych tekstów. Jeśli się to nie powiedzie, a istnieje takie prawdopodobieństwo, to będę zmuszony umorzyć wszczęte dochodzenie.

– Tylko tyle?

Rozkłada bezradnie ręce.

– To, co mam, to wciąż za mało, by łączyć gwałt i oskarżenie pani Kos z wiadomościami, które pani odbiera.

– Nie odbieram – prostuję. – Po prostu co jakiś czas je otrzymuję. Od kogoś, kto prześladowuje mnie i moją najbliższą rodzinę. Zdaje pan sobie sprawę, że w świetle tego, co się dzieje, ja tak po prostu nie spasuję? – Rzucam mu konfrontacyjne spojrzenie.

– To dokąd, pani zdaniem, prowadzi ta kolejna wskazówka? – pyta.

– Nie rozumiem.

– Twierdziła pani, że każdy z dopisków do tych przedruków z bloga jest elementem swoistej gry w podchody. Gry między panią a sprawcą. Prowadzi w kolejne miejsca, powiązane z panią i Anastazją Seretny. Czym więc jest kryjówka i korytarze, przez które należy się przedrzeć, by dotrzeć do sedna?

Friebe stuka palcem w kartkę na wierzchu. Tę, którą ściągnęłam z drzwi garażu mojej mamy.

Nie zamierzam wyjawić mu prawdy. Nie chodzi nawet o to, że i w tej kwestii obawiam się jego bierności. Milczę z obawy przed tym, jaką informację mógłby tam znaleźć, gdyby jednak udał się do Rutek. Bo szybko rozszyfrowałabym kolejną łamigłówkę. Wiem, że ten całkiem nowy trop prowadzi do znajdującego się tam tunelu kolejowego.

– Nie wiem. Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Jeśli to faktycznie Anastazja Seretny jest autorką tych wiadomości, to dlaczego, jak pani twierdzi, uprzykrza pani życie i obwinia męża? – docieka. W jego oczach po raz pierwszy widzę jakiś żywy, ale niebezpieczny błysk. – Jaki mogłaby mieć motyw?

– Nie wiem. – I tym razem kłamię. – Nie mam pojęcia – powtarzam jeszcze bardziej sugestywnie. – Co z nim będzie? Z moim mężem? – Szybko zmieniam temat.

– To już nie zależy ode mnie.

– Czy jest szansa, aby mógł czekać na proces w swoim domu?

– Na to bym nie liczył. – W głosie podinspektora wyczuwam niezachwianą pewność. – Nie w obliczu tak przytłaczających dowodów. Obdukcja i zeznania pani Kos świadczą przeciwko niemu. Pograżają go. Moim zdaniem sędzia nie zdecyduje się na złagodzenie środka zapobiegawczego. To dzieje się tylko w sytuacjach, kiedy można podważyć uprzednio zebrane dowody. Powiedziała pani „swojego domu” – dodaje Friebe po dłuższej chwili, a ton jego głosu się zmienia. Jest jakiś śliski. Brak w nim dotychczasowej nuty profesjonalizmu. – Czyj dom miała pani na myśli?

– To, że mój mąż mnie zdradził, nie oznacza, że szukałam na nim zemsty, życząc mu odsiadki za coś, czego nie zrobił. A więzienie to nie dom. W ogóle ten aspekt nie powinien pana obchodzić – odpowiadam twardo.

Friebe nie jest speszony, nie wydaje się też zaskoczony moją frustracją. Z tą samą obojętnością na twarzy wyciąga z szuflady woreczek strunowy

wypełniony białą sypką substancją.

– Rozpoznaje go pani?

Przesuwa woreczek w moją stronę. Za jego przyzwoleniem biorę go do ręki i oglądam uwiecznione w środku przesypane drobne ziarenka.

– Nie wiem. Narkotyki? – zgaduję i podnoszę wzrok na podinspektora.

Friebe nie potwierdza ani nie zaprzecza. Bada moją reakcję.

– Śladowe ilości tej substancji znajdowały się wewnątrz foliowej koszulki, którą ktoś podrzucił w pani ogrodzie.

– Może pan ujawnić, co to konkretnie jest? – pytam, lekko potrząsając woreczkiem.

– Stearyna.

– Stearyna?

– Mieszanina kwasu palmitynowego i kwasu stearynowego – wyjaśnia Friebe, wciąż mi się przyglądając. – To jeden z głównych składników używanych przy wyrobie świec. Utwardza wosk i nadaje mu krystaliczną powierzchnię. Jest też dodatkiem w produkcji mydeł i kosmetyków, głównie kremów i balsamów.

– Czyli ktokolwiek ją pozostawił w tym woreczku, miał bezpośredni kontakt z jednym z tych produktów – głośno myślę. – Ale to chyba jednak niespecjalnie zawęży grono podejrzanych, zważywszy, że produkty, które pan wymienił, są dość powszechne.

– Niekoniecznie.

Rzucam podinspektorowi pytające spojrzenie.

– Nie rozumiem.

– Stearyna nie jest składnikiem, który można wyodrębnić z gotowego produktu.

– Czyli?

– Czyli ktokolwiek ją w tej koszulce pozostawił, najprawdopodobniej zajmuje się samodzielnym, a może domowym wyrobem któregoś z tych artykułów. Albo pracuje w fabryce, w której są one wytwarzane. Zna pani kogoś takiego?

Potrząsam kategorycznie głową.

– Nikt nie przychodzi mi na myśl – mówię i podnoszę się z krzesła. Ale nie wychodzę. Jeszcze nie. – Jest jedna rzecz, o którą chcę spytać – kontynuuję i, nie czekając na aprobatę podinspektora, szybko dodaję: – Twierdził pan, że przeglądał akta poświęcone zabójstwu Filipa Kalinowskiego.

Friebe kiwa na potwierdzenie głową.

– W takim razie wie pan, że ciosy w szyję zostały zadane już po jego śmierci.

Friebe unosi czujnie brew.

– A skąd pani o tym wie?

Nie odrywam wzroku od podinspektora.

– Zdobycie tych informacji wcale nie było takie trudne. Może pan odpowiedzieć?

– Anastazja Seretny, jak sama dobrze pani wie, w chwili popełnienia zbrodni była niepoczytalna. Kierowała się przekonaniem o konieczności złożenia któregoś z rówieśników w ofierze swojej... – Friebe szuka właściwego słowa. – Swojej mentorce. Pomornicy. Tak przynajmniej twierdziła. Tak ją nazywała. Anastazja Seretny dokonała zabójstwa na tle rytualnym. I na tle rytualnym okaleczyła zwłoki. To tyle w tej kwestii – rzuca na odczepnego.

– Tyle? Wierzy pan w tę teorię?

– Moja wiara nie ma tu nic do rzeczy – odpowiada Friebe z irytacją i zbywa mnie niechętnym spojrzeniem. – Postępowanie dochodzeniowe zostało zamknięte na podstawie wielowątkowej analizy, a zebrane materiały okazały się wystarczające do otwarcia rozprawy. Nie będziemy ich teraz tutaj podważać. Ani materiałów, ani wyroku, który zapadł w tej sprawie – dodaje Friebe stanowczo.

Po wymianie kilku następnych zdań, w moim odczuciu niewnoszących już niczego istotnego, moja wizyta w komisariacie dobiega końca. Wychodzę na zewnątrz, do życia, które na ulicy toczy się normalnie, podczas gdy moje własne ogarnia coraz większy chaos.

Cmentarze zawsze pachną tak samo. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, nie jest to woń śmierci. Jej w ogóle tam nie ma. Zapach topiącej się parafiny połączony z wilgotnym zapachem ziemi i ciętych kwiatów. A cała

reszta zależy już tylko od pory roku, która dodaje do tego swoją indywidualną zapachową nutę. W czerwcu nad rodzinnym grobowcem mojego ojca i brata zawsze unosi się słodka woń jaśminu. Przekrzywiony, uschnięty na samym czubku, ale i w kilku miejscach wciąż kwitnący krzew już kilka razy toczył batalię o życie. I zawsze wychodził z niej zwycięsko. Lubię myśleć, że odpowiada za to mój brat. By cierpieć mniej, lata temu uwierzyłam, że jego częśćka żyje w tej roślinie. W jej białych kwiatach. Ten kolor Janek lubił najbardziej. Mam w cholernym poważaniu to, jak bardzo odległe jest moje odczucie od wszelkich praw logiki. Czym innym się w życiu kieruję.

Kiedy tu przychodzę, robię coś, czego w pewnym sensie trochę się wstydę. A jednak nigdy nie odeszłam od tego rytuału. Kwiaty zawsze sadzę bliżej miejsca pochówku Janka. I dla niego wybieram bardziej okazały znicz. Moje decyzje dyktuje serce. Więcej miałam go zawsze dla swojego brata niż dla ojca, któremu życie przed kilku laty odebrał wylew. I tym razem powtarzam stały rytuał. Do napełnionego wodą wazonu postawionego przy tabliczce z imieniem brata wkładam bukiet białych astrometrii.

– No, nie wrócił na szczęście. – Za plecami słyszę skrzekliwy głos. Jest głośny i dobiega tak niespodziewanie, że niemal potykam się o znicz.

Kiedy się odwracam, zauważam, że przy grobie sąsiadującym z naszym grobowcem stoi pucułowata kobieta o śmiejących się oczach i krótkich, kręconych włosach. Są szare i wilgotne, zroszone u nasady kropelkami potu.

– Dzień dobry, pani Malec. Ale mnie pani wystraszyła – zwracam się do niej i wychodzę na ścieżkę biegnącą prostopadle do linii grobowców.

– No ten wandal, co to u was był ostatnio, też mnie wystraszył. Jakieś dwa dni temu. Nie wiem, co chciał. Czy ukraść coś, czy co. Ale złe intencje miał. Źle mu z oczu patrzyło.

– Wandal?!

– Kiedy przyszłam, to się zlekłam. Był tutaj pochylony. – Krystyna Malec wskazuje miejsce, w którym przed chwilą stałam. – Grzebał coś przy tabliczce. No, złe intencje miał, to jak nic, bo jak spytałam, czy jaka rodzina, to naciągnął kaptur jeszcze bardziej i uciekł. Potrącił mnie. O, tu! – Wskazuje swoje prawe ramię.

– Mówił coś? Pamięta pani, jak wyglądał?

– Nie, nic. – Malec kiwa głową ze smutkiem. – Żółtą bluzę miała i naciągnięty na głowę kaptur. I te sznurki mocno pod szyją związane.

– Miała? – podchwytyję. – Myślałam, że to mężczyzna.

– Nie. Źle się wyraziłam. To dziewczyna była. Albo kobieta. Miała rzęsy pomalowane. Zwróciłam uwagę, bo jej oczy wilgne były. Smugi miała pod oczami rozmyte. Jakby od płaczu. A poza tym szczelnie w długich ciuchach ukryta była. Nie zapamiętałam więcej nic, bo to chwila była. Dosłownie moment. Ale nie wróciła już potem. No tak myślę, bo wszystko jest tak, jak było. – Wskazuje na zapalone znicze i zasadzone kwiaty. – Może ją przestraszyłam. Ki czort wie. – Wzrusza ramionami.

Zadaję jeszcze kilka pytań, ale nic więcej nie udaje mi się z niej wydobyć. Kiedy zajmuje się sprzątaniami nagrobka swojej córki Hani, wracam na wskazane przez nią miejsce. To, w którym podobno wcześniej przyłapała intruza. Nie jestem przekonana, czy nie ma czasem skłonności do przesady. Domniemany wandal mógł być przecież kimś, kto przyszedł do ojca lub Janka. Nie uszkodził tabliczki, nie zniszczył kwiatów. Jedynym dowodem tego, że poza mną ktoś tu jeszcze ostatnio był, jest ukryty pod cyprysikiem głęboki odcisk buta. Tego jedyne nie zdążyłam jeszcze zdeptać. Wiem na pewno, że ślad nie należy do mnie ani do mojej matki. Żadna z nas nie nosi najków. A to charakterystyczne logo odbite jest w ziemi, duże i wyraźne.

Czekam, aż Malec odejdzie, by mieć chwilę spokoju i czasu na rozmowę z Jankiem. Robię to w ciszy, ale nigdy nie wypowiadam wtedy słów modlitwy. Mam dość napięte relacje z Bogiem. Nie potrzebuję tego, by pośredniczył w rozmowie między mną a bratem. Zbyt dużo mi ostatnio odebrał. Kiedy kończę, siadam na kamiennym obrzeżu grobowca. Wyciągam telefon i robię coś, czego nie planowałam wcześniej, a co teraz wydaje mi się sensowne i słuszne.

Powrót do źródła. To właśnie ta myśl mnie tutaj uderzyła, silna i nagląca. Powrót do miejsca, w którym to wszystko się zaczęło. Spośród pięciu osób, które były na tamtej feralnej imprezie u Janka, a do której chyba wszystko się sprowadza, teraz żyją tylko trzy. Wiktor, Alicja, czyli ówczesna dziewczyna mojego męża, i Mikołaj, jego szkolny kumpel. Uruchamiam Facebooka z nadzieją namierzenia obu profili. Alicję znajduję szybko. To zresztą nie pierwszy raz, kiedy ją tutaj wyszukuję. Jej relację z Wiktorem trudno nazwać przelotną przygodą. Byli razem przez pięć lat, dopóki Alicja nie zerwała zaręczyn na kilka miesięcy przed ich planowanym ślubem. Zawsze mnie to zastanawiało. Chciałam poznać powód, dla którego to zrobiła. Ale Wiktor milczał, a przyczyna ich rozstania pozostała w sferze moich domysłów. Dzięki

Fejsowi wiem też, że Alicja Majchrzak jest rozwódką i że jest mocno zaangażowana w swoją pracę. Z powodzeniem zajmuje się pośrednictwem w sprzedaży luksusowych nieruchomości. Tym razem ignoruję jej wpisy i od razu przechodzę do sedna sprawy. W puste okienko wiadomości wpisuję tylko kilka słów.

Hej. Przepraszam, że tak bezpośrednio i zniechęca, ale to ważne. Chciałabym porozmawiać o tamtej nocy, kiedy zginął Filip. Możemy się dzwonić albo najlepiej spotkać? Dostosuję się.

Wysłałam wiadomość. Znalezienie profilu Mikołaja Krawczyka nastęczy mi więcej kłopotów. Ale po kilku bezowocnych próbach wreszcie udaje mi się go namierzyć. Schludnie wyglądający, krótko ostrzyżony brunet w garniturze nijak ma się do chłopaka z długimi tlenionymi włosami, którego w przeszłości miałam za ucieleśnienie wolnego ducha. Ale to on. To na pewno on. Zdradza go nie tylko nazwisko, ale te same łagodne rysy i głęboka blizna pod prawym okiem. Przekopiuwuję treść wiadomości, którą właśnie wysłałam Alicji. Zauważam wtedy, że przy pierwszej wiadomości, tej, którą wysłałam do eks mojego męża, pojawiło się niewielkie kółeczko. To znak, że Alicja ją odczytała. Dwa pulsujące okręgi wokół ikony kamerki wskazują, że wciąż jest aktywna, a jej przeglądarka otwarta na wysłanej przeze mnie wiadomości. W okienku pojawiają się trzy kropeczki. Alicja odpisuje na moją wiadomość. Zamieram w oczekiwaniu.

Ale właśnie wtedy ona znika. Tak po prostu. Kropeczki przestają tańczyć. Wiadomość od niej nigdy nie nadchodzi.

Na koniec sprawdzam jeszcze jeden profil. Do niego też sporadycznie kiedyś zaglądałam, aż zdecydowałam, że mam już tego serdecznie dość. Że dłużej nie będę się tym katować. Kochanka mojego ojca i matka Filipa, Marianna Kalinowska vel Mimi, nadal tak samo szeroko uśmiecha się do mnie ze swojego profilowego zdjęcia. Jej aktualne miejsce zamieszkania, Chicago, pozostaje niezmiennie takie samo od ośmiu lat. Na zdjęciu w tle Marianna pozuje ze swoją nową rodziną – dwoma kilkuletnimi szkrabami wylegającymi się na hotelowych leżakach. Marianna stoi tuż za nimi, spogląda na chłopców czule, trzymając za rękę przystojnego mężczyznę o latynoskim pochodzeniu. Opuszczam jej profil, rezygnując ze sprawdzenia jej walla. Potem kieruję się do wyjścia.

Rozdział 14

Kiedy wracam z cmentarza do domu, mój sąsiad siedzi na swoim stałym stanowisku – przy otwartym oknie, wsparty o kolorową poduszkę. Jego wieloletnie problemy z poruszaniem się w ostatnich miesiącach tylko się pogłębiły. Czasem zapraszam go na obiad, wyciągam choć na krótki spacer albo proponuję wspólną wycieczkę, ale zauważam, że z każdym kolejnym zejściem ze schodów jest mu coraz ciężej. Swój fizyczny ból maskuje coraz częstszymi odmowami i wymuszonym uśmiechem. Najczęściej widzę go właśnie tutaj, oddalonego od życia, ale wciąż pragnącego w jakimś stopniu w nim uczestniczyć.

– Dzień dobry, maleńka! – woła radośnie i macha ręką. W słońcu błyszczą zawieszony na jego szyi krzyżyk. Z nim też nigdy się nie rozstaje. – Miałaś gościa.

– Gościa? – dziwię się. Czuję, jak mój puls gwałtownie przyspiesza. Ostatnio takie niezapowiedziane wizyty nie zwiastują niczego dobrego. – Czy to mógł być ktoś z policji?

– Nie, raczej nie – odpowiada pan Lucjan po krótkim zastanowieniu. Drapie się po łysinie. – To ktoś inny. Niedawno czekał pod bramą. Ale chyba odszedł.

– Rozpoznał go pan?

– Oczywiście już nie te, maleńka. – Rozkłada bezradnie ręce. – Ale jedno wiem na pewno. Był wysoki i szczupły. Ubrany cały na czarno. Od stóp do głów, jakby żałobę po kimś nosił. Przemknął ulicą szybko, jak jakiś cień.

– Dziękuję – rzucam naprędce. Targana złym przecuciem, od razu kieruję się w stronę domu.

Zamknięta furka, bo taką z pewnością zostawiłam, teraz jest uchylona. Wbrew pozorom wejście na teren mojej posesji nie jest takie trudne. Wcale nie trzeba znać czterocyfrowego kodu dostępu. Wystarczy wsunąć dłoń między metalowe sztachety. Po drugiej stronie murku znajduje się niewielki przycisk zwalniający mechanizm furki. Był tutaj, odkąd pamiętam. Nigdy nie

kwestionowałam jego funkcjonalności, bo w swoim domu zawsze czułam się bezpieczna. Teraz ten guzik wydaje mi się irracjonalnym pomysłem.

Od drzwi frontowych dzieli mnie tylko brukowana alejka. Niby niewiele, ale po jej obu stronach biegnie wysoki żywopłot, w którym łatwo się ukryć. Idę naprzód otoczona gęstymi zielonymi krzewami w niewidocznym dla nikogo z zewnątrz korytarzu. Wyostrzam więc wszystkie zmysły. Szelest wiatru i ciche ciurkanie wody w rynnie wprawiają moje ciało w drżenie. Teraz wszystko brzmi inaczej. Groźnie.

Biorę się jednak w garść i po chwili docieram na ganek. Na wilgotnych po niedawnych opadach deszczu płytkach leżą grudki wilgotnej ziemi. Nie było ich tu wcześniej. I choć są rozproszone, to ewidentnie zostawiły je czyjeś buty. Wtargnęły na ganek, przemierzyły dwa kroki, pod same drzwi, a potem się stamtąd wycofały. Tyle udaje mi się wywnioskować.

Rozglądam się wokół, ale poza mną raczej nie ma tutaj nikogo, także w ogrodzie. Raczej. To kolejne słowo klucz. Szkielet domku na drzewie sterczy tak samo jak zawsze – pusty, smutny i przechylony w prawą stronę. Prowadzące do niego wyszczerbione szczelki nie wpuściłyby nikogo na górę. Już nie. Czasem odnoszę wrażenie, że wystarczy jeden silny podmuch, by domek wydał ostatnie tchnienie i na zawsze zniknął. Zamiast dobrych wspomnień mam związane z nim tylko to jedno. Ostatnie i złe. Bardzo złe.

Przebiegam wzrokiem ogród. Zaniedbane przeze mnie ostatnio rośliny nieco przywiędły. Są przeredzone, więc i one w żadnym razie nie nadają się na kryjówkę. Jestem sama na tej względnie pustej przestrzeni. Powtarzam to kolejny raz, by dodać sobie odwagi.

Wkładam klucz do zamka i dwukrotnie go przekręcam. Po wejściu do przedsionka zatraskuję drzwi i z tłukącym się w piersi sercem rozbijam alarm. Ale wciąż nie czuję się bezpiecznie. Liczne przeszklenia każdej ze ścian na parterze nie tylko odzierają dom z prywatności, ale i ujawniają intruzowi moją obecność. Czuję się jeszcze bardziej bezbronna, kiedy przez chwilę mam ograniczoną widoczność. Promienie światła rażą mnie w oczy. Na znajdującym się w korytarzu panelu odnajduję przyciski sterujące roletami. Uruchamiam je, a one powoli zaciemniają wnętrze.

I wtedy go zauważam, przez jedną z takich gwałtownie zwężających się szpar w oknie. Jest wysoki, cały ubrany w czerń. Zwrócony do mnie tyłem zwinnie przemierza ogród. Kieruje się wprost na płot, w stronę znajdującego

się za nim domu należącego kiedyś do Seretnych. Tyle udaje mi się zauważyć, nim rolety całkiem opadną, a korytarza i salonu nie spowije zupełna ciemność.

Za moją kolejną decyzją stoi impuls. Jest tym silniejszy, gdy dociera do mnie, że teraz mam pod ręką broń. Zapalam światło, przechodzę przez korytarz i chwytam leżący we wnęce gaz pieprzowy. Odblokowuję palcem atomizer, a następnie wychodzę do ogrodu. Nikogo tam nie ma, ale w miejscu, w którym przed chwilą pojawił się intruz, w okolicach świeżo posianej trawy, znajduję odcisk buta. Ślad jest niewielki i dość niewyraźny. Nie koncentruję na nim swojej uwagi, bo kolejne wgłębienia zauważam kawałek dalej. Tym razem większość odbita jest na trawie. Prowadzą mnie pod płot.

Szybko dociera do mnie, że miejsce, w którym ślady się kończą, nie jest przypadkowe. Mniej więcej na tej wysokości znajdowały się przed szesnastu laty dwa ruchome szczeble, przez które Nastka przedostała się do naszego ogrodu tamtej strasznej nocy. Nowe deski, które zamontowano w tym miejscu, są stabilne. Nieruchome. Staję pod tym półtorametrowym płotem, z rękami zaciśniętymi na sztachetach, zastanawiając się, czy intruz mógłby przez niego przeskoczyć.

Mógłby.

Ale na tym wniosku wszystko się kończy, bo nagle przeszywający ból odbiera mi każdą myśl. Mija chwila, nim orientuję się, skąd się bierze. Drewniane deski wirują mi przed oczami, wraz z nimi wiruje niebo, a dopiero na samym końcu moje nogi i ostrze noża wciśniętego w szczelinę między sztachetami a trawą. Nóż wije się w czyjejs sprawnej ręce. Jest jak chytry wąż, który kąsa i znika po drugiej stronie płotu, pozostawiając po sobie krwawy ślad na mojej skórze, a wraz z nim ten parzący ból.

Na wysokości moich gołych piszczeli biegnie głęboka rana. Jest podwójna. Ostre, równe cięcie, które barwi moją skórę na czerwono. Albo bordowo. Nie wiem. Na widok krwi zawsze robiło mi się słabo. A ona płynie coraz bardziej, coraz szybciej, jest jej coraz więcej. Płynie także wtedy, kiedy zmieniam pozycję. Bo zamiast stać, leżę, zwijając się w kłębek, zanurzona plecami w wilgotnej trawie. Z moich ust wyrывa się dźwięk, który ledwie rozpoznaję. Jest pierwotny i przerażający, obcy nawet dla mnie samej. Chyba staram się w ten sposób wyrzucić z siebie ból. By go zmniejszyć, zaciskam zęby na nadgarstku. Ale to nic nie zmienia, bo ból wciąż pulsuje, nie tylko w nogach. Teraz jest także wewnątrz mojej dłoni. W całym ciele.

Mam nad sobą niebo, wciąż takie samo. Jest zupełnie nieruchome, jak obraz zatrzymany na pojedynczej filmowej klatce. Pauza i play. Dopiero potem przychodzą kolejne. Błękitne rozmazy nasiąkają poruszającymi się na wietrze liśćmi i słońcem. Raz po raz kolory wypiera czerń. Pełźnie na horyzoncie, a kiedy to robi, jest cholernie szybka i nachalna. Zawłaszczająca. Odpływam, a czerń wszystko uśmierza.

Ból przychodzi i odchodzi falami, podobnie jak czerń. W pewnej chwili, kiedy znów znika, na jej miejscu pojawiają się dwie twarze. Są rzeczywiste. Jedna twarz jest obca, ale drugą po chwili rozpoznaję. Należy do Alicji Majchrzak.

Co ona tutaj robi? Co robi tutaj niedoszła żona Wiktora?

– Jak to mam ją przywieźć? – pyta nerwowo Alicja. Przyciska słuchawkę do ucha. – Przecież mówię, że jest ranna. Krwawi. Na przemian odzyskuje i traci przytomność. Proszę tu przysłać karetkę. Od tego chyba jesteście. Od tego jest ten pieprzony numer.

Cisza. Tylko ze słuchawki wydobywa się stłumiony głos dyspozytora. Nie jestem w stanie go zrozumieć. Kiedy milknie, Alicja znów się odzywa, z jeszcze większą natarczywością.

– No mówiłam już przecież. Tłumaczyłam. Nie wiem, jak do tego doszło ani o co się skaleczyła. Jestem w jej ogrodzie. Nie widzę tutaj niczego ostrego. Żadnego takiego narzędzia.

To chyba o mnie. Dopiero teraz dociera do mnie sens tych słów. To o mnie Alicja mówi. Mówi dużo i szybko, a ze zdenerwowania płacze jej się język. Kosmyki jej jasnych włosów wypadają spod starannego uczesania, wyswabdzają się spod szerokiej opaski. Twarz ma spiętą, a oczy rozbiegane.

– To był nóż – szepczę. – Niewielki. Wyglądał jak nóż do cięcia tapet. To on mnie zranił.

Alicja powtarza moje słowa, ale jej starania nie przynoszą rezultatu. Z kolejnych słów, które wkrótce padają z jej ust, wnioskuję, że dyspozytor jednak jej odmówił.

Wsparta o ramiona jej i obcego mężczyzny, który nadal stoi tuż obok, próbuję się podnieść. Niewiele pamiętam z tego, co dzieje się potem. Nie wiem nawet, ile czasu minęło. Jestem jednak pewna, że proszę Alicję o zamknięcie drzwi wejściowych. Chyba sadowię się na krzeselku utworzonym z ich splecionych ze sobą ramion i rąk. Idziemy przez ogród.

Moje nogi wiszą nad trawą. Zieleń i czerwień. Czerwień i czerń. Tego jednego jestem pewna. Czerń jednak wciąż tam jeszcze jest.

Kiedy wychodzę z SOR-u do poczekalni, ciągle jeszcze jestem obolała, ale przynajmniej w pełni świadoma. Stąkam samodzielnie, rozpoznaję kształty i twarze, czyli robię coś, co jeszcze kilka godzin temu było poza zasięgiem moich możliwości. Ku mojemu zdziwieniu Alicja wciąż tu ze mną jest. Skupiona i pochylona nad wyświetlaczem telefonu, wstukuje w niego jakąś wiadomość. Siedzi na plastikowym krzeselku, obok dystrybutora z wodą, oddalona od całej tej wrzawy panującej w poczekalni.

– Dzięki – mówię, kiedy do niej podchodzę. – Za wszystko, choć naprawdę niewiele z tego pamiętam – przyznaję. Moja pamięć wciąż jest dziurawa.

Alicja podnosi na mnie wzrok. Moja obecność i to, że w ogóle stoję, wyraźnie ją dziwi.

– Możesz chodzić? – pyta. Szybko wsuwa telefon do torebki. Jest designerska, podobnie jak dwuczęściowy kostium Alicji w modnym w tym sezonie kolorze fuksji. Dopełniają go zielone szpilki z lakierowanej skóry i wystająca spod garsonki koszula w tym samym kolorze. – To nie wyglądało dobrze – dodaje.

– To, co właśnie we mnie włali, każdego postawiłoby do pionu. – Pokazuję jej niewielki ślad z fioletową obwódką po niedawnym wkłuciu. Moja skóra zawsze taka była, cienka, delikatna, pergaminowa. Reagowała momentalnie na każdy dotyk.

– Dobra, dobra. Nie zgrywaj chojraka. – Alicja zdecydowanym ruchem wskazuje mi wolne krzesło. – Znam takich. Kozakowali, a zaraz potem padali jak kawki. Chyba dość już atrakcji na dziś, co? No i przede wszystkim mów, co powiedział lekarz. – Wskazuje na moje usztywnione i zabandażowane piszczele.

Siadam na krześle i powoli prostuję nogi. Są teraz ciężkie jak ołów i wciąż jeszcze trochę nieposłuszne.

– Założył mi szwy i bandaż, usztywnił obie nogi. Ostrze noża przecięło podobno mięsień piszczelowy, a to z kolei wpływa na jakieś zaburzenia w obrębie prostownika palców, który odpowiada za ich unoszenie. O ile czegoś nie pomieszałam – mówię i czuję, jak odpływają ze mnie te ledwie

odzyskane, mizerne siły. Wciąż jestem słaba. – Mam to wszystko tu wyszczególnione. – Wskazuję komputerowy wydruk i przyczepioną do niego receptę. – Mam też naciętą okostną, ale kość nie jest na szczęście naruszona.

– Co to znaczy? Tak po ludzku? – docieka Alicja.

– Cięcie jest głębokie, ale nie wpływa na funkcjonowanie kończyny. Czyli mogę chodzić. A rana była zabrudzona. Mam brać antybiotyki i bardzo oszczędzać nogi. To tyle.

– Odwiozę cię – proponuje Alicja, podnosząc się z krzesła. – Tylko dokąd? Na komisariat czy do domu? – pyta i czujnie mi się przygląda.

– Do domu – odpowiadam bez zastanowienia.

Kiedy wstaję i robię pierwszy niepewny krok w stronę wyjścia, czuję, jak Alicja wsuwa mi pod ramię swoją rękę. Ten gest jest tak gwałtowny i niespodziewany, że na chwilę zupełnie sztywnieję. Ale szybko się rozluźniam. Pozwalam jej się prowadzić.

– Co tam robiłaś? Ty i tamten facet? – pytam. Rozsuwają się przed nami przeszklone drzwi. Wychodzimy ze szpitala na spowitą mrokiem ulicę.

– Nie mów, że nie widziałaś mnie tam wcześniej.

– Tam, czyli gdzie?

– Na Iglanej. W ciągu ostatniego tygodnia mignęłaś mi raz czy dwa. Wydawało mi się, że ty też mnie widziałaś. Ale, spoko, przyznaję, to byłoby trochę niezręczne. Wymuszone powitanie, wymuszony uśmiech. Skisła atmosfera. Kurtuazyjna gadka niedoszłej żony z obecną – mówiąc „obecna”, Alicja lekko się krzywi. – To nigdy się nie sprawdza. No więc jak było? Udawałaś czy rzeczywiście mnie wtedy nie dostrzegłaś? – pyta.

– Nie widziałam cię – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Ostatnio niewiele rzeczy do mnie dociera... – Syczę z bólu, bo niefortunnie postawiłam nogę. Mój kolejny krok jest bardziej ostrożny niż poprzednie.

Przechodzimy na drugą stronę ulicy, do zaparkowanego na chodniku sportowego audi. Jest nowe i lśniące, błyszczący nawet w tym słabym świetle. Alicja odblokowuje drzwi i siada za kierownicą. Ja powoli gramolę się na miejsce pasażera.

– Wracając do twojego pytania – ciągnie Alicja. – Sprzedaję ten dom. Pokazywałam go akurat klientowi. Ale po tej dzisiejszej akcji pod płótnem już raczej się na niego nie skusi. *Fail*. – Wybucha głośnym niepasującym do

naszej rozmowy śmiechem. Jest w nim coś sensualnego, kuszącego wręcz. Coś, co z pewnością działa na mężczyzn jak wabik.

– Widziałas go? – pytam. – Tego, który mnie zaatakował?

Alicja wydobywa z torebki czerwoną pomadkę i wprawnym ruchem przeciąga nią usta. Oblizuje je czubkiem języka. I w tym geście jest coś lubieżnego. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że kiedyś, jeszcze całkiem niedawno, jej usta były węższe i mniej soczyste.

– Nie. Ale kiedy wołałaś o pomoc, usłyszałam równocześnie przewracające się kubły na śmieci. Tamtędy musiał wybiec na ulicę. Przez schowek na śmieci. Z tego, co wiem, jest otwarty – dodaje i odkłada pomadkę.

Wkłada kluczyk do stacyjki i go przekręca. Powoli włączamy się do ruchu.

– Słyszałam o tym, co się stało... Z Wiktoorem. – Tym razem słowa padają z ust Alicji z nietypową dla niej nieśmiałością.

Przewracam oczami.

– A czy jest jeszcze ktoś, kto nie słyszał?

– Czyli Wiktor to śliski temat, co?

Milczę. Liczę, że Alicja uzna to za twierdzącą odpowiedź. Ale Alicja nigdy nie znała umiaru, nawet wtedy, kiedy była nastolatką. Taką ją zapamiętałam.

– Z całym szacunkiem, lepiej, że już wiesz – mówi jakoś tajemniczo, ale wyraz jej twarzy jest obojętny.

– Że wiem?

– Jakim skończonym palantem jest Wiktor. Byłam z nim pięć lat. O pięć lat za dużo. – Kolejny raz wybucha śmiechem, który jednak tym razem jest inny. Zgrzytliwy. Wyczuwam w nim jakąś głęboko zagrzebaną urazę. Wreszcie zdobywam się na to, by spytać o coś, o co już dawno mnie nurtowało.

– Dlaczego się rozstaliście?

Alicja odrywa wzrok od drogi i przenosi go na mnie. Widzę, że to ode mnie domaga się odpowiedzi.

– A co on ci powiedział? Co tym razem wymyślił?

– Nic. Nie rozmawialiśmy o tobie. To był zawsze drażliwy temat.

Ta odpowiedź ją uspokaja. Alicja zaciska ręce na kierownicy i nieco przyspiesza. Mijane przez nas latarnie zlewają się z szarością zapadającej powoli nocy.

– Wiktor zawsze był pies na baby – mówi to z pewnym obrzydzeniem. – Kościste i głupiutkie. Niewymagające. Takie lubił najbardziej. My dwie byłyśmy jakimś odstępstwem od tej reguły – dodaje po chwili, chełpliwie, i jakby z większą werwą. – Kiedy miał ten swój krótki epizod ze stand-upem, jego przerośnięte ego jeszcze bardziej spuchło. Mdlilo mnie od lasek śliniących się na jego widok. Miałam dosyć tego, jak bardzo łąsy jest na te obleśne komplementy z podtekstem. Nie przyłapałam go na zdradzie, to nie. Ale czułam, że mógłby to zrobić. Że niewiele go od tego dzieli. A mnie taki rodzaj adrenaliny nie bawi. Jestem warta o wiele więcej niż facet, którego wciąż swędzi krocze. – Alicja podnosi dumnie głowę i spogląda na swoje odbicie w lusterku wstecznym. – A poza tym, w kategoriach czysto ludzkich, Wiktor to zawsze był skończony drań. Wykorzystywał ludzi ze swojego otoczenia. Traktował ich instrumentalnie. Myślisz pewnie, że agenci nieruchomości to prawdziwe harpie? – Alicja zerka na mnie z ukosa. – Ale zagrywek na poziomie Wiktora nie ma nawet w moim świecie. – Alicja mówi to z dziwną lekkością. Jakby już do tego wszystkiego przywykła.

O ile potencjalne zdrady Wiktora wcale mnie nie dziwią, ta ostatnia informacja autentycznie mnie zaskakuje. Nie poznałam swojego męża z tej strony. Być może są jeszcze jakieś, o których nie miałam bladego pojęcia.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Pozbywał się ich, kiedy już nie byli mu potrzebni. Albo nawet częściej, kiedy stawali mu na drodze do osiągnięcia celu. Dajmy na to Michała, jego managera. Wiedziałaś, że Wiktor niemal rozpieprzył jego długoletni związek?

Potrząsam głową. Michała Nowickiego znam tylko z lakonicznych wypowiedzi mojego męża. Sama przez chwilę byłam jedną z tych dziewczyn, którym imponował dowcip Wiktora, jego sarkazm i łatwość, z jaką poruszał się na stand-upowej scenie. Ale w przeciwieństwie do kobiet, o których mówiła Alicja, ja nigdy nie posunęłabym się do takiego taniego, obrzydliwego flirtu z żonatym mężczyzną. To Wiktor, już po rozstaniu z Alicją, dość długo próbował mnie zdobyć. Spotkaliśmy się lata po śmierci Filipa, na zlocie absolwentów „dwójki”. Przyszłam tam zamiast mojego brata. Wtedy Wiktor zawodowo zajmował się już czymś zupełnie innym. Porzucił stand-up na rzecz domu aukcyjnego, który otrzymał w spadku po swoim ojcu. Stabilizacja. W tym jednym przypadku kurczowo się jej uczeplił.

– Wiktor myślał tylko o swojej dupie, o swoim interesie – relacjonuje dalej Alicja. – Miał na pieńku z Agatą, żoną Michała. Twierdził, że manipulowała

mężem i że przez nią przepadło im kilka lukratywnych deali. Postanowił więc zająć się tematem i ją z tego układu wyautować. Uznał, że najlepiej będzie, kiedy długoletni związek jego kumpla się rozpadnie. Bo tak, przyjaźnił się wtedy z Michałem. Tylko że Wiktor nigdy nie wiedział, co to empatia. A bez empatii trudno o prawdziwą przyjaźń. Chodziło mu tylko o to, żeby ugrać swoje.

Nic z tego nie rozumiem.

– W jaki sposób chciał to wszystko osiągnąć?

– Pewnego dnia zaciągnął Michała do „Show Gurlzz”, klubu nocnego, pod pretekstem niewinnej zabawy. Miało być piwko, pole dance i skąpe majteczki, tak bardzo skąpe, jakby ich nie było. No wiesz, nagie cizie i ich wirujące na rurze cipki. Miało być miło, ale bez przekraczania granic. A tak naprawdę Wiktor upijał Michała, dopóki tamtemu prawie nie urwał się film. I wtedy Wiktor go nagrał. – Alicja wyszczerza zęby w drapieżnym uśmiechu. – Nagrał i udostępnił Agacie z jakiegoś fejkowego konta, ale wiadomo, że to był on. Tylko Wiktor był tam wtedy z Michałem.

– Nagrał, ale co? – dopytuję się.

– A jak myślisz, co można robić w takich miejscach? – Alicja przewraca oczami i wybucha śmiechem. – Czysty, zwierzęcy seks w secret roomie. Rozpięty rozporek, parę frykcyjnych ruchów. Zapięty rozporek. Lodzik. Koniec. Tylko tyle. Albo aż tyle.

– Jak to się skończyło? – dopytuję dalej.

– Agata jakoś wybaczyła kajającemu się przed nią mężusiowi. Nakłoniła Michała do tego, żeby wytoczył Wiktorowi proces. Musieli się chyba jakoś dogadać, bo zarzuty wobec Wiktora w pewnym momencie oddalono.

Słowa, które odklejają się od ust Alicji, wydają mi się szorstkie i brudne. Obrzydliwe. Dokładnie taki sam obraz Wiktora maluje mi się przed oczami. Wiem, że powinnam być wobec niej ostrożna i bardziej czujna. Alicja też może mieć swoje powody, by szkalować Wiktora. Coś w sposobie, w jaki o tym mówi, sprawia jednak, że jej wierzę.

– Dostałaś moją wiadomość? – zmieniam temat. Nie zniosę dłużej rozmów o własnym mężu. Nie w tym momencie, kiedy moją głowę rozsadzają dwa słowa: wstrętny kutas.

– Tę, którą wysłałaś mi na Messengerze?

Kiwam głową.

– To nie tak, że cię unikałam. Miałam masę roboty – stwierdza Alicja, ale bez większego przekonania. – I prawdę mówiąc, niewiele mogę powiedzieć o tamtej nocy. Sorry, ale to była słaba impreza. I wyjątkowo krótka.

– Bo Janek was wyprosił?

– Nie o to chodziło. – Alicja redukuje bieg i zwalnia, kiedy wyrasta przed nami duża prostokątna tabliczka, która informuje, że właśnie wjechałyśmy na teren naszego osiedla. Od mojego domu dzieli nas najwyżej dwieście metrów. – Na wstępie Wiktor pokłócił się z Filipem o jakąś głupotę. Trefną część do roweru, którą tamten mu wtedy sprzedał. Ale potem było tylko gorzej. Twój brat miał tę swoją muzyczną zajawkę. Zawsze mi to imponowało. Miał do tego talent i serce. Ale wtedy był jakiś drażliwy i nachalny. Parokrotnie zmuszał mnie do tego, żebym słuchała nowości, które skomponował na tamten wieczór. A to nie było nic interesującego, tylko stale powtarzające się dźwięki bez żadnej melodii. Trudno było się tym zachwycić, naprawdę.

– Wiktor twierdził, że kiedy wyszliście z imprezy, Filipa nie było z wami. Gdzie w takim razie się wtedy podziewał?

Alicja wzrusza ramionami.

– Myślałam, że wyszedł wcześniej. Mikołaj też gdzieś wtedy wsiąkł. Nie niańczyliśmy się wzajemnie. Ja i Wiktor po wyjściu skoncentrowaliśmy się na ławce w lesie. I na sobie. – Cmoka wymownie i zagryza dolną wargę. – Niewiele nas w tamtym momencie obchodziło. W tym jednym Wiktor zawsze był niezły... – urywa, jakby czekała, że to potwierdzą.

Nie mogę. Nie chcę.

– Nie staraj się rozgryzać tego na nowo – dodaje. – Nie wiem, czemu miałoby to w ogóle służyć. Ale powiem ci jedno. To była ona. Koniec, kropka. – Alicja stuka paznokciem w kierownicę. – Widziałam ją wcześniej tamtej nocy, tę małą wariatkę.

– Nastkę?

Alicja potwierdza skinieniem głowy.

– Już wtedy się do czegoś przygotowywała, tam, po drugiej stronie płotu. Zajrzałam na moment przez te ruchome sztachety. Wyglądało to na jakiś obrządek. Ale wtedy kompletnie nie zakładałam, że ona tak na serio...

Zza szpaleru sosen powoli wyłania się rząd piętrowych domów jednorodzinnych, w tym i mój schowany w niewielkim zagajniku na samym końcu ulicy. Jesteśmy prawie na miejscu. W oknie mojego sąsiada, pana

Lucjana, nie pali się światło, rolety w sypialni są całkowicie zaciągnięte, a jego samego nie ma nigdzie w zasięgu wzroku. Czułabym się choć trochę bezpieczniej, wiedząc, że jest obok. Jednocześnie niepokoi mnie myśl, że kilka godzin temu pan Lucjan zwykle bardzo wyczulony na wszelkie hałasy nie zareagował na moje wołanie o pomoc. Nie pojawił się wtedy przy mnie. Nie zadzwonił później, by spytać, czy wszystko jest w porządku. Tłumaczę to jednak tym, że mógł nic nie słyszeć, jeśli oglądał telewizję ze słuchawkami na uszach. A wiem, że ma to w zwyczaju.

Kilka godzin temu przejście przez alejkę prowadzącą pod drzwi, kiedy wciąż jeszcze było widno, przyprawiało mnie o dreszcze. Teraz osacza mnie paralizujący lęk. Z tyłu głowy mam tamtą niewykorzystaną w porę myśl. Może jednak powinnam była od razu zgłosić włamanie i napaść. Tylko problem w tym, że nie ufam glinom. Do tej pory działały niewiele, by chronić mnie i moją rodzinę.

– Co dokładnie Nastka tam robiła? – pytam Alicję, kiedy audi zatrzymuje się na chodniku tuż przed moją furtką.

I tym razem mi odpowiada, chętnie i z dbałością o szczegóły, zadziwiająco jak na upływ tylu lat. Kiedy się żegnamy, proszę Alicję, by poczekała, aż wejdę do środka. Staję przed bramą, wstukuję czterocyfrowy kod i słyszę charakterystyczny brzdęk zwalnianego mechanizmu. Biorę głęboki wdech. Potem nie ma już odwrotu. Ostrożnie wchodzę w jeszcze gęstszą, jeszcze bardziej atramentową czerń. Raz, dwa, trzy...

Stawiam kolejne niepewne kroki...

Rozdział 15

Czerwiec 2006

Ręka Wiktora wylądowała pojednawczo na ramieniu Alicji. Palce musnęły jej gołą skórę. Ale oparta o płot dziewczyna wciąż stała sztywno, zwrócona do swojego chłopaka bokiem.

– O co ci chodzi? – spytał Wiktor. Wzdrygnął się z powodu przenikającego go zimna. Koszulkę i spodnie nadal miał mokre.

– Nie znoszę, kiedy taki jesteś. – Głos Alicji najeżony był kolcami. Kąciki jej ust wygięły się w dół.

– Niby jaki?

– Odstawiłeś niepotrzebną szopkę. Znowu.

Wiktor zabrał dłoń z ramienia dziewczyny, obszedł ją ostrożnie, jakby zastanawiał się, jak tym razem do niej podejść. Nie potrafił przewidywać jej nastrojów. Czasami wydawała mu się zbyt skomplikowana. Wysunął rękę w jej stronę i delikatnie pogładził podbródek. Nie czuł już w sobie przypływu tamtej niedawnej furii. Ale nadal była w nim wściekłość, tylko lekko złagodzona. Rozmyta.

– Hej, wyluzuj już. To kłamliwy chujek. Sprzedał mi szmelc. Mam go jeszcze za to poklepywać po ramieniu? Nie jestem frajerem.

– Przestań – obruszyła się dziewczyna, ale nie strząsnęła z siebie jego ręki.

– Tym razem nie masz racji. Nie psuj nam tego wieczoru. Chcę się dobrze bawić... – dodała łagodniej, choć wyczekująco.

– Chyba nie oczekujesz, że go przeproszę?

– Masz to z nim załatwić – oznajmiła Alicja kategorycznie. – Tutaj, teraz i po cichu. Reszta mnie nie obchodzi – dodała, ścisząc głos. – Nie odstawiaj po prostu kolejnego przedstawienia.

Po drugiej stronie płotu błysnęła wtedy jasna smuga światła. Ta sama, która pojawiła się kilkanaście minut wcześniej, w trakcie sprzeczki nad stawkiem.

Kiedy jedno światło zgasło, zapaliło się inne. Było mniej wyraźne. Rozproszone. Różniło się też kilkoma detalami. Przemieszczało się i skrzyło łagodnymi odcieniami fioletu, błękitu i złota. Wraz ze zmianami jego natężenia zmieniały się też docierające zza płotu dźwięki. Alicja rozpoznała w nich dziecięcy głosik i tupot małych stóp.

– Czy ta wścibska psycholka znowu nas podgląda? – odezwał się Wiktor.

– To chyba nie ona. Ale sprawdźmy – zaproponowała. Nastka intrygowała ją i odpychała jednocześnie. Może nawet trochę się jej bała. Nie tyle samej dziewczyny, co nieprzewidywalności i skłonności do przemocy, która w niej drzemała. Co prawda to były tylko słowa, ale wyjątkowo sugestywne i przerażające. – Gdzieś tutaj jest przejście – powiedziała, odgarniając dłońmi liście rosnącego przy płocie perukowca. Łamane gałązki zatrzeszczały pod jej stopami. – Janek mówił kiedyś, że jego siostra przechodziła na drugą stronę przez ruchome sztachety – przypomniała. – Muszą gdzieś tutaj być. Sprawdź z drugiej strony, okej?

Wiktor rozpoczął od pierwszego szczebla na styku łączenia desek z metalową siatką. Okazał się mocno osadzony na swoim miejscu. Przeszedł więc do kolejnej deski. Po niej sprawdził następną, tak samo nieruchomą jak dwie poprzednie. I choć pigułka nadal szemrała Wiktorowi w głowie, koordynował swoje ruchy znacznie lepiej niż przed chwilą. Był zadziwiająco szybki i sprawny. Ale to nie on znalazł właściwe miejsce.

– Mam! – wykrzyknęła Alicja.

Wskazała brodą dwie deski odchylające się pod naporem jej dłoni. Schyliła głowę i powoli przesunęła się przez wąski otwór w płocie. Po drugiej stronie natrafiła dłonią na kłujący krzew, który zranił jej palec. Przecisnęła się przez niewielką szczelinę między nim a płotem. Przycupnęła tam, gdzie krzew się kończył.

– Co widzisz? – usłyszała za sobą szept Wiktora.

Odwróciła się, ssąc skaleczony palec. W ustach poczuła metaliczny posmak krwi.

– Ciii. I nie włącz tutaj. – Powstrzymała chłopaka wyprostowaną ręką. – Nie chcę, żeby się zorientowała, jeśli to ona. A jeśli to jej starzy, to tym bardziej. Wściekną się.

Wiktor nie protestował. Wycofał się w milczeniu.

Alicja szybko zorientowała się, że rodzice dziewczyny są w domu. Dwa ożywione głosy należące do kobiety i mężczyzny słychać było zza uchylonego okna na parterze. Ich rozmowę co chwila przerywały salwy śmiechu. Alicja skupiła się więc na ogrodzie, na świetle rozbłyskującym pod drewnianą pergolą, niemalże przylegającą do płotu. Oświetlało dwie sylwetki. Dużą i małą.

W pierwszej chwili pomyślała, że właśnie została świadkiem mającej się tu rozegrać za moment tragedii. Wydawało się jej, że w ogrodzie Seretnych znajduje się mała dziewczynka i dzikie zwierzę, które zwabił tutaj chichot dziecka albo zamocowana pod sklepieniem pergoli podłużna ultrafioletowa lampa. Ale to nie było zwierzę. Spowijający ogród mrok i ledwie rozpraszające go światło fałszowały rzeczywistość. Alicja szybko to zrozumiała. Przysunęła się nieco bliżej i wyteżyła wzrok, by wyłapać więcej szczegółów.

Postać stojąca pod pergolą bardziej niż zwierzę czy człowieka przypominała istotę z innego wymiaru. Składała się z gęstego mroku o ostrych, spiczastych kantach. W miejscu głowy miała zakrzywiony dziób zakończony srebrnym hakiem. Powyżej znajdowały się małe, ale wyłupiaste oczodoły nieproporcjonalne do masywnego korpusu, z których ziała ciemność. Ciało ukryte było pod czarną połyskującą peleryną kończącą się kilkoma ostrymi wypustkami. Skrzyły się przy poruszaniu. Z każdym kolejnym rozbłyskiem ultrafioletowego światła na pelerynie pojawiały się litery. Znikały, gdy lampa gasła. Światło pulsowało zbyt szybko, a postać poruszała się zbyt gwałtownie, by Alicja mogła je odczytać.

– Jestem gotowa – odezwała się postać ukryta pod peleryną. Przemówiła delikatnym głosem Nastki.

Druga postać, siedząca na taborecie kilkuletnia dziewczynka, ubrana była w jasny dresik nakrapiany cętkami. Od Nastki dzielił ją metr, może dwa. Nie więcej. Nie wyglądała na przerażoną. Musiała już wcześniej oswoić się z kostiumem. W pewnym momencie zeskoczyła z taboretu, uklękła naprzeciwko niego i zaczęła grzebać przy jego siedzisku. Małe paluszki mocowały się z jedną z desek. Alicja nie rozumiała, czego mała tam szuka.

Raz jeszcze skupiła się wyłącznie na Nastce, na pojawiających się i znikających na pelerynie literach. Trudno je było odczytać, bo Nastka, zatraciwszy się w jakimś upiornym tańcu, nieustannie obracała się wokół własnej osi. Poza układającymi się w słowa literami na pelerynie pojawiało się

coś jeszcze. Cyfry. Po cztery na każde słowo. Alicja nie była pewna, jak je odczytać, ale uznała, że mogły to być jakieś daty. Albo czterocyfrowe kody. Tylko do czego? Tego nie potrafiła rozszyfrować.

Po kilku kolejnych piruetach Nastka wreszcie się zatrzymała. Pozwoliło to Alicji lepiej przyjrzeć się jej pelerynie, tym bardziej że światło nareszcie przestało mrugać. Jasna fioletowa łuna skierowana była wprost na rozkloszowaną pelerynę. I choć cyfry, zdawałoby się zupełnie przypadkowe, nadal stanowiły dla niej zagadkę, słowa były teraz w pełni czytelne.

Magda Klara

Te dwa imiona, które odczytała jako pierwsze, zostały namalowane fluorescencyjnym markerem na wysokości ramion.

Malwina Justyna Michał

Marycha Filip

Pięć kolejnych imion wyłoniło się na plecach, kiedy Nastka odwróciła się i pochyliła nad siostrą. Te same imiona, a wraz z nimi kilka innych, wymienione były w tej samej kolejności w jednym z nienawistnych wpisów na blogu Nastki.

– Zostaw to! – wrzasnęła dziewczyna i zsunęła z głowy maskę.

Kiedy maska opadła, obnażyła inną niż zwykle twarz Nastki. Różnica nie wynikała z tego, że nastolatka tej nocy nie miała na sobie okularów, z którymi prawie nigdy się nie rozstawała. Alicja dostrzegła pewne fizyczne przeobrażenie Nastki. Jej twarz zapadła się i gwałtownie pociemniała, jakby przylgnęła do niej pewna część tej potwornej maski.

– Mówiłam ci, że nie wolno tam zaglądać – zwróciła się do siostry nieco łagodniej. – To niebezpieczne. – Szturchnęła ją w ramię. Dziecko skuliło się i głośno zaszlochało.

– Au. Boli. – Usta dziewczynki wygięły się w podkówkę. W kącikach oczu pojawiły się łzy.

– Cicho, bo mama i tata zaraz tu przyjdą. – Nastka przyłożyła palec do ust. W jej głosie wyczuwalna była groźba, w razie gdyby mała wykazała się niesubordynacją. Kiedy przykucnęła obok siostry, czarny tren położył się na kamiennej ścieżce. Alicja zauważyła wtedy, że jest znacznie dłuższy, niż początkowo sądziła, i składa się z kilku warstw. Obie ręce Nastki były czarne,

całe ubrudzone ziemią albo zanurzone w farbie. Alicji trudno to było z tej odległości ocenić. – A tego byśmy nie chciały. Powtórz – wydała siostrze komendę.

– Nie chciały – powtórzyło dziecko posłusznie. Podniosło się z ziemi. – Byśmy nie chciały. Nie chciały – wyrecytowała.

Stała wyprostowana z rączkami wyciągniętymi przed siebie. Nadal tkwił w nich ten sam przedmiot.

Alicja stała dość daleko, w odległości przynajmniej dziesięciu metrów od sióstr, ale mogłaby przysiąc, że w rękach dziewczynki błysnął wtedy nóż. Zamiast za drewniany trzonek, dziecko trzymało go za ostrze. Nastka delikatnie wysunęła jej go z ręki.

– Grzeczna mała – pochwaliła ją i odłożyła przedmiot na miejsce do skrytki umieszczonej pod siedziskiem niewielkiego taboretu.

Po raz pierwszy Alicja mogła mu się nieco lepiej przyjrzeć. Nastka uniosła jego niewielką drewnianą klapkę, włożyła nóż do środka i docisnęła ją do siedziska. Następnie dokładnie sprawdziła rączki dziecka, obejrzała ich wierzch i spód, przypuszczalnie w poszukiwaniu przypadkowych skaleczeń.

W ogrodzie na chwilę zaległa zupełna cisza i tylko ożywiona rozmowa rodziców obu dziewczynek niosła się w oddali radosnym echem. Alicja spojrzała na zegarek. Właśnie minęła dwudziesta druga. Postanowiła stamtąd jak najszybciej zniknąć.

Rozdział 16

Maj 2022

Nie wiem, co tej nocy bardziej nie dawało mi spać. Rwący ból nóg czy natrętne myśli. Było ich wiele. Męczyły głównie te, które kazały mi się zastanawiać, czy aby na pewno tej nocy za spuszczonej roletami nie czaił się intruz. Niepokój o moją matkę też w nich był. Nie zniknął wraz z zapewnieniem detektywa Friebego o braku wystarczających powiązań mojej matki z groźbą pozostawioną w adresowanej do mnie wiadomości. Ewidentnie byłyśmy na czyimś celowniku. Liczyłam na to, że jeśli Nastka faktycznie szuka zemsty, to skoncentruje się na mnie, a wplątanie mojej mamy w kolejne zdarzenia było tylko nic nieznaczącym straszakiem. Wiktor też pojawiał się w mojej głowie tej nocy – nie on sam, tylko jego potencjalna wina, jej brak albo współdziałanie w czymś, o czym wciąż nie miałam pojęcia. Pojawiały się różne takie konfiguracje, ale nadal nie mogłam umiejscowić jego roli w ostatnich wydarzeniach. To samo dotyczyło jego kochanki. Jednego tylko byłam pewna. Milena Kos na pewno nie była ofiarą. To podpowiadała mi nie tylko intuicja. Potwierdzał to ciąg celowych zdarzeń świadczących o czyjejś cholernej determinacji.

Przepisany przez lekarza ketonal wzięłam znacznie szybciej niż po zalecanych dwunastu godzinach. Chciałam stanąć na nogi i skoro świt wydostać się z łóżka. Miałam sporo rzeczy na głowie. Punktualnie o siódmej wysłałam do mamy esemesa. Ona też powinna być już na nogach. Odpowiedziała mi kilkanaście minut później, wyraźnie zdziwiona moją poranną troską. Nieczęsto pytamy się wzajemnie o samopoczucie. Kiedyś bardzo nad tym ubolewałam, ale znużyło mnie bycie jedyną osobą, która zabiega o taki zwyczajny kontakt. Ona nie przywykła pytać, ja nie zwykłam odpowiadać. I vice versa. Ale wiadomość, że wszystko u niej w porządku, w tych okolicznościach bardzo mnie uspokaja.

Decyzję o zgłoszeniu napadu podjęłam w nocy. Szykując się do wizyty w komisariacie, wyglądałam przez kuchenne okno. Między posesją pana Lucjana

a moją własną rosną trzy wysokie krategusy, które przesłaniają mi widok na parter jego willi. W mieszczącym się na piętrze oknie sypialni rolety nadal są zaciągnięte. Były w tej samej pozycji już wczoraj wieczorem, po moim powrocie do domu. Po remoncie naszego domu mieszkaliśmy tutaj z Wiktoorem zaledwie przez kilka tygodni, ale tyle wystarczyło, by poznać rutynę naszego sąsiada. Codziennie o szóstej trzydzieści, bez wyjątku, pan Lucjan odsłania rolety. Wydawany przez mechanizm przeciągły chrobot zawsze na chwilę wybudza mnie ze snu. Zaniepokojona, również tym, że od wczorajszego ataku mój sąsiad ani razu się nie pokazał, ani do mnie nie odezwał, postanawiam sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku.

Ostrożnie wkładam luźne szorty, by nie urazić poranionych nóg, potem T-shirt. Z zaciśniętym w rękę atomizerem z gazem pieprzowym otwieram drzwi wejściowe. Upewniając się, że nikogo nie ma, przedostaję się na ganek. Stamtąd brukowaną alejką wychodzę na ulicę.

Niewiele zmieniło się tutaj w ciągu ostatnich kilkunastu lat, choć samo osiedle bardzo się rozrosło, a na ulicach przylegających do mojej wzniesiono kilkupiętrowe apartamentowce. Jednak wciśnięta w las ulica Iglana jest inna niż wszystkie pozostałe, nieprzejezdna i zazwyczaj zupełnie pusta. Jest dumna, uparta i odporna na urbanistyczny rozwój.

Kiedy stoję pod furtką pana Lucjana, moją uwagę przykuwa spacerująca po drugiej stronie ulicy kobieta. Tuż przed nią, trzymając w rękach plastikowe pistolety na wodę, biegną dwaj sześciolatek chłopcy. Wrzeszczą wniebogłosy. Patrzę na kobietę. Widzę tylko jej półprofil, zadarty lekko nos i charakterystyczne wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Poza wyglądem rozpoznaję też język jej ciała. Zwłaszcza chód wydaje mi się znajomy – elegancki i zmysłowy. Sama kilkakrotnie widziałam, jak mój ojciec patrzył na nią lubieżnym wzrokiem. Marianna Kalinowska vel Mimi. Co ona tutaj robi? Jeśli to faktycznie ona. Przechodzę na drugą stronę, próbując się z nią zrównać. Ale nim mi się to udaje, kobieta odblokowuje drzwi zaparkowanego na chodniku czarnego SUV-a i szybko siada za kierownicą. W środku auta błyskawicznie znikają też chłopcy.

– Pani Marianna? – Stukam w okno SUV-a, kiedy chwilę później udaje mi się do nich dobiec.

Kobieta opuszcza wtedy szybę do połowy. Ma przeciwsłoneczne okulary o czarnych szklach. Zupełnie maskują jej oczy. Nie tylko dlatego natychmiast targają mną wątpliwości. I choć ta kobieta jest do niej podobna, skórę twarzy

ma bardziej napiętą, pewnie po liftingu, a usta pełniejsze. Tamta Marianna ze swojego profilowego zdjęcia na Fejsie miała zmarszczki w kącikach oczu i ust. Ta kobieta ich nie ma.

Ale może w ciągu tych szesnastu lat mogła ich się pozbyć?

– Musiała mnie pani z kimś pomylić – odpowiada.

Nie potrafię stwierdzić, czy rozpoznaję ten głos. Dwaj usadowieni z tyłu chłopcy przyglądają mi się z ciekawością. Przyciemnione szyby nie pozwalają mi porównać ich twarzy z synami Marianny, których widziałam na facebookowym zdjęciu.

Nie czekając na moją reakcję, kobieta przekręca kluczyk w stacyjce.

– Przepraszam... – mówię i wycofuję się, ale nie jestem stuprocentowo pewna, czy tak naprawdę powinnam to zrobić.

Kilka chwil później SUV na gdyńskich tablicach znika za zakrętem, a ja wracam pod płot sąsiada z zupełnym mętlikiem w głowie. Może pod wpływem tych wszystkich ostatnich myśli i wspomnień chciałam w tej obcej kobiecie zobaczyć kochankę mojego ojca i matkę zamordowanego Filipa?

Naprawdę nie wiem. Na wszelki wypadek wstukuję w telefon numer rejestracyjny czarnego SUV-a.

Kiedy ponownie stoję pod płotem sąsiada, przypominam sobie, że jego domofon nie zawsze działa. W zasadzie niewiele rzeczy funkcjonuje tutaj dobrze. Pan Lucjan i jego żona nie mieli dzieci. Już od dawna brakowało tutaj sprawnej ręki i kogoś, kto zaprowadziłby w nieremontowanym od lat domu i w zapuszczonym ogrodzie jakiś względny porządek. Wiele lat temu nazywałam go Tajemniczym Ogrodem. Kiedy tam wchodziłam, zdarzało się, że obłaziły mnie mrówki, a za kostki chwytały niekarczowane od dawien dawna pnącza. Z biegiem lat ogród zaczął podlegać wyłącznie swoim własnym coraz dzikszym prawom.

Tym razem domofon działa. Słyszę rozlegający się na piętrze ostry, przenikliwy sygnał. Niemożliwe, by pan Lucjan go nie słyszał, o ile faktycznie jest w domu. Wciskam czarny guzik kilkakrotnie, pulsacyjnie, coraz bardziej nerwowo. Wreszcie w jednym z okien widzę poruszającą się niespiesznie sylwetkę. To on. To na pewno on. Nim podniesie słuchawkę domofonu, zwykle najpierw pojawia się w kuchennym oknie. Nie inaczej jest i tym razem. Oddycham z ulgą.

– Co tak nerwowo, dziecinko? – pyta z pobłażliwością. Zauważam, że jest zaspany i ma na sobie pomiętą pidżamę w kratę. Musiałam wyrwać go ze snu.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy u pana wszystko w porządku.

– U mnie? – Wierzchem dłoni pociera oczy. – W najlepszym. Chcesz sama sprawdzić?

Nie czekając na odpowiedź, pan Lucjan gdzieś znika, ale tylko na chwilę. Jego sylwetka cicho przemyka za kolejnym oknem. Potem słyszę brzdęk odblokowywanej furtki. Popycham ją i, wspierając się o poręcz, wspinam po schodach na pierwsze piętro. Czuję wyraźnie ten sam co zawsze zapach, niezmienny od ponad dwudziestu lat. Kiedyś porównywałam go do woni, jaką wydzielają palona kawa i poddany wysokim temperaturom smar. Ekstrawagancka mieszanka, przyznaję. Do dzisiaj nie wiem, co faktycznie się za nią kryje. Tak czy inaczej, zawsze ją lubiłam, bo kojarzyła mi się ze schowanymi w puszcze herbatnikami i szczerą rozmową.

Dziś mój sąsiad stoi na szczycie schodów, wyraźnie słabszy niż kiedyś i zaniepokojony. Spogląda na moje zabandażowane piszczele, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Co ci się stało? – Wyciąga rękę w moją stronę. – Miałś wypadek?

– Ktoś wczoraj zaatakował mnie w ogrodzie.

– Kto?

– Nie wiem. Prawdopodobnie to ta sama osoba, którą widział pan chwilę wcześniej. Na pewno nie pamięta pan nic więcej? Jak wyglądał ten ktoś, skąd przyszedł? – pytam i czuję pod swoim ramieniem jego rękę. Tym razem uścisk jest zadziwiająco silny. Pomaga mi pokonać kilka ostatnich schodów.

– Chodź!

Pan Lucjan wskazuje jasny salon, w którym od lat zaznaczona jest i moja obecność. Nasze wspólne zdjęcie oprawione w ramkę stoi w centralnym miejscu na fortepianie. Mam na nim kilka lat i siedzę na kolanach pana Lucjana, zajadając się poziomkami, które chwilę wcześniej zebrałam z krzaczków. Mimo naszej emocjonalnej bliskości mój sąsiad nigdy nie oponował, kiedy zwracałam się do niego per pan. Nie namawiał, bym nazywała go wujkiem. Ani tym bardziej dziadkiem. Słowo „pan” automatycznie weszło do stałego rejestru i przylgnęło do wszystkich naszych rozmów.

Poza fortepianem salon wypełniają masywne rzeźbione meble zdobione ręczną snycerką. Dębowy stół przykryty jest obrusem wykonanym przez żonę pana Lucjana zmarłą kilka lat temu. Odnoszę wrażenie, że obrus wrósł w ten stół. Nigdy stąd nie znika.

– Gdzie to się stało? – pyta sąsiad i drapie się po głowie. – Nic wczoraj nie widziałem. Zupełnie nic – zarzeka się. Wskazuje mi miejsce przy stole, a sam usadawia się na skórzanym fotelu tuż pod oknem.

– Mógł pan nie słyszeć. – Zdaje się, że stwierdzam to za niego. Zerkam na wiszące na podłokietniku fotela słuchawki. – Nie wiem, kim był intruz. Nie wiem nawet, czy był mężczyzną. Widziałam jedynie dłoń w rękawiczce i nóż. Napastnik stał w ogrodzie, po drugiej stronie płotu.

– W tamtym miejscu? – Pan Lucjan kładzie akcent na drugie słowo. Bacznie mi się przygląda.

W tej samej chwili pojawia się między nami jakieś podskórne napięcie. Jest tak, jakby połączyła nas plątanina niewidocznych wyładowań elektrycznych. Jakby wszystko to, co teraz przez nas przewodzą, prowadziło do nieuchronnego zwarcia. W uszach słyszę nasilające się szmery i dudnienia. W ten sposób zawsze objawia mi się rosnące ciśnienie krwi.

– Tamtym, to znaczy? – pytam.

– W pobliżu ruchomych szczebli, gdzie znaleziono ciało tego chłopca, nieopodal domku na drzewie.

– Kiedy intruz mnie zaatakował, nie był na terenie mojej posesji – tłumaczę. – I dlaczego pan w ogóle o to pyta? O Filipa Kalinowskiego?

Pan Lucjan pociera dłońmi spękaną skórę, którą obity jest podłokietnik. Przed czymś się wzbrania, a jednocześnie do czegoś zmierza. Znam język jego ciała. Latami widywałam, że w podobny sposób zabierał się do podjęcia niewygodnych tematów.

– Bo coś cię dręczy, dziecko. Coś, co wlało w te mury lata temu. – Wstaje z fotela, podchodzi do okna i wskazuje mój dom. Podążam za nim. Widziany z tej perspektywy budynek wydaje mi się zupełnie inny, niższy i bardziej bezosobowy, a do tego szczelnie odgradzony tujami i żywopłotem od ulicy i podwórza. – Wlało i dotąd nie chce wyjść – powtarza, jakby w ten sposób próbował mnie przekonać. – Nie zmyłaś tego, nie zdarłaś razem ze starą farbą, dziecko. Wiem, że się starałaś. Ale to nie jest dobry sposób. Wyparcie to nigdy nie jest dobry sposób.

– Nie rozumiem – mówię i odwracam wzrok. Wbijam go w stoliczek nocny, na którym stoją kolejne stare zdjęcia. W przełyku czuję ołowianą kulę.

Jesteśmy już blisko. Odwrócenie wzroku nie pomoże. Czuję to. Biorę głęboki wdech, by pomieścić w nim wszystko to, co ma wkrótce nadejść.

– Oboje dobrze wiemy, że coś ostatnio wróciło i niszczy ci życie, dziecko. Coś, co nie zostało powiedziane o tamtej nocy, kiedy zginął Filip.

– Sama chciałabym wiedzieć, jak te ostatnie wydarzenia się z tym łączą – mówię jakoś nieporadnie. Chyba chcę, by to wyczuł. Chcę, by to wszystko wreszcie ze mnie wyciągnął.

Oboje gramy na czas. Wracamy na swoje miejsca. Obojgu nam zajmuje to więcej, niż jest konieczne.

– To odpowiedz sobie. – Mój sąsiad odzywa się pierwszy. Bardziej energicznie niż poprzednio drapie podłokietnik. – Odpowiedz, co robiłaś w domku na drzewie tamtej nocy, na chwilę przed tym, jak na dół zeszła Anastazja. I o czym z nią rozmawiałaś? Do czego ją podjudzałaś?

Celność jego słów mnie paraliżuje. Ale z jednym szczegółem absolutnie się nie zgadzam.

– Do niczego jej nie podjudzałam – zżymam się.

– Ale tam byłaś.

– Byłam – przyznaję. – Skąd pan o tym...? Nie mógł pan widzieć tej części ogrodu ani ze swojego okna, ani z podwórza.

– Spacerowałem wtedy z Rikiem.

– Ale od tamtej strony nie ma przejścia. Teraz jest, ale jeszcze wtedy go nie było. Polanę porastały tylko niewykarczowane samosiejki. Mnóstwo niewykarczowanych samosiejek.

– Riko zwęszył trop – wyjaśnia pan Lucjan. – Musiało tamtędy przebiegać jakieś dzikie zwierzę, a ta mała kudłata bestia potrafiła wślizgnąć się w najwęższą szczelinę. Wiesz, jak to z nim było. – Na wspomnienie swojego psa pan Lucjan uśmiecha się tęskno. – Musiałem się tam wgramolić i go stamtąd wydostać.

– Skoro pan tam był i nas słyszał, to dlaczego milczał pan przez te wszystkie lata?

– Bo tak naprawdę nic nie słyszałem. Nie słyszałem, o czym rozmawialiście. Widziałem was tylko z pewnej odległości. Najpierw ciebie,

usadowioną w domku na drzewie, a potem ją, w oknie na piętrze. Rozmawiałyście przez ten wasz telefon z puszek. Dochodziła dwudziesta trzecia. Podobno mniej więcej wtedy umarł ten chłopiec. Nie wierzę, że skrzywdziłabyś go w świadomy sposób. A ja nie skrzywdziłbym ciebie, wkręcając cię w policyjne śledztwo, w dodatku bez żadnej pewności. Widzisz, każde z nas ma coś na sumieniu. – W oczach sąsiada widzę wielki smutek. Nim też targają wyrzuty sumienia. – Ja mam swoje milczenie. A ty? Ty coś wiesz i z jakiegoś powodu też milczysz. Może kogoś chronisz. Może ktoś cię do czegoś zmusił. Czas z tym skończyć, dziecko. Jak to było naprawdę? Opowiedz. – Jego głos jest ciepły, kojący. Prawie mu ufam.

Prawie.

– Ale w tym tkwi problem. Nie wiem, jak było naprawdę. – Gardło nadal mam ściśnięte, ale słowa same padają z moich ust.

– Co to znaczy? Mów do mnie, dziecko, mów...

Czuję, jak wraz z kolejnymi słowami zachęty rozsypuje się ten gniezdzący się we mnie węzeł.

– Znam tylko fragment, który w kontekście całości do niczego nie prowadzi – szepczę.

– Pozwól to innym ocenić. Pozwól najpierw mnie to ocenić.

Latami stawałam przed lustrem, po kąpieli, najczęściej zupełnie naga, i niemal widziałam, jak tamte niewypowiedziane słowa wreszcie wyślizgują mi się z ust. Wizualizowałam to sobie i choć na chwilę czułam się prawdziwie czysta i wolna. Lekka w ten inny niż czysto fizyczny sposób. To była lekkość zupełnie innego rodzaju. Ale z biegiem lat zawsze było trudniej, bo moje usta coraz bardziej blokował knebel. Teraz, po tych wszystkich latach, knebel najpierw tylko się luzuje, ale nagle znika. I to w salonie mojego sąsiada, człowieka obcego, a bliższego mi niż własny ojciec i własna matka. To wszystko trudny do zrozumienia paradoks. Nawet dla mnie samej.

– Tamtej nocy byłam chora i dlatego wcześniej poszłam do łóżka. – To ja. To moje słowa.

Zamykam oczy, pozwalam dawnym obrazom przesunąć mi się pod powiekami. Mimo upływu lat nadal są takie same, tak samo żywe, tak samo namacalne.

– Zasnęłam. Obudził mnie i powiedział, że chodzi o zakład. Poprosił mnie, abym mu w nim pomogła.

– Zakład? – pyta mój sąsiad.

Jego głos jest rozmyty, odległy. Ale to nie on się ode mnie oddalił. To ja odpłynęłam. Zapadłam się. Nie wiem nawet jak. Nie wiem nawet gdzie.

– To o Nastkę się założyli – wyznaję.

– O kim ty mówisz, dziecko?

Spod mojej zaciśniętej powieki spływa łza.

Wymieniam kolejne zdarzenia. Kolejny przecinek, kolejna kropka, kolejny ciąg słów. Nie zakłócam ich rytmu. Wiem, że jeśli bym to teraz zrobiła, gdybym pozwoliła sobie choć na krótką pauzę, to knebel znów wróciłby na swoje dawne miejsce. Wraz z nim wróciłyby paralizujące mnie wstyd i wina. Na tę krótką chwilę o nich zapominam. Na tę krótką chwilę je zabijam.

Mówię, a pan Lucjan słucha. Słucha w pełnym skupieniu.

Rozdział 17

Czerwiec 2006

Julia leżała na boku, zwinięta w kłębek, z poduszką wciśniętą pod brodę. Tego wieczoru zmieniała pozycję już kilka razy. Na nocnym stoliku leżał termometr i napoczęty blister paracetamolu, z którego zniknęły dwie tabletki. W końcu zaczęły działać, bo temperatura powoli spadała. Ale po tej wielogodzinnej walce z gorączką dziewczynka była osłabiona i cała mokra, tak samo jak prześcieradło i koszula nocna, która kleiła się jej do karku i włosów. Czoło zroszone miała kropelkami potu. W uszach wciąż tkwiły słuchawki, z których w zapętleniu odtwarzała się płyta *Jagged Little Pill*. Od ponad godziny do Julii nie docierał jednak ani głos Alanis Morissette, ani żaden bodziec z zewnątrz. Nareszcie spała.

Zamknięte drzwi jej pokoju skrzypnęły, a w szczelinie pojawiła się smużka światła. Podążał za nią czyjś wydłużony cień. Przemierzał parkiet, szybko i zdecydowanie, a klepki skrzypiały pod jego stopami.

Stuk, stuk, stuk.

Jednak Julia ani drgnęła. Wciąż spała głęboko.

– Obudź się, mała! – Chłopak nachylił się nad dziewczynką i delikatnie szturchnął jej ramię. Wysunął słuchawki z jej uszu i nachylił się nad głową. Odgarnął włosy z czoła. – Hej, mała! Pobudka! – wyszeptał jej wprost do ucha.

Julia powoli otworzyła oczy. Nad jej głową rysował się rozmyty kształt, który w niczym nie przypominał człowieka. Ale rozpoznała jego głos. Nasunęła kołdrę na głowę i odwróciła się do chłopaka bokiem.

– Spadaj! – burknęła.

– Siostra, nie mam teraz czasu na tłumaczenie. Potrzebuję pomocy. – Głos chłopaka stał się bardziej niecierpliwy. Odrobinę nachalny.

– Spadaj, Janek! Śpij! – powtórzyła jeszcze głośniejszym, ostrzegawczym głosem. Janek nic sobie z tego nie robił. Jednym ruchem zdarł z niej kołdrę.

– To nie są przelewki. Zrobiłem głupotę. Możemy stracić kasę. Dużo kasy. Pomożesz mi to odkręcić? – poprosił. Jego słowa zlewały się w jeden ciąg, który z początku trudno jej było zrozumieć.

– Nie wiem, co zrobiłeś. Ale skoro sam się w to wpakowałeś, to teraz sam się z tego wypłacisz. Proste.

– Rzecz w tym, że ja nie mogę. Tylko ty możesz to zrobić.

Dziewczynka poczuła na sobie kojący chłód nocy. Wślizgiwał się przez uchylone okno i był znacznie przyjemniejszy niż te wstrząsające jej ciałem niedawne dreszcze. Temperatura musiała się względnie unormować. Julia usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Nadal była wściekła na Janka o tę niespodziewaną pobudkę. Jej wściekłość równoważyło zaciekawienie.

– O co chodzi? – spytała i zmrużyła powieki, próbując przeniknąć prawie zupełną ciemność.

Niewiele widziała poza konturem ciała brata i jego oczami. Szklily się. I to zaniepokoiło ją najbardziej. Działo się tak tylko wtedy, kiedy Janek wpakowywał się w prawdziwe tarapaty. Albo kiedy był pod wpływem narkotyków. Tylko raz widziała go w takim stanie. Odchorowywał to potem długimi tygodniami.

– Założyłem się o coś z chłopakami – wyszeptał. Każde z jego słów ważyło więcej, niż powinno.

– Z jakimi chłopakami?

– Nieważne – uciał. – Mogę stracić tysiąka. Stawką do zgarnięcia jest pięć kafli.

Julia zmarszczyła brwi. Coraz bardziej nie podobało jej się to, co słyszała. Chciała, by przestał.

– A skąd w ogóle miałeś taką forszę? – spytała z niedowierzaniem.

– To też nie jest teraz ważne. Chodzi o to, że założyliśmy się, czy Nastka o konkretnej godzinie wyjdzie ze swojego domu.

– I co, jeśli wyjdzie, to dostaniesz pięć kafli? – Julka parsknęła śmiechem.
– To jakaś bzdura.

– Taka była treść jednego z wyzwania. Nie ja ustalałem reguły.

– A kto je ustalał? Wiktor? Czy Mikołaj? O jakich chłopakach ty w ogóle mówisz?

– Nie, to nie oni. To nie ma z nimi nic wspólnego. Nic – podkreślił. – Mówiłem już, to nieważne. Pomożesz mi czy nie? – Julka usłyszała w głosie brata skrajną desperację. Nie słyszała jej nigdy wcześniej. Wcześniej nie знаła takiego Janka.

– A niby skąd ci tajemniczy „oni” będą wiedzieć, że Nastka wyszła, hę? – Zagryzła dolną wargę. – Nie ma tutaj nikogo poza nami, Alicją, Wiktorem i Mikołajem.

– Będą wiedzieć. Jezu, nie zadawaj więcej pytań. – Janek potarł spodnie dłońmi. Raz, drugi i trzeci. Za każdym razem pocierał je coraz szybciej. Robił tak zawsze, kiedy chciał rozładować napięcie. – Czas zaraz minie. Mamy pięć minut. I ani chwili dłużej.

Julia przesunęła się nad krawędź łóżka. Stopami dotknęła parkietu. Zawahała się.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła i spojrzała bratu w oczy długo i wyczekująco.

– Mnie też. Ale to już się stało. Mam tylko ciebie. I tylko ciebie mogę prosić...

To było ich hasło. „Tylko ciebie mogę prosić”. Faktycznie byli nierozłączni. Współzależni. Symbiotyczni. Do tego stopnia, że Julia nieraz żałowała, że nie potrafi za niego oddychać. Oddałaby mu i tę sprawność, gdyby tylko mogła. Zrobiłaby dla niego wszystko, byle nie dopadł go kolejny atak duszności. Wolała widzieć go zdrowego i choćby, tak jak teraz, przestraszonego albo skołowanego niż chorego, nieruchomego, podłączonego do aparatury i miliona rurek. Zawsze wtedy bała się czyhającej agonii i nieodwracalnej straty. Bała się, że sama wtedy umrze.

– To co mam dokładnie zrobić? – Wsunęła dłoń w rękę Janka. Była lodowata.

– Powiedzieć jej, żeby zeszła na dół. Tylko tyle.

Julka potrząsnęła przecząco głową.

– Ale to się nie uda.

– Dlaczego?

– Nie wiesz o paru rzeczach.

– Jakich?

– Nie rozmawiamy już – wyznała z pewnym oporem. – Ja i Nastka. Właściwie to od dzisiaj. Zablokowała mój numer. Dlatego nie odbierze ode mnie telefonu. Zresztą pewnie już śpi.

Janek zamilkł. Jego oczy błyszczały jeszcze mocniej niż przedtem. Gałki oczne przesuwają się niespokojnie pod powiekami.

– Wymyśl coś. Proszę – powiedział i ścisnął jeszcze mocniej dłoń siostry. – Znasz ją najlepiej. Jeśli nie telefon, to co?

Julka miała w głowie pewien pomysł, który mógł się w tych okolicznościach sprawdzić.

– Pójdę do domku na drzewie. Stamtąd spróbuję. – Podniosła się z łóżka i włożyła stojące pod biurkiem pantofle.

– Tylko nie wychodź tak. Najpierw się ubierz. – Janek wskazał złożony na fotelu dres siostry.

Julia włożyła spodnie i narzuciła na siebie rozpiętą kangurkę. Potem oboje wyszli na korytarz. W domu panowała jakaś nieznośna aura. Wyglądał na wymarły albo opuszczony w pośpiechu. Zamiast autorskiej muzyki Janka, która kilka godzin temu odprowadziła ją do sypialni, w uszach Julii dzwoniła zupełna cisza. Kiedy zeszli na parter, na kuchennym blacie stały trzy puste kieliszki. Jeden był przewrócony, a dwa pozostałe do połowy wypełnione alkoholem. Julia wyjrzała przez otwarte okno. Wyglądało na to, że ani na przylegającym do kuchni tarasie, ani w ogrodzie też nie było nikogo.

– Gdzie są wszyscy? – spytała.

Janek wzruszył ramionami.

– Chyba się rozeszli.

– Chyba? Co to znaczy? – Dziewczynka kątem oka zerknęła na zawieszony na ścianie kuchenny zegar. Wskazywał kwadrans po dwudziestej trzeciej. – Jeszcze przecież wcześniej.

– Nie wiem, gdzie jest Filip. Może poszedł zajarać do lasu. Nie widziałem go od jakiegoś czasu – dodał ze zniecierpliwieniem. – Kazałem reszcie spadać. Koniec imprezy. Starzy wracają wcześniej do domu. Chyba znów się pokłócili. W każdym razie mama dzwoniła, że będą za pół godziny. Muszę to ogarnąć. Ten cały syf, który zostawili goście. – Janek przebiegł wzrokiem po lepiącej się od soku podłodze w korytarzu i stercie naczyń piętrzącej się w zlewie. Nie tylko tym trzeba się było zająć. Na białych kuchennych

plytkach widział plamy o różnych kształtach i fakturze. – A ty idź. Idź już wreszcie – ponaglił siostrę. Wskazał jej otwarte drzwi.

Julka chciała mu zadać różne pytania, bo jego tłumaczenie pełne było luk.

– Nie ma czasu – powiedział Janek, jakby właśnie czytał w jej myślach. – Nie ma czasu – powtórzył. – Idź i natychmiast wracaj. Nie czekaj, aż ona zejdzie na dół. To ważne – zastrzegł.

– Dlaczego?

– Taki był warunek. Bez tego wszystko pójdzie nie tak. Słyszysz? – Potrząsnął ramionami stojącej nieruchomo Julii, kiedy nie doczekał się jej reakcji.

– Słyszę – mruknęła i z ociąganiem ruszyła w stronę domku na drzewie.

Droga na górę, którą zwykle pokonywała w mniej niż minutę, tym razem nastroczyła jej sporo problemów. Pewnie dlatego, że była bardzo słaba. Nieposłuszne nogi ześlizgiwały się ze szczebelków, a w rękach brakowało siły, która pomagała jej się podciągać i utrzymać na kolejnym stopniu. Gdy po którejś już z rzędu próbie znów wylądowała na ziemi, odwróciła głowę, by zawołać Janka i wylądować na nim narastającą wściekłość.

Dlaczego w ogóle jej to robił? Po co przyjął jakiś idiotyczny zakład bez pytania jej o zgodę? Ale zobaczyła wtedy, że jej brata wcale nie ma w kuchni. Nie wycierał poplamionej podłogi. Nie zmywał brudnych naczyń. Zniknął.

Mamy tylko pięć minut.

Mogła wrócić do domu i tam okazać mu swoje niezadowolenie albo spróbować raz jeszcze zmierzyć się z drzewem.

Mamy tylko pięć minut.

Ani chwili dłużej.

Jego słowa wciąż dzwoniły jej w uszach. Z tamtych pięciu minut została jedna, najwyżej dwie. W tym momencie wybór wydał się Julii oczywisty.

Korona jabłoni górowała nad nią jak rozłożyste ramiona olbrzyma. Zapraszała ją do środka. W jej centralnej części znajdował się niewielki domek zbudowany z desek. Był wzmocniony drewnianymi słupkami i pokryty pordzewiałą gdzieśgdzie blachą falistą. Gdy ona i Nastka były dużo młodsze, domek służył za ich bazę. Często też za kryjówkę. Raz stał się nawet tymczasowym szpitalem dla piskląt, które wypadły z gniazda. Potem dziewczynki obmyśliły plan komunikowania się przez ich własny telefon. Był

wykonany z czerwonego sznurka i dwóch pustych puszek po coca-coli. Ale jego siła tkwiła właśnie w tej prostocie. Jakość rozmów między oknami była zadziwiająco dobra. Sznurek rozciągnięto między oknem domku a mieszczącą się na pierwszym piętrze sypialnią Nastki. To było jakieś cztery lata temu. Dziewczynki nie używały go od dawna, ale telefon pozostał pewnym sentymentalnym i obowiązkowym łącznikiem między nimi. Stał się symbolem ich przyjaźni. Od czasu do czasu zmieniały nawet puszki, by upewnić się, że ta komunikacyjna linia pozostaje w pełni sprawna. Po dzisiejszym, jakże symbolicznym dniu Nastka mogła równie dobrze ją odciąć, ale Julii wydawało się, że czerwony sznurek jest na swoim miejscu. Podświetliła go telefonem, który zabrała ze sobą.

Tym razem podejście na górę zakończyło się sukcesem. Julka pokonała każdy z dziesięciu szczebli, nie zatrzymując się nawet na chwilę. W prawie pustym domku panował przenikliwy ziąb. Zapięła kangurkę, a na głowę nasunęła kaptur. A i tak trzęsa się z zimna. Poza chłodem o dreszcze przyprawiało ją też przerażenie. Nie miała pojęcia, o co faktycznie chodzi. Oświetliła sobie drogę pod okno i chwyciła za zawieszoną na haczyku, pordzewiałą puszkę. Przyczepiony po obu stronach linii dzwoneczek powinien zwrócić uwagę Nastki. Na to Julka liczyła. Delikatnie pociągnęła za sznurek. W uchylonym oknie sąsiedniego domu rozległ się metaliczny brzdęk. Najpierw ledwo słyszalny, potem coraz głośniejszy. I w tym natężeniu powtórzył się jeszcze dwukrotnie. Ale wsiąkł tylko w głuchą ciszę. W spowitym mrokiem domu panował bezruch. Nie zapaliło się żadne światło.

Kiedy Julia już miała dać za wygraną, w pokoju na piętrze coś się ruszyło. W oknie najpierw zapaliła się mała lampka, a potem pojawiła się tam znajoma sylwetka, szczupła i wysoka. Nadal było dość ciemno, ale Julia była pewna, że to Nastka. Widziała tę sylwetkę niejednokrotnie. Wydawało jej się, że dziewczyna wystawia puszkę za okno i zamierza ją wyrzucić. Julia szybko zareagowała. Przyłożyła usta do swojej puszki.

– Poczekaj! Poczekaj, proszę! – powiedziała.

Stojąca w oknie postać przez chwilę się wahała. W końcu cofnęła rękę i przyłożyła swoją puszkę do ust.

– Czego chcesz? – warknęła.

Głos odbity od puszki był wyraźny i donośny.

– Pogadać. O tym, co stało się dzisiaj.

– Wszystko już sobie powiedziałyśmy. – Głos znów zafalował w puszcze. Był zimny i ostry. Przenikliwy, tak jak ten lodowaty chłód nocy. Julię znów przeszły dreszcze. – Nie gadam z konfidentami – usłyszała.

– Mama wszystkiego się domyśliła. To nie ja jej powiedziałam – skłamała Julia. I tym razem zrobiła to bez zająknięcia. Drugi raz w życiu oszukała Nastkę. Po raz pierwszy zrobiła to kilka godzin wcześniej. Po tym, jak Nastka pojawiła się w lesie z grą w piekło – niebo i z realną groźbą, którą niosła jej obietnica zemsty, Julia powiedziała swojej mamie o blogu Nastki. Tym razem mama jej wysłuchiwała bez przerywania, bez oskarżania Julii o to, że zmyśla, bo za wszelką cenę zabiega o jej uwagę. Julia powiedziała też o innych, nie mniej strasznych zapowiedziach. Naprawdę się bała. Niepokoiliła się o bezpieczeństwo swoich kolegów, martwiła ją także coraz głębsza obsesja Nastki. Nie mogła postąpić inaczej.

– Zejdiesz na dół? Proszę. Porozmawiamy. – Słowa paliły Julię w przełyku. Trzecie kłamstwo. Trzecie parszywe kłamstwo tego samego dnia.

– Po co? – Głos Nastki się zmienił. Poza wyczuwalną nadal urazą była w nim nadzieja na pojednanie i tęsknota. Julia ją wyczuła. I to zabolęło ją jeszcze bardziej.

– Chciałabym, żeby było jak dawniej. – Czwarte kłamstwo, to najgorsze. Język pulsował w jej ustach. Parzył ją.

Cisza. Długa, niczym niezmacona cisza.

– Poczekaj chwilę – odpowiedziała wreszcie Nastka. – Zaraz zejdem na dół.

Julia odwiesiła puszkę na haczyk i zgodnie z wytycznymi Janka natychmiast zeszła z domku na drzewie. Czuliła mrowienie w stopach i dłoniach. Tym razem jej złe samopoczucie nie miało nic wspólnego z gorączką. Czuliła się źle z tym, w czym właśnie brała udział. W manipulacjach, w poczwórnym kłamstwie. Ale zabrnęła w nich już tak daleko, że w tej chwili było jej wszystko jedno. Chodziło o jej utraconą przyjaciółkę i brata. Wybrała jego.

Janek stał w alejce prowadzącej na taras. Nie wyglądał lepiej niż poprzednio. Oczy błyszcząły mu jeszcze bardziej. Sprawiał takie wrażenie, jakby to jego trawiła gorączka.

– Dobra robota – wydukał. Julia zauważyła, że jego oddech stał się bardziej płytki. Była wyczulona na takie zmiany.

– Skąd wiesz, że zejdzie? – spytała. Spojrzała na palące się w pokoju Nastki światło.

– Byłem tu. Cały czas tutaj byłem.

– I co teraz?

– Musisz zrobić jeszcze jedno. Tajfun chyba wymknął się z domu.

– Że co? – Julia wybuchnęła. – I co jeszcze? – Nie mogła pomieścić w sobie liczby absurdów jak na ten jeden wieczór.

– Któreś z nich zostawiło otwartą furtkę... Nie ma go... Nie mógł daleko odejść... Pewnie szwenda się gdzieś po ulicy... Przyprowadź go... Proszę... – Po każdym z urywanych zdań Janek musiał brać przerwę na oddech.

Julia nie mogła być na niego zła. Nie teraz, kiedy jego samopoczucie znów gwałtownie się pogarszało.

Po drugiej stronie płotu oboje usłyszeli chrobot, który przypominał rozgarnianą psimi łapami ziemię. Towarzyszyło mu ciche powarkiwanie.

– To pewnie on. Przyprowadź go. Potem pogadamy. – Janek zbył ją obietnicą.

Jeszcze wtedy Julia nie wiedziała, że Janek nigdy jej nie spełni. Nigdy nie zdradzi jej tego, kto stał za tym irracjonalnym wyzwaniem. Ale ufając temu, że jej brat to jednak robi, Julia wyszła na ulicę. Tajfun faktycznie myszkował po okolicznych zagajnikach. Niemal od razu go zauważyła. Oddalał się od niej coraz bardziej, w jakimś psim akcie zewu wolności, zupełnie ignorując jej wołanie. Kilka domów dalej, oparci o murek jednej z posesji, stali Wiktor i Alicja. Jego palce wsuwały się pod jej koszulkę. Spoczywająca na nich jej dłoń kazała im przemieszczać się coraz dalej. Byli tak bardzo sobą zajęci, że nawet jej nie zauważyli. A jeśli ją zauważyli albo przynajmniej usłyszeli, to nie zareagowali.

Gdy kilka minut później Julia wróciła do domu z psem, Janek był o krok od kolejnego ataku. Rodzice, którzy zdążyli przyjechać pod jej nieobecność, nie skupili się na nieudolnie zatartych śladach niedawnej imprezy. Nie zdziwili się nawet tym, że ich gorączkująca niedawno córka o północy włóczyła się z psem tylko w pantoflach i cienkim dresie. Całą swoją uwagę skoncentrowali na Janku. Ona też to zrobiła. Była przy nim i jak zawsze zapewniała go, że wszystko będzie dobrze. Czuwała przy nim niemal całą noc, dopóki sama nie odpłynęła, bo z nich trojga tylko ona mogła tam w tej sytuacji być. Na obecność matki w jego pokoju Janek zawsze reagował atakiem furii. Z kolei

jej obecność była dla nich obojga czymś naturalnym. Symbiotycznym. To było najważniejsze określenie.

O poranku obudził ją rozdzierający krzyk matki. Wybudzona gwałtownie Julia była pewna, że coś bardzo złego stało się z Jankiem. Jej serce na jedną, krótką chwilę przestało wtedy bić. Chwiejnym krokiem wstała z fotela, podeszła do łóżka brata i pochyliła się nad nim. Oddychał. Wciąż spał. Julia zrównała swój oddech z jego oddechem. Ale krzyk matki nie był tylko sennym majakiem. Tym razem Julia, już bardziej przytomna, potrafiła go lepiej ukierunkować. Głos dobiegał z za okna i wciąż ciął powietrze jak ostry nóż.

Dziewczynka wyjrzała przez okno i zauważyła, że matka pochyła się nad czymś w ogrodzie. Nie miała pojęcia, co wzbudziło jej grozę, bo gałęzie jabłoni przesłaniały cały widok. Julia zeszła na parter w tym samym dresie, w którym wcześniej zasnęła.

Najpierw jej uwagę przykuły dwa rozsunięte szczelbelki w płocie. To było tajemne przejście, które łączyło jej ogród z ogrodem Nastki. Czyli faktycznie jej przyjaciółka zeszła na dół i, nie doczekawszy się jej po drugiej stronie, szukała dalej tutaj, na terenie ich posesji. Ta myśl uderzyła ją pierwsza. W klatce piersiowej dziewczynka poczuła znajome ukłucie. Wina. To była ona. Od wczoraj wiła gniazdo w jej sercu.

Druga myśl była o wiele straszniejsza. Zresztą to nawet nie była myśl, tylko najprawdziwsza materializująca się przed jej oczami prawda.

Najokrutniejsza.

Na trawie, pod gałęzią jabłoni, tą największą, na której dojrzewały dziesiątki czerwonych owoców, zobaczyła ciało. Skrzepła już krew, jaka z niego wypłynęła, utworzyła wokół głowy bordową aureolę. Podeszwy białych adidasów zanurzone były w ziemi. I choć leżał bokiem, a jego policzek wciśnięty był w ziemię, Julia natychmiast go poznała. Znała przecież tego chłopaka i kilka godzin wcześniej widziała go uśmiechniętego, rozluźnionego, z kieliszkiem w ręku.

Żywego.

Martwy Filip Kalinowski przypominał umazaną krwią i ziemią woskową kukłę. Z tymi zarzuconymi za głowę wątłymi ramionami i rozsypanymi niedbale włosami był bardziej kruchy i bezbronny niż kiedykolwiek. Wyglądał

tak, jakby ktoś spuścił z niego całą krew i pozwolił jej wsiąknąć w ziemię. Jediną pozostałością po niej była ta straszna aureola.

Na widok chłopaka krzyk uwiązał Julii w gardle. Tylko jej myśli trajkotały głośno.

Gdyby nie uległa Jankowi, to nie wdrapałaby się na ten przeklęty domek. Gdyby nie zwabiła tam Nastki w pułapkę, to by się nie stało.

Gdyby...

Gdyby...

Gdyby...

Odtąd to słowo prześladowało ją znacznie częściej niż Filip Kalinowski w snach. A on też nie pozostawał jej wtedy dłużny. Przychodził do niej nocami, przynajmniej raz w tygodniu. Siadał na skraju łóżka, blady, wręcz półprzezroczysty, i pytał ją, dlaczego mu to zrobiła. Nie otwierał wtedy ust. Głos wydostawał się ze środka. Gdzieś z głębi trzewi. Z jego szyi zawsze ciekła wtedy krew, bordowa i gęsta. Na samym końcu, kiedy już skrzepła, przechodziła w zupełną czerń. Lepiła się do jego skóry i otwartej na wysokości potylicy czaszki. Julia nie wiedziała, jak wydobywał się z niego głos. Zresztą sama też nie potrafiła mu odpowiedzieć.

Nawet przez sen.

Każdy kolejny taki koszmary sen.

A te przychodziły do niej falami.

Jeden tydzień, jedna taka fala.

Jedno takie upiorne spotkanie.

Jedna taka śmierć.

Rozdział 18

Maj 2022

Pan Lucjan nie wywarł na mnie żadnej presji, ale jego milczenie było wystarczająco wymowne. Do drzwi odprowadził mnie tylko jednym zdaniem.

– Ty już sama dobrze wiesz, co masz zrobić, dziecko.

Wiem. Zawsze wiedziałam, ale wstyd przed zdradzeniem Janka sznurował nastoletniej „mnie” usta. A obecna „ja” wyrosła z tamtej milczącej nastolatki, wyszała z niej tamten stary strach. I dlatego dotychczas nie miała wystarczająco odwagi, by zrobić to, co zawsze było konieczne.

Na komendę miałam zgłosić się dzisiaj z zupełnie innym zawiadomieniem, ale dalsze przeciąganie tego, co i tak było nieuniknione, nie miało sensu. O tym też dobrze wiem. Najwyższy czas wyłożyć karty na stół. A przynajmniej wszystkie te, do których ja sama miałam od dawna dostęp. Ulga, jaką przyniosło mi wyrzucenie z siebie przebiegu tamtej nocy przed życzliwą osobą, dodaje mi odwagi. I choć teraz będzie znacznie trudniej, weszłam już na ścieżkę, z której nie ma odwrotu.

Nie jestem tylko pewna, czy ze świeżym urazem obu nóg będę w stanie prowadzić samochód. Nie zwlekając dłużej, zabieram torebkę, zamykam dom i szybko szykuję się do drogi. Ostrożnie wsiadam za kółko i poruszam nogami, by sprawdzić ich mobilność na pedałach. Poza lekkim spięciem mięśni nóg ból nie jest wyczuwalny, najprawdopodobniej dzięki końskiej dawce tabletek przeciwbólowych. Wkładam kluczyk do stacyjki, ale jeszcze go nie przekręcam. Na siedzeniu pasażera wciąż tkwi kserokopia ostatniej rymowanki, której oryginał zostawiłam na komisariacie. Biorę ją do ręki i czytam, linijka po linijce.

W miejscu, gdzie ziemi tąpnięcie, kryjówka się znajduje.

I nie tylko Nastka tam się dobrze czuje.

***Schyl się, przez korytarze ziemi przedrzyj,
do sedna zagadki nareszcie wejrzyj.***

Czytam wiadomość raz jeszcze i wciskam ją do schowka, by nie myśleć o czającej się za nią odpowiedzi. Zamknięty tunel kolejowy, znajdujący się na zupełnym odludziu, do którego ta wskazówka prowadzi, mógłby się okazać kolejną pułapką. Przekręcam kluczyk w stacyjce, silnik szumi wesoło. Ale mnie nie udziela się żaden radosny nastrój. Natrętne myśli i chęć podjęcia jeszcze jednego, ostatniego ryzyka wciąż nie daje mi spokoju. Kiedy włączam się do ruchu, skrytka otwiera się na pierwszym progu zwalniającym. Odbite na papierze litery kolejny raz wołają o moją uwagę. Kurwa!

Zwykle działam pod wpływem impulsu. A nie zawsze powinnam. Czasem chłodna kalkulacja lepiej rozwiązuje problemy niż całkowita spontaniczność. Ale skoro chłodna kalkulacja nigdy nie była dla mnie, nie jest moim wyborem także i teraz, nawet po pojawieniu się tych wszystkich znaków ostrzegawczych.

Czuję, że mogę tego pożałować, ale nadal sztywno trzymam kierownicę w dłoniach. Zamiast zjechać z ulicy Morskiej prowadzącej do portowej dzielnicy, gdzie mieści się komisariat, kieruję się na obwodnicę Trójmiasta. Od celu dzieli mnie nie więcej niż pół godziny drogi.

Jednotorowy tunel kolejowy oddalony kilkanaście kilometrów od Gdyni, teraz nieczynny, został wybudowany ponad sto lat temu taką samą metodą jak drążone w skale kolejki wysokogórskie. Mieści się w Rutkach, na dawnej trasie linii kolejowej łączącej Pruszcz Gdański z Kartuzami, na niewielkim zalesionym wzniesieniu. Byłyśmy tam z Nastką kilkakrotnie, mniej więcej na pół roku przed śmiercią Filipa Kalinowskiego. Za każdym razem urywałyśmy się ze szkoły i jechałyśmy na gapę SKM-ką. Nigdy nikt nas nie złapał. Nigdy nikt niczego się nie domyślił. Czułyśmy się wtedy wszechmocne. Niepokonane. Nieposkromione.

Do teraz czuję na plecach lodowaty przeciąg, który ciął moją skórę swoim chłodnym ostrzem. Działo się tak z powodu ustawionej na wschód–zachód kolejowej osi. Przechodziłyśmy wtedy przez ten powietrzny tunel, za każdym razem zostawiając kamień we wgłębieniu mieszczącym się w połowie jego długości. Kamień służył za dowód naszej obecności. Nie mam wątpliwości, że w tamtej wnęce powinnam szukać teraz rozwiązania.

Nikt nie mógł mnie śledzić. Szutrowa droga, która prowadzi na niewielki parking w lesie, jest zupełnie pusta. Była taka przez cały kilkukilometrowy odcinek. Ostatni wybudowany na skraju lasu dom minęłam jakieś dwa kilometry wcześniej. Wsiadam z auta i schodzę z drogi na niewielką dróżkę

ledwie widoczną wśród porastających ją pokrzyw. Kiedy byłam tutaj ostatni raz ponad szesnaście lat temu, tunel wyglądał całkiem inaczej.

Portale ozdobione na wlocie kamieniami były niegdyś zwieńczone prostymi balustradami. Od tamtego czasu zdemontowano je albo rozkradziono. To moja pierwsza myśl. A może nadal tam są, tylko zostały porośnięte zawłaszczającym tunel bluszczem. Naprawdę nie wiem. Drewniane podkłady pod torami całkiem szerniały, w wielu miejscach wyglądają na nadpalone. Nie mam pojęcia, w jakim celu ktoś miałby to zrobić. Jedno się tylko nie zmieniło. Stojąc w odległości kilku metrów od wlotu, czuję ten sam co zawsze chłód niesiony powiewami wiatru. Wydobywa się z niego fetor rozkładu. Co dziwne, fetor też zawsze tam był, ukryty między gałęziami albo w szczelinach torów. Tłumaczyłam to tym, i kiedyś, i teraz, że w jakimś ostatnim wytyczonym sobie celu to tam kierowały się konające zwierzęta.

Raz jeszcze rozglądam się po lesie. Wśród krzaków rosnących nad pobliskim rozlewiskiem Raduni coś głośno szeleści. Uspokajam się, kiedy po chwili znad zarośli wylatują dwa kosy i wzbijają się w powietrze. Wchodzę do środka tunelu z uruchomioną w telefonie latarką w jednej ręce i odblaskowym atomizerem gazu pieprzowego w drugiej.

Przez tych szesnaście lat jeszcze jedno się zmieniło. Po śmierci Filipa zdiagnozowano u mnie łagodną odmianę nyktofobii. Lęk przed ciemnością nie był na tyle silny, aby uniemożliwić mi normalne funkcjonowanie, ale od tamtej pory nigdy nie kładłam się spać przy zgaszonym świetle. Nie wiem, jak zareaguję na te panujące w tunelu egipskie ciemności.

Latarka drga w moim ręku, rysując na drewnianych podestach ruchomą, jasną smugę światła. Tunel przebiega po łuku, więc wchodząc do środka, nie widzę jego wylotu. Zupełna ciemność zapada tak szybko i tak niespodziewanie, że, aby nie stracić równowagi, wsuwam gaz z powrotem do kieszeni spodni. Wolną ręką wspieram się o ścianę tunelu. Czuję bardzo wyraźnie szorstkie, zawilgocone wypustki między kamieniami.

To, co kiedyś było dziecięcą przygodą, teraz zamienia się w koszmar. Moje zmysły wariują do tego stopnia, że nie mam pewności, czy posuwam się naprzód, czy może jednak stoję. Mój oddech przyspiesza. Oblewa mnie fala zimnego potu. Niedługo, kiedy łuk zamieni się w prostą drogę, powinnam zobaczyć oddalony ode mnie o trzysta metrów wylot. Ciągnę nogę za nogą, wprawiam je w nieznaczny tylko ruch, bo tym razem są nieposłuszne i powolne. Zbyt powolne.

Odliczam kolejne kroki, mając nadzieję na zmianę. Kiedy ta wreszcie nadchodzi, na końcu tunelu rysuje się niewielkie naturalne światło. Wtedy przyspieszam, obierając je za swój pośredni cel. Od głównego celu, czyli wnęki, dzieli mnie nie więcej niż sto metrów. Pierwszy, drugi, trzeci. Czwarty metr. Tyle mniej więcej udaje mi się pokonać.

Światło na końcu tunelu w pewnym momencie się rozmywa. Wygląda, jakby u wylotu tunelu ktoś zakrył lustrem to biegnące dalej torowisko. Odbija się od niego światło mojej latarki. Razi mnie w oczy. Czymkolwiek faktycznie jest to, co wygląda na lustro, po chwili przesuwa się na bok. Potem zupełnie znika. Zaciskam powieki, biorąc to wszystko za omamy wywołane atakiem paniki.

Gdy otwieram oczy, lustra już nie ma. W jego miejscu, po drugiej stronie wlotu, stoi człowiek. Nie widzę niczego poza konturem jego ciała. Zastygam w bezruchu. Niesione echem odgłosy zdradzają mi tylko to, że on już wkroczył do środka, zawłaszczony przez zupełną ciemność. Ciemność, w której sama tkwię. Jesteśmy w niej oboje, tak samo niewidoczni. I to przeraża mnie najbardziej.

Szuranie jego butów przybiera na sile. Jedyne to zdradza jego obecność. Nie wiem, na jakim odcinku się znajduje ani z jaką prędkością się porusza, ale z pewnością nie robi żadnych przerw. W ruchu jego ciała jest tylko jednostajna ciągłość. Nie wiedząc, gdzie dokładnie jest, nie będę mogła podjąć próby obezwładnienia go gazem.

Wycofaj się! Zawróć!

Póki jeszcze możesz...

Słyszę swój wewnętrzny ostrzegawczy głos. Zawracam, niemalże natychmiast, ale światło wskazujące mi powrotną drogę zniknęło już dawno za zakrętem. Odgłosy za moimi plecami wciąż przybierają na sile, szurają w ścianach, przesuwiają się po torach. Dźwięk coraz głośniejszy, skraca dystans, rośnie w siłę.

Próbuję przyspieszyć, ale kończy się tym, że potykam się o drewniany podest i upadam. Podążający za mną odgłos na chwilę zawisa w próżni.

Samo zderzenie z ziemią nie boli tak bardzo jak rozwalona na nowo zszyta niedawno rana na prawej piszczeli. Pod kolanami wyczuwam rozsypany wokół podestu tłuczeń. To on musiał przeciąć skórę. On albo jakiś odłamek szkła. Tak czy owak, rana znów jest otwarta. Daje mi o sobie znać tym

przesuwającym się po prawej nodze ciepłem mojej krwi. Wokół rany pulsuje ból. Jest rwący, rozchodzi się coraz dalej, coraz głębiej, aż do kości, tym razem niczym nieznieczulony. Wyrzucam go z siebie jednym głośnym krzykiem.

Stuk, stuk, stuk. Tupot butów znów się pojawia, a potem nagle się zatrzymuje.

– Wszystko w porządku? – Słyszę nad sobą czyjś głos. Należy do młodej kobiety. Nie ma w nim cienia empatii. Jest tylko szyderstwo. A najgorsze jest to, że ponownie nie potrafię go zlokalizować.

Nie potrafię, bo trzymana przez nią latarka razi mnie w oczy.

– Może pomóc? – słyszę. Jej oddech choć trochę odziera ją z anonimowości. Pachnie gumą miętową i mocną kawą.

– Może pomóc?

Po tunelu niesie się jej głos, odbija echem i wraca do mnie zwiokrotniony. Nie znam go. Jest płaski i matowy. Zupełnie mi obcy. Wiem tylko z niemal stuprocentową pewnością, że ten głos nie należy do Nastki.

We włosach czuję jej palce, gładzą pojedyncze pasma, jedno po drugim, z coraz większą natarczywością. Jest w tym coś zwierzęcego. Drapieżnego. Zsynchronizowanego z tym ponurym miejscem. Kiedy przesuwa dłoń niżej i dotyka mojego czoła, wyczuwam, że ma na dłoniach skórzane rękawiczki. Czuję ich szorstkość, ale nadal nie widzę zupełnie nic. Ostra łuna światła wciąż się we mnie wdziera, drażni mózg. Zamykam oczy, by od niej uciec.

Wciskam się głębiej w drewniane deski podestu, by zakamufłować tam swoją lewą rękę. Przesuwam ją wzdłuż ciała, w kierunku wsuniętego w kieszeń atomizera z gazem. Chwytam go i ciągnę ku górze. Ale flakonik drży w moich rękach. Cała się trzęsę, trzęsą mi się dłonie.

– Nawet nie próbuj – słyszę nad sobą.

Nie czeka na moją reakcję. Jest szybka i zdeterminowana. Siła kopniaka dosłownie wybija mi flakonik z ręki. Metalowy pojemniczek pobrzękując, turla się w głąb tunelu. Kiedy próbuję wstać, dłoń w rękawiczce uderza mnie w obojczyk i przyciska do ziemi. Jej zwinność i punktowa umiejętność zadawania ciosów świadczy, że nie mam do czynienia z amatorem. Ona wie, co robi. Wie, gdzie uderzyć.

– Czego chce Nastka? – To ja. To mój własny głos odbija się echem.

Na wzmiankę o Nastce palce w rękawiczce zaciskają się mocniej. Jedna dłoń jest na obojczyku, a druga na czole. Nadal jestem unieruchomiona.

– Czego ona chce? – powtarzam.

Zamiast odpowiedzi czuję zmianę w jej zachowaniu. Jej ręka na moim czole, teraz przewleka mi coś przez głowę. Robi to szybko i sprawnie, prawie bezszelestnie.

Rozpoznaję jedynie, że to sznurek albo lina. Czymkolwiek faktycznie jest to oplatające mnie coś, zsuwa się w dół i zaciska mi się na szyi, na moment zupełnie blokując krtań. Krztuszę się.

Boże, udusi mnie. Zaraz to zrobi.

Odruchowo chwytam za sznurek, próbując wsunąć pod niego palce, ale to na nic. Sznurek przylega do mojej skóry. Sięgam więc po jedyną broń, jaką mam teraz pod ręką. To rozsypany na torowisku tłuczeń. Zaciskam go w palcach z zamiarem uderzenia na oślep, choć wiem, że to próba z góry skazana na niepowodzenie. Nie widzę nic. Zupełnie nic. To ona ma mnie na celowniku. Unoszę jednak dłoń gotowa do ataku. Rzucam. Ale tłuczeń nie trafia. Rozsypuje się po torowisku z cichym stukotem.

Wtedy zacisk na szyi ustępuje. Tak po prostu. Ale czuję, że to nie koniec. Z mojej szyi zwisa jakiś ciężar, który mi po sobie pozostawiła.

Łapczywie chwytam powietrze. Raz, drugi i trzeci. W końcu wyrównuję oddech.

Kroki oddalają się coraz szybciej, a potem zupełnie milkną. Moje podrażnione światłem oczy na nowo przyzwyczajają się do zupełnej ciemności. Siedzę jeszcze przez chwilę w tym samym miejscu zupełnie znieruchomiała. Potem w szczelinie pod torami po omacku odnajduję telefon, który wypadł mi z rąk. Wspieram się na ścianie i z włączoną latarką powoli kieruję do wyjścia.

Kiedy wreszcie do niego docieram, wylot wygląda tak jak poprzednio. Po drugiej stronie toczy się zwykle leśne życie, takie samo jak wcześniej. Pokrzywy, wąska dróżka i bliżej niezidentyfikowany odór rozkładu. Wszystko jest tak samo niepozorne. Tak samo wrośnięte w ten krajobraz.

Na zewnątrz nie pozostawiła po sobie żadnego śladu. Prawie. Ja nim jestem, jestem dowodem na to, że jednak tutaj była. Światło dzienne obnaża zawieszony na sznurku ciężar. Na metalowym oczku wisi masywny klucz z przyczepioną do niego drewnianą kłapką. Początkowo zostawiam go tam,

gdzie jest. Chcę tylko dotrzeć do zaparkowanego nieopodal samochodu i jak najprędzej stąd odjechać. Nic więcej. Ale krwawiąca noga, z której zsunął się opatrunek, w ogóle nie współpracuje. Do auta docieram po kilku długich minutach i wtedy ruszam.

Zatrzymuję się, kiedy wyjeżdżam na ruchliwą drogę, kilka kilometrów dalej. Krążąca w żyłach adrenalina względnie wypiera ból nogi, który jeszcze przed chwilą był nie do wytrzymania. Zatrzymuję się na parkingu przed przydrożnym barem. Tym razem nie popełniam tego samego co poprzednio błędu. Wkładam lateksowe rękawiczki, które ze sobą zabrałam. Dopiero wtedy ściągam z szyi sznurek i uważnie przyglądam się zawieszonemu na nim kluczowi. To zwykły, choć dość ciężki klucz patentowy. Nie wyróżnia się niczym charakterystycznym. Równie dobrze mógłby otwierać drzwi wejściowe albo kłódkę. Albo nawet furtkę. Bardziej niż sam klucz moją uwagę przykuwa przypięta do niego drewniana klapka. Jest w niej wyryta dziewiątka i piktogram przedstawiający parterowy domek. Piktogram jest prosty, składa się tylko z kilku kresek. Ale tyle wystarczy, by ułożyły się w idylliczny domek otoczony sztachetowym płotem. Pod domkiem wyryte zostały jakieś litery, ale nie potrafię ich odczytać. Zauważam tylko pierwszą. To „O”. Reszta jest zupełnie starta.

Przesuwam palcem po ekranie telefonu i szukam w nim aplikacji Obiektyw Google. Korzystałam z niej wielokrotnie. Obiektyw porównuje obiekty na zdjęciu z innymi obrazami. Kiedy to robi, pozycjonuje je na podstawie ich trafności i podobieństwa do przedmiotów na oryginalnym zdjęciu, aby znaleźć w internecie możliwie jak najbardziej zbliżone wyniki. Robię więc zdjęcie i przepuszczam je przez aplikację. Ku mojemu zaskoczeniu, w ciągu paru sekund w wyszukiwarce pojawia się kilkanaście wyników. Pierwszym z nich jest zdjęcie przedstawiające olbrzymi baner zawieszony nad bramą wjazdową na zamknięte osiedle. Klikam w zdjęcie, a następnie je powiększam.

– Ostoya – odczytuję głośno z banera.

Piktogram naniesiony na baner jest zgodny z tym wyrytym na klapce dołączonej do klucza. Ta sama czcionka, identyczne celowo niechlujnie naniesione na baner kreski.

W widocznej na zdjęciu otwartej bramie stoi mężczyzna w średnim wieku ubrany w elegancki garnitur. Obok niego, nad szeroką czerwoną wstęgą nachyla się młoda kobieta z upiętymi w kok włosami. W rękach trzyma

nożyczki, gotowa, by przeciąć wstęgę. Czytam wpis opublikowany pod zdjęciem datowanym na dwa tysiące trzeci rok.

Uroczyste otwarcie wyjątkowej inwestycji w Mechelinkach, oddalonej tylko o 20 minut od centrum Gdyni oraz z bezpośrednim widokiem na Zatokę Pucką.

Parterowe drewniane domki w stylu skandynawskim są idealną inwestycją przeznaczoną na krótkoterminowy najem. Mogą też pełnić funkcję domu całorocznego.

Zapraszamy do zapoznania się z naszą ofertą.

Kliknij po więcej szczegółów.

Zamiast kliknąć, przeglądam dalej. Pozostałe zdjęcia przedstawiają kolejnych zadowolonych właścicieli, ewentualnie wynajmujących domki turystów. Trudno mi to ocenić. Poza samym banerem na zdjęciach przewijają się kadry z organizowanych w ogródku imprez albo ujęcia przedstawiające niemal jednakowe minimalistycznie urządzone wnętrza domków. Na tym etapie nie potrzebuję niczego więcej poza dokładnym adresem. Bez problemu go odnajduję, bo w internecie aż roi się od oznaczeń Ostoi w social mediach.

Na razie na tym moja rola się kończy. Nie zamierzam pojawiać się w Mechelinkach sama. Ktoś skrupulatnie śledzi każdy mój ruch, ukierunkowując kolejne działania. To, co wydarzyło się teraz w tunelu, a także wczoraj w moim domu, dowodzi, że ta osoba, najprawdopodobniej wspólnik Anastazji, usiłuje mnie zastraszyć. Nie wiem jeszcze, czy na tym poprzestanie. Nie mam pojęcia, co może kryć się za drzwiami, które otwiera ten klucz. Jeśli wierzyć wcześniejszym zapowiedziom, to tam kończą się te chore podchody.

Ale co oznacza koniec? I czym w ogóle jest? Nie zamierzam więcej testować kolejnych takich szans. Nie zamierzam już dłużej mierzyć się z tym sama. Taki mam plan.

Rozdział 19

– Ale w żadnym razie nie powinna pani prowadzić samochodu – przestrzega chirurg, młody mężczyzna o ciemnej karnacji i śmiejących się oczach.

Zamiast na SOR pojechałam do prywatnego gabinetu mieszczącego się w centrum Gdyni. Tym razem specjalistę wybrałam na chybił trafił, za jedyne kryterium przyjmując to, że ma być dostępny od ręki.

– To byłoby bardzo nierozważne. Proszę się przez kilka kolejnych dni oszczędzać. I postarać się znów nie przewrócić – dodaje i czujnie na mnie zerka, jakby dobrze wiedział, że nie zamierzam zastosować się do jego zaleceń.

Pewnie zresztą podejrzewa, podobnie jak chirurg, który wczoraj się mną zajmował, że nie mówię mu prawdy. Że rana nie powstała wskutek wypadku, do jakiego doszło podczas prac porządkowych w ogrodzie. Ale jeśli tak jest, to nie drażny tematu. Ściąga z rąk lateksowe rękawiczki i wyrzuca je do kosza.

– Dziękuję – rzucam pospiesznie. Przykładam kartę do terminala, odbieram od niego nową receptę i wydruk potwierdzający przebieg leczenia, a następnie wychodzę.

Powietrze pachnie morską bryzą, wypełnia mi płuca. Między innymi za to kocham Gdynię – za poczucie pełnej synchronizacji z przyrodą, nawet w tym zatłoczonym o tej porze centrum miasta. Morska bryza zawsze wygrywa tu ze smogiem, a anonimowość z familiarnością.

Konsekwencją mojego upadku jest teraz nieprzyjemne sztywnienie obu nóg i nasilająca się słabość. Kolejne zastrzyki i leki, które przed chwilą przyjąłam, znieczuliły uraz, a mnie wprowadziły w stan lekkiego otępienia. Ale ostatnią rzeczą, o której teraz myślę, jest powrót do domu. Najpewniej i tak nie czułabym się tam bezpiecznie.

Wsiadam do zaparkowanego na poboczu samochodu i ruszam. Aby wydostać się z centrum, muszę włączyć się w jednokierunkową ulicę Świętojańską. Im bliżej jestem skrzyżowania, tym więcej mija mnie

przechodniów. Niesieni radosną, wyczuwalną zewsząd energią, zdają się nie zauważać niczego poza sobą. Wiele twarzy pomalowanych jest na biało-błękitno. Część ludzi niesie flagi w tych samych kolorach nieba i morza, tak symbolicznych dla Gdyni. Inni ubrani są casualowo, ale udziela im się ten sam pogodny nastrój. Kiedy z oddali dobiegają mnie rytmiczne uderzenia bębna, przypominam sobie, że dziś przypadają obchody święta miasta. A to oznacza, że przechodzący przez centrum pochód zablokował zapewne ulicę Świętojańską. Postanawiam jednak spróbować. Po cichu liczę, że może ulica będzie już otwarta.

Sto metrów dalej, na wyjeździe ze Żwirki i Wigury, okazuje się, że był to cholernie nietrafiony pomysł. Na końcu ulicy ustawiono zakaz wjazdu. Docieram tam w kulminacyjnym momencie parady, która właśnie kieruje się na nieodległy plac Grunwaldzki. Tam odbędzie się kończący obchody koncert. To także doroczna gdyńska tradycja.

Przejazd kolorowej bogato udekorowanej platformy poprzedza przemarsz orkiestry i pochód mażorettek. Co roku wcielają się w nie aktorki gdyńskiego Teatru Muzycznego. Wrzucam wsteczny, chcąc się wycofać, ale coś nagle przykuwa moją uwagę. Znajome rysy, smukła sylwetka. Młoda kobieta, na którą patrzę, idzie na przedzie ubrana w charakterystyczny kostium, prezentując taneczno-marszową choreografię. Rozpoznaję ją po ruchach, po specyficznej mimice, po wielkich oczach, w których zawsze malowało się zdziwienie. Widziałam je setki razy, choć bardzo dawno temu. Ale pobudzona wspomnieniem pamięć zawsze szybko wraca. Wróciła więc i teraz.

Anastazja zawsze miała szczególną minę, kiedy skupiała się na jakimś ważnym zadaniu. Nie mam pojęcia, co ona tutaj robi. Bo to ona, to na pewno ona. A przede wszystkim nie potrafię zrozumieć, dlaczego wygląda na kilkanaście lat młodszą, niż jest.

Parkuję samochód w niedozwolonym miejscu pod sklepową witryną i szybko wysiadam. Wszystko jedno, czy straż miejska wlepi mi mandat. To, co właśnie zobaczyłam, jest tak nieprawdopodobne, że nie zaprzęgam sobie głowy innymi myślami. Nawet tym, jak uda mi się nadażyć za tłumem na tych chorych nogach. Muszę się do niej przedostać. Tylko taki mam cel.

Na szczęście korowód nie przemieszcza się zbyt szybko. Za platformą z ustawionymi na niej jedna na drugiej i spoglądającymi w przeciwnych kierunkach dwiema rybkami, jedzie czerwony, dwupoziomowy londyńczyk. Kiedy mnie mijają, dołączam do wiwatującego tłumu.

Zapach morskiej bryzy nagle gdzieś znika zastąpiony przez organiczną woń skóry, głębokiego tłuszczu i prażonych jabłek z ociekającym z nich karmelem. Nie chcę, by ktoś mnie popchnął, więc wchodzę na wąską, pustawą przestrzeń, oddaloną nieco od wszechobecnej wrzawy.

Kilka minut później docieramy na tryskający zadbaną zielenią skwer. Po jego drugiej stronie znajduje się ustrojona biało-niebieskimi kwiatami scena. Przeciskam się przez tłum ludzi powoli zajmujących miejsca przy barierkach. Anastazja, jeśli to faktycznie ona, już dawno zniknęła mi z pola widzenia.

Jeszcze tylko kilka rzędów i będę miała widok na mażoretki. Usadowieni w pierwszych rzędach ludzie, których potrącam, rzucają mi wściekle spojrzenia. Ale uparcie brnę naprzód. Znajduję w końcu wolne miejsce. Od razu ją zauważam. Stoi nieruchomo z białą pałeczką w ręku. Na głowie ma biało-niebieską furazerkę, a na nogach wysokie, sznurowane kozaki na obcasach. Cały strój ozdobiony jest połyskującymi w słońcu cekinami.

Na scenę wchodzi konferansjer i zapowiada koncert. Mażoretki odchodzą na bok. Ustawiają się za podestem. Dziewczyna, którą wciąż biorę za Anastazję, obraca się do mnie przodem. Dopiero teraz zauważam to genetyczne podobieństwo, które irracjonalnie mnie zwabiło.

Mała Gabrysia. Zawsze była bardzo podobna do siostry. Anastazja pokazywała mi wielokrotnie zdjęcia ze swojego wczesnego dzieciństwa, chępiąc się, że mała jest jej lustrzanym odbiciem. Faktycznie tak było, i tak zostało do teraz. To ją, a nie jej starszą siostrę mam teraz przed sobą. Jestem tego pewna.

– Mamuś, będę za godzinę, może dwie, a ty idź już do domu, dobrze? –

Gabrysia występuje z szeregu. Odchodzi na bok i zwraca się do stojącej w pierwszym rzędzie kobiety. Nie widzę jej twarzy, tylko wyciągniętą w stronę dziewczyny rękę.

– Chodź ze mną – odzywa się ukryty między widzami głos. Poznaję jego charakterystyczną, ciemną barwę. Z całą pewnością należy do Lidii Seretny. Ale jest jakiś głuchy. Ledwo słyszalny.

– Nie mogę. – Przez twarz Gabrysi przebiega cień. – Nic mi nie będzie, mamuś. – Mówi to jakoś tak, jakby zwracała się do małego, niewiele rozumiejącego dziecka.

Przesunąwszy się nieco bliżej, o metr albo dwa, zauważam, że Lidia Seretny w niczym nie przypomina dawnej siebie. Ma sztywne jak druty,

poprzetykane nitkami siwizny włosy, sterczące na wszystkie strony. Są w zupełnym nieładzie. Jest wychudzona, zapadnięte policzki powleka warstwa niezdrowej szarości. Pamiętam ją zupełnie inną, pełną życia, wręcz kwitnącą. Ale to było wiele lat temu, zanim Nastka została oskarżona, a życie tej kobiety zamieniło się w koszmar. Za co w znacznym stopniu odpowiadali jej sąsiedzi.

– Dobrze, ale wracaj potem. Wracaj szybko – nalega.

Gabrysia nie odpowiada. Rozgląda się wokół wyraźnie zawstydzona. Na końcu ściska dłoń matki i powoli odchodzi. Ustawia się w równym rzędzie. Raz po raz zerka jeszcze na nią.

Gdy kilka chwil później na scenie pojawia się Mela Koteluk z zespołem, część zebranych przy barierkach widzów się rozchodzi. Pośród nich jest także Gabrysia. Dziewczyny przechodzą na drugą stronę skwerku bezpośrednio pod scenę. Lidia Seretny przez chwilę nie wie, co ze sobą począć. Takie odnoszę wrażenie. Kręci się w miejscu, a potem odchodzi w przeciwną stronę. Zatrzymuje się kilkadziesiąt metrów dalej, pod wiatą przystanku trolejbusowego. Podążam za nią.

– Dzień dobry. Byłam pani sąsiadką. – To nie jest najlepsze rozpoczęcie rozmowy, biorąc pod uwagę, że jej wspomnienia związane z dawnymi sąsiadami są złe. Ale w tej chwili do głosu dochodzą nerwy. Tylko to potrafiłam z siebie wydusić.

Lidia Seretny podnosi na mnie wzrok. Jest zamglony, jakby nieostry. Nie zatrzymuje go na mnie dłużej. Nie mam wątpliwości, że matka Anastazji jest na jakichś silnych prochach.

– Nie poznaję – mówi, ale wcale mi się nie przygląda. – Skąd się znamy? – pyta i skubie rękaw swetra, zbyt grubego jak na tę porę roku.

– Julia. Przyjaźniłam się z Nastką, pani córką.

Kobieta robi krok do tyłu i zakrywa twarz dłońmi, jakby chroniła głowę przed ciosem. Nie wiem, co wywołało zmianę w jej zachowaniu – to, że się jej przedstawiłam czy wypowiedziane na głos imię starszej córki.

– Wszystko w porządku? – pytam, zachowując bezpieczny dystans. Nie chcę jeszcze bardziej jej wystraszyć.

– Nie chcę o niej mówić. Proszę odejść – odpowiada stanowczo.

– Chcę spytać tylko o jedno. To ważne. Bardzo ważne – podkreślam.

Matka Nastki milczy. Biorę to za przyzwolenie, więc pytam.

– Czy widziała się pani z nią ostatnio? Wróciła do Trójmiasta? Wiem, że niedawno ją zwolniono.

– A po co ci to? Po co ci jeszcze ona? Ona nikomu nie jest już potrzebna.

Jej pytanie zbija mnie z tropu.

– Po prostu jej szukam – mówię wymijająco.

– Opuściłaś ją dawno temu. Nie potrzebowałaś jej wtedy, to nie szukaj jej teraz.

– Ja naprawdę muszę odnaleźć pani córkę – odpowiadam. – Jeśli wie pani, gdzie mogę ją znaleźć, to...

– Ja nie mam już tamtej córki – wchodzi mi w słowo Lidia Seretny. – Wiedziała, że nie ma tu po co wracać. Niepotrzebnie wracała – mamrocze.

Ma zaciśnięte oczy. Na jej policzkach pojawiają się łzy. Nie ociera ich. Pozwala im spłynąć.

– Kiedy wróciła? – pytam łagodniej.

Lidia Seretny otwiera usta przeciągnięte niedbale różową pomadką, ale jej słowa pochłania wjeżdżający do zatoczki trolejbus. Drzwi się otwierają, a ona po chwili wsiada. Potem się odwraca.

– Nie rozumiem – wołam za nią.

– Za późno. O wiele lat za późno – słyszę, nim drzwi trolejbusu się za nią zamkną.

Rozdział 20

Czerwiec 2006

Nastka nie mogła sobie poradzić z tym uczuciem. Było jej zupełnie obce. Owszem, wiedziała, co to nienawiść, znała każdą jej odsłonę, każdy jej odcień. Ale zwykle odczuwała ją w stosunku do tych, którzy notorycznie ją krzywdzili. Nigdy, aż do teraz, nie zrobiła tego jej najlepsza przyjaciółka.

Nastka w końcu zrozumiała, że Julka kilka godzin temu pozbyła się jej jak niepotrzebnego śmiecia. Dlatego w jej ciele nastąpiły nagłe i nieodwracalne zmiany. Symptomy przemiany. Po raz pierwszy w życiu poczuła napierające na skórę mięśnie. Bolały tak, jakby chciały się przez nią przebić. Złość i chęć zemsty były tak silne, że dziewczynka zaczęła się bać. Co będzie, jeśli faktycznie się rozpadnie, a wszystkie mięśnie będzie miała na wierzchu? Była pewna, że gdyby tylko Julka odszczekała swoje słowa, ona by jej wybaczyła. Wybaczyłaby, bo bez niej czuła się niekompletna. Niezdolna do samodzielnej egzystencji.

Nastka przeszła przez korytarz. Rozglądała się, szukając rodziców, ale nikogo nie było w zasięgu jej wzroku. Pewnie układali jeszcze drwa w drewnitni. Taką wersję przyjęła. Za swój cel obrała więc najlepiej wygłuszone i najbardziej zaciszne pomieszczenie w całym domu. Była nim niewielka garderoba rodziców. Uchyliła drzwi, weszła do środka i zanurzyła się w panującej tam ciemności. W usta wetknęła rękaw jakiejś wizytowej koszuli matki. Było jej wszystko jedno, w co wykrzyczy swoją złość. W tamtej chwili była na granicy wytrzymałości. Mięśnie niewyobrażalnie ją piekły. Piekły i kłuły. To samo działo się w jej głowie. Dziesiątki cienkich igieł raniło ją od środka.

Zacisnęła dłonie w pięści tak mocno, że poczuła odpływającą z nich krew. Wtedy zawyła głośno i przeraźliwie. Ryk wydobywający się z jej ust był częściowo stłumiony przez jedwabny materiał, choć nie tak bardzo, jak by tego oczekiwała. Najgłośniejsze były wprawione w ruch pięści i nogi. Biła nimi o ścianę bez opamiętania. Tłukła i wierzgała na oślep, tak mocno, jakby

od siły, jaką w to wkładała, zależało jej uwolnienie się z tej ciemności. Jedno z takich uderzeń musiało pozostawić widoczne wgniecenie przy listwie, bo na chwilę ugrzązł tam czubek jej buta. Ale Nastce było wszystko jedno. Wyszła z garderoby, nie próbując tego zamaskować. Mięśnie bolały ją już trochę mniej, wtłoczona w ściany nienawiść też częściowo zelżała. Kiedy wracała do swojego pokoju, jej uwagę przykuł znajomy dźwięk. Był nim szcęk wprawianych w ruch zawiasów. Podeszła do uchylonego okna na korytarzu i wyjrzała przez nie. Na terenie ich posesji, na ścieżce opodal ganku, stała Julia ze swoją matką. Nastka popchnęła okienne skrzydło, by móc lepiej słyszeć. Potem przykucnęła, z trzepoczącym w piersi sercem. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Po cichu liczyła na pojednanie.

– Lidka, to nie ma znaczenia, że przyjaźnią się od lat. Nie chodzi o żadną błahą kłótnię. Nie udawaj, że nie zauważyłaś... – Głos należał do matki jej przyjaciółki. Był najeżony kolcami.

– Co ty za bzdury opowiadasz? Ona dojrzeła – odpowiedziała jej własna matka głosem łagodnym i pobłażliwym. – Każde dziecko się wtedy zmienia. Szuka swojej tożsamości. Eksperymentuje. A potem z niektórych zachowań wyrasta... To normalne... – To ostatnie zdanie miało w sobie jakąś fałszywą nutę.

Ktoś westchnął ciężko. Skulona pod parapetem Nastka nie mogła być pewna, kto to był.

– Nie, to nie jest normalne. – Głos matki Julii był stanowczy. – Bo żadne dziecko nie prowadzi bloga, w którym zapowiada anihilację swoich szkolnych kolegów. Żadne!

Nastka wiedziała, że powinna pozostać w ukryciu, ale mięśnie znów boleśnie ją zapiekły, a dłonie same zacisnęły się w pięści. Powoli podniosła się z podłogi i wślizgnęła za okalającą okno kotarę. Podglądała jednak i podsłuchiwała nadal.

– O czym ty mówisz? – Nastka zauważyła, że jej matka stoi w pobliżu drewnutni. Jej twarz stężała. Nastka widziała też, że odkłada na stół polana, które dotychczas trzymała w rękach. Otrzeпаła dłonie.

– Nastka grozi ośmiorgu dzieciakom z ich szkoły i nie tylko, rozgłasza to wszem wobec. Chociaż podobno nie ona ma to zrobić, nie ona ma wymierzyć jakąś swoją sprawiedliwość.

– Skoro nie ona, to dlaczego znów się jej czepiasz? – Głos matki był zniecierpliwiony. Nastka czuła, że ma w niej sojusznika.

– Pisze o jakiejś marze, z którą jest podobno związana... To znaczy krwią i duszą... Mara, czyli Pomornica, ma odebrać komuś życie. Już nawet tego kogoś wybrała... – Tym razem głos należał do Julii. Była zawstydzona i zdenerwowana. Słowa jej się plątały.

Matka Nastki nie przestawała się otrzępywać, mimo że na jej ubraniu nie było już śladu trocin.

– Dziewczynki w tym wieku mają bujną wyobraźnię – odezwała się, nie podnosząc wzroku. – Nastka zawsze ją miała.

– Zaprowadź mnie do niej, to ci pokażę – zakomenderowała matka Julii. – Twój brat też chorował – wtrąciła niby od niechcenia. – Też chorował, zanim sprawy zaszły za daleko... Zanim zrobił sobie krzywdę.

– A co Eryk ma z tym wspólnego, do cholery? Nie mieszaj go do tego! – zażądała matka Nastki. Dopiero teraz podniosła wzrok na Annę Wysocką. Z jej oczu sypały się iskry.

Nastka, choć teraz zeszytywniała ze strachu, była już na taką okoliczność przygotowana. Dwa kliknięcia dzieliły ją od skasowania najbardziej kompromitujących wpisów. Jej komputer wciąż był uruchomiony, widziała go przez otwarte drzwi swojego pokoju. Nie czekając na dalszy przebieg rozmowy, dziewczynka minęła korytarz i wpadła do środka. Wybudziła ekran z uśpienia i szybko pozbyła się dwóch ostatnich wpisów, tych, które mogłyby sugerować, że faktycznie zamierza skrzywdzić Filipa Kalinowskiego. Na koniec zamknęła okno i się wylogowała. Zrobiła to, ale wcale nie czuła się niezwykła. Szkło znów wwiercało się jej w głowę. Ból nasilił się wraz z nadejściem trzech osób, tych samych, które chwilę wcześniej widziała na ganku. Teraz stały w jej pokoju, osaczały ją.

Julia była wyraźnie przestraszona. Z podkrążonymi oczami i tym nienaturalnym wykwitającym na jej policzkach rumieńcem, wyglądała na słabą i chorą, trawioną gorączką. Brwi jej matki były zmarszczone, a ona zagniewana wpatrywała się w Nastkę.

– Kochanie, jakie wpisy dodawałaś ostatnio na swoim blogu? – zapytała jej własna matka. Położyła dłoń na ramieniu córki. Poklepała ją lekko.

– Żadnych – odpowiedziała Nastka bez skrępowania. – Miałam dużo dodatkowych zajęć w szkole. Od dwóch tygodni nie dodawałam niczego.

– Ale Julka podobno twierdzi, że...

– Julka mści się, bo nie chce się z nią już dłużej przyjaźnić – weszła matce w słowo. – Jest nudna. I kłamliwa. Zamiast kłamać, niech lepiej znajdzie sobie innych przyjaciół i da mi spokój. Niech się wreszcie ode mnie odczepi. –

Nastka przeniosła wzrok z matki na przyjaciółkę. Kłamstwo gładko wyslizgnęło się z jej ust.

– Pokaż nam, proszę, i wszyscy będziemy to mieć z głowy, dobrze? – poprosiła ją Lidia Seretny.

Nastka kiwnęła głową i posłusznie uruchomiła komputer. Kiedy po kilku minutach na monitorze wyświetliły się wpisy na jej blogu, obie kobiety skupiły na nich swoją uwagę. Nastka bezgłośnie wyszeptała wtedy do zerkającej na nią ukradkiem Julii:

– Pożałujesz tego.

Dziewczynka stała od niej w odległości najwyżej metra i przyjęła postawę defensywną. Ramiona skrzyżowała na piersiach, a czubek jej buta wwierał się w wełniany dywan.

Nastka nie była pewna, czy Julia właściwie odebrała jej słowa, bo nadal stała niespokojna i rozgorączkowana, ale nie bardziej niż wcześniej.

– Nastka mówi prawdę. – Lidia Seretny klasnęła w ręce, poprawiając zsuwające się jej z nosa okulary. – Ostatni wpis dodała piętnaście dni temu. Nie wynika z niego, by miała zamiar kogokolwiek skrzywdzić.

– A czym są według ciebie te upiorne wersy? – prychnęła Anna Wysocka, wskazując na jedną z linijek tekstu.

– Nie ma tu żadnych nazwisk – upierała się Lidia Seretny. – Żadnych rzeczywistych odniesień. Tylko fantazja. Edgar Allan Poe też pisał takie wierszowane mroczne historie. Nie on jedyny...

– Nie porównuj jej do świadomego swoich słów poety – zaprotestowała głośno mama Julii, ale Nastka wyczuła, że spuściła już nieco z tonu. Brakowało jej argumentów i dowodów, którymi mogłaby się podeprzeć.

– Usunęła wpisy – odezwała się cicho Julia, ale jej głos tym razem nie zdrzał. Dziewczynka nie odrywała wzroku od przyjaciółki. – Jeszcze przed chwilą tutaj były. Wiem przecież, co Nastka mi mówiła...

– Jeśli to już wszystko, to wyjdźcie, proszę. – Lidia Seretny wskazała ręką drzwi. – Ja i moja córka nie mamy wam już nic do powiedzenia.

- Ja tak tego nie zostawię, Lidka.
- Niby czego? – odezwała się lekceważąco matka Nastki.
- Jeśli ty nie zaprowadzisz jej do psychiatry, to ja to gdzieś zgłoszę.

Tym razem Lidia Seretny nie odpowiedziała. Nadal wskazywała otwarte na oścież drzwi. Chwilę później Julia i jej matka zniknęły w ogrodzie pochłonięte przez zapadający powoli zmierzch.

– Czy chcesz mi coś powiedzieć, kochanie? – Lidia Seretny przykucnęła przy córce. Znów pogładziła ją po ramieniu.

– Nie, mamu. Po prostu nie chcę już się z nią spotykać. – Nastka wyduła z niesmakiem usta. – Zrobisz mi gorącej czekolady? – szepnęła prosząco.

– Ale powiedziałybyś mi, gdyby działo się coś złego, prawda? – Lidia Seretny delikatnie zachęciła córkę.

– Jasne, mamuś. Mówimy sobie wszystko. – Nastka przyłożyła palec wskazujący do ust. To był symbol, który przywoływały zawsze, kiedy nawiązywały do paktu prawdomówności. Zawarły go już jakiś czas temu.

– Dobrze. A więc gorąca czekolada!

Lidia Seretny złożyła pocałunek na czole córki i wyszła.

Po tej konfrontacji w domu Nastki każdy w ciszy wrócił do swoich zwykłych zajęć, bez niepotrzebnego roztrząsania całej sytuacji. Bez niepotrzebnych emocji. Zawsze tak tutaj było. Na biurku Nastki wnet pojawiła się parująca mleczna czekolada z zanurzonymi w niej piankami. Od wyjścia Julii i jej matki minęły dwa kwadransy, a może godzina. Trudno było to Nastce ocenić, bo czas płynął dla niej teraz nieco inaczej.

Dziewczynka nie lubiła, kiedy dotyk matki kleił się do jej skóry. Starła go więc mokrą chusteczką. Potem przemyła ramię pod strumieniem ciepłej wody, gąbką wyszorowała czoło. Tak dla pewności. Przekroczenie bariery fizycznej bliskości zawsze wywoływało w niej wstręt. I w gruncie rzeczy nie było ważne, kto okazywał jej czułość. To samo dotyczyło bliskości emocjonalnej. Nastka dobrze czuła się w towarzystwie tylko dwóch bytów. Jeden był żywy, namacalny i czysto fizyczny. Była nim jej przyjaciółka Julia. Mała, zdradziecka zdzira. Właśnie tak Nastka myślała o niej od kilku godzin. Ale Nastka zawsze tak miała, balansowała między ekstremami. W mgnieniu oka

potrafiła znaleźć się na dwóch całkowicie przeciwstawnych biegunach: miłość – nienawiść, śmiech – płacz, radość – rozpacz. Dobrze to знаła.

Drugi z jej ulubionych bytów dla innych był niewidoczny. Tylko ona miała do niego dostęp. Bywał czarny albo półprzezroczysty, bez stałej masy i formy. Zawsze widziała go tylko w tym samym szpetnym odzieniu. Oczy Pomornicy nie miały białek ani rzęs. Nigdy nie mrugały, pozostawały wiecznie czujne. Były tylko czarnymi wypukłymi kulami w jej głęboko osadzonych oczodołach. Korpus mary ukryty był pod kolejnymi warstwami zlepionymi z jakiejś organicznej, lepkiej materii. Potwornie cuchnęła zgnilizną. Wieloletnim rozkładem. Nastka wsunęła w nią kiedyś swoją dłoń. Spoufalila się, owszem, ale w końcu łączył je pewien rodzaj symbiozy i współzależności, więc czuła, że mogła to zrobić. Kiedy wycofywała rękę, ta zawsze pozostawała czysta. Zupełnie nietknięta. Ale po każdym takim scaleniu z Pomornicą coś się w Nastce przeobrażało. Czuła się nakarmiona, bardziej kompletna. Stała się wówczas świadoma tego, że aby utrzymać tę wymianę, musi stać się jej stałym, aktywnym uczestnikiem. Jej rola obligowała ją do składania kolejnych ofiar. Ofiar z ciała i krwi. Zaczęła dość niepozornie, ale teraz miała ochotę na więcej. Jej skarbczyk nienawiści pękał w szwach. Chciała go nareszcie opróżnić.

W zdecydowanej większości przypadków Nastka lubiła ignorancję swojej matki. Jej ufność i zupełny brak krytycyzmu dawały jej przestrzeń, której potrzebowała, by w ukryciu realizować swoje fantazje. By kształtować swoją własną rzeczywistość. Matki przecież takie są – chronią. Jako jej córka powinna być z tego wyłącznie dumna. Ale czasami Nastka chciała, by matka zajrzała do kieszeni wszytej od środka jej spodni. Dziewczynka trzymała tam poprzetykane igłami fragmenty nienawistnych wierszyków. Nie przeszkadzało jej to, że igły czasami kłuły ją w uda. Robiła to celowo. Lubiła ból, lubiła go zadawać i doświadczać, jedno i drugie upodobała sobie w jednakowych proporcjach. Czasem chciała też, by mama dokładnie przejrzała zawartość płyty głównej jej komputera. Albo by zalogowała się na jej kanał na YouTube, z którego wyczytałaby, że Nastka karmi się bólem i cierpieniem. Karmi się, bo sama głównie z tego się składa. I nie wie, że można inaczej. Że można inaczej być i inaczej postrzegać rzeczywistość. Nigdy nie widziała jej w taki sposób, w jaki widzą ją inni.

Nastka westchnęła i podeszła do zawieszzonego w szafie kostiumu Pomornicy. Pogładziła go delikatnie dłonią. Ważył niemalże tyle samo co ona. Do uszycia go użyła ciężkiego welurowego materiału wzmocnionego

metalowym stelażem. Szyła długimi nocami, kiedy wszyscy domownicy dawno już spali. Zawsze wtedy czuła się trochę bliżej swojej duchowej przewodniczki. Pomornica nią była, a Nastka czuła się wyróżniona. Była przez nią wybrana, jedna na milion. W zeszłym tygodniu, pod koniec szycia, dziewczynka naniosiła na pelerynę imiona tych, których nienawidziła najbardziej. Obok imion domalowała też daty. Odnosiły się do kolejnych chwil upokorzeń, których doznawała od rówieśników. Użyła do tego celu widocznego tylko w świetle UV flamastra.

Nastka przyłożyła palec do ust. To była ich kolejna tajemnica. Jej i Pomornicy.

Drzwi cicho skrzypnęły, wytrącając ją z tego przyjemnego stanu, który objawiał się lekkim łaskotaniem w okolicy klatki piersiowej. W wejściu do pokoju stanęła jej siostrzyczka z butelką mleka w ręku. Gabrysia była jej bytem numer trzy. Jej dotyk też tolerowała. Czasami, kiedy doświadczała tych dość rzadkich chwil czułości, potrafiła się nawet nią odwzajemniać.

– Co tu robisz? Dawno powinnaś już spać – odezwała się do siostry łagodnie. Zdziwiła się, że znów tak potrafi.

Wyrwana ze snu mała potarła piąstką powieki, odłożyła butelkę na podłogę i wyciągnęła do siostry rączki.

– Tuli, tuli – domagała się.

Gabrysia prosiła o to również w środku nocy. Z jakiegoś powodu nie przychodziła do mamy, tylko do niej. A Nastka nigdy jej nie odmawiała, nieważne jak bardzo była zajęta albo senna. I tym razem wzięła siostrę na rękę, podniosła butelkę i przeszła do dziecięcego pokoju po drugiej stronie korytarza.

– Bajeczkę. Chcę bajeczkę – zażądała dziewczynka poważnym tonem, kiedy Nastka położyła ją do łóżeczka. Swoim kształtem przypominało liść lilii wodnej. Nastka położyła się obok siostry i objęła ją ramieniem. I nawet się przy tym nie wzdrygnęła. Sprawilo jej to autentyczną przyjemność. W dłoń wsunęła dziecku butelkę. Mała od razu przyłożyła ją do ust i przechyliła. Pociągnęła z niej kilka łapczywych łyków.

– Była sobie dziewczynka – zaczęła Nastka. – Mieszkała w małym, kwadratowym domu ze spadzistym dachem. A dachówki wyglądały i smakowały jak kostki czekolady.

– Białej? – wtrąciła mała, cmokając. Wypuściła butelkę z ust.

– Białej, mlecznej i gorzkiej – odpowiedziała Nastka. – Także nadziewanej. Każdej. Były tam wszystkie smaki.

– Miała pieska? – dopytywała się siostrzyczka. – Ta dziewczynka. – W kręcone włosy wplotła paluszek i nawinęła na niego kędzierzawy kosmyk.

– Miała, nawet dwa. Rudego i czarnego. Chodzili razem na spacer po plaży. I któregoś dnia spotkała tam chłopca.

– Jak miał na imię? – wtrąciła znów mała, ziewając przeciągle.

– Jeszcze tego nie wiedziała. Siedział na kamieniu i patrzył na nią tak, jakby zawsze tam na nią czekał. Podszedł do niej i oboje wiedzieli, że odtąd wszystko się zmieni. Już na zawsze...

Tym razem Nastce odpowiedziało tylko ciche posapywanie. Oddech Gabrysi stał się bardziej miarowy. Nastka uniosła głowę znad poduszki. Jej siostra odpłynęła na dobre, więc najpierw ściszyła głos, a potem zupełnie umilkła.

Ostrożnie podniosła się z łóżka i szczelnie okryła Gabrysię kołdrą. Pod pachę wsunęła jej ulubionego misia w błękitnej koszulce w paski. Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi i wróciła do swojego pokoju.

Wreszcie była sama. Znała panujące w tym domu rytuały. Wiedziała, że rodzice w piątkowy wieczór zajęci sobą i ulubionym reality show nie opuszczą salonu przez kolejne trzy godziny. To było jej na rękę.

Zwabiona dźwiękiem uruchomionego silnika, podeszła do okna. Schowała się za zasłoną. Ze swojej kryjówki zauważyła, że z podjazdu sąsiadów granatowym SUV-em odjeżdżają rodzice Julki. Dostrzegła ich za przednią szybą. Z tego, co pamiętała, mieli gdzieś wyjechać na weekend. Pod ich nieobecność Janek planował zorganizować imprezę. Zawsze to robił. A oni nigdy na to nie wpadli. Albo udawali. Energicznym ruchem zasunęła zasłony. Nie chciała patrzeć dłużej w tamtą stronę. Wołała zaszyć się tylko w swoim świecie.

Spod łóżka wyciągnęła niewielkie pudełko z wydrążonymi w nim w poziomej linii dziurkami. W środku coś się poruszało i cichutko popiskiwało. Kiedy wparowała tutaj Julia i jej matka, Nastka nie martwiła się o wpisy na blogu, tylko o tę właśnie popiskującą zawartość pudełka. Tego zdemaskowania bała się znacznie bardziej. Ale teraz strząsnęła z siebie tamtą myśl. Doszła do wniosku, że nie ma sensu do tego wracać.

Podeszła z pudełkiem do mieszczącego się na długiej ławie terrarium. Zajmowało niemal połowę ściany. Zig-Zag, bo tak nazywał się jej wzorzysty wąż, którego w zeszłym roku zażyczyła sobie na urodziny, wylegiwał się na włóknach kokosowych. Poza basenem, kryjówkami i gałęzią, po której mógł pełzać, to było jego ulubione miejsce. Nie był głodny, ale Nastka wiedziała, że tym przysmakom wąż się nie oprze. A ona lubiła przyglądać się rytuałowi, który miała znów zainicjować.

Ostrożnie usunęła pokrywę z pudełka. W środku znajdowało się pięć kilkudniowych osesków myszy, nadal żywych. Były łyse i całe różowe. Jeszcze nie otworzyły oczu, ale miały w pełni wykształcone zgrabne główki, łapki i zakończony małym ogonkiem tułów. Nastka przesunęła po nim palcem. Wyczuła kręgosłup i pompujące krew serduszko. Życie biło w nim mocno, odważnie. Dopiero co się zaczynało.

Jej matka kupowała dla Zig-Zaga mrożone oseski, twierdząc, że podawanie mu żywych myszek jest niehumanitarne. Nastka nienawidziła tych bzdetów. Tak określała tłumaczenia matki, do czego nigdy się jej zresztą nie przyznała. Jakiś czas temu wzięła sprawy w swoje ręce. Udało jej się nawiązać kontakt z mieszkającym dwie dzielnice dalej chłopakiem. Zajmował się rozrodem myszek, a ona kupowała je od niego raz na kilka tygodni za jakieś śmieszne pieniądze.

Wzięła jednego oseska między dwa palce. Przełożyła go ponad szklaną szybą. Już z tamtego punktu poczuła, że panująca w terrarium temperatura była znacznie wyższa niż w jej pokoju, wynosiła ponad trzydzieści stopni. W tych warunkach Zig-Zag czuł się najlepiej. Nastka nigdy nie wsadzała ręki do środka. Upuszczała oseski z pewnej wysokości. Spadały na kokosową wyściółkę z głuchym plaśnięciem. Wystarczył tylko moment, by ospały Zig-Zag się zorientował. Nastka lubiła obserwować ten moment przejścia. Moment odbieranego życia. Parę razy sama to już zrobiła.

Najbardziej lubiła zajmować się tym zimą, w skutym lodem ogrodzie. Sięgała wtedy do ukrytej w taborecie skrytki. Tam przechowywała swój bushcraftowy nóż. Chowala się w najodleglejszym punkcie ogrodu, w zimozielonych, gęstych krzakach. Sadzała takiego mysiego noworodka na kawałku drewna i patrzyła, jak przesuwa się po nim nóż, najpierw tylko delikatnie znaczył swoją linię. Drażnił się z małym ciałem. Potem wbijał się w nie zdecydowanie, szybko i głęboko.

Czasem Nastka zastanawiała się, dlaczego robiła to akurat tam. Dlaczego to konkretne miejsce i tę porę upodobała sobie najbardziej. Odpowiedź przyszła do niej sama. Wydobywająca się znad martwego oseska para miała dla niej znamiona czegoś mistycznego. Abstrakcyjna w jej odczuciu śmierć przybierała fizyczny wymiar. Nastka siadała wtedy na oszronionej trawie ze skrzyżowanymi nogami i tkwiła tak nieruchomo z truchłem w dłoni, dopóki cała para się nie ulotniła. Dopóki całe ciepło nie znikło, nie wsiąknęło w tamten ziąb. Dopóki nie mogła go zakopać głęboko w ziemi.

Tak było kiedyś, zeszłej zimy, kiedy Pomornicy wystarczyły te amatorskie próby. Teraz Nastka wiedziała, że czas pójść o krok dalej... Wiedziała i była gotowa.

Jej myśli rozproszyła rozgrywająca się w terrarium scena. Kolejna myszka zniknęła właśnie w gardzieli Zig-Zaga. Oczy dziewczyny błyszczały, na bladych zwykle policzkach pojawiły się rumieńce. Nastka zrzuciła z siebie niedawno włożoną bluzę i dalej obserwowała. Obserwowała z przejęciem, czując rozlewające się w jej środku ciepło. Tym razem maluch w ogóle się nie opierał. Nie pozostawił po sobie absolutnie żadnego śladu. Po prostu zniknął, a jego miejsce zajął kolejny wijący się w agonii osesek.

Znikały wszystkie w tej rozwartej gardzieli jeden po drugim. Znikały, a pudełko wkrótce było puste.

Rozdział 21

Maj 2022

Nie zamierzam więcej robić niczego, co naraziłoby mnie na fizyczne niebezpieczeństwo. Nie chcę jednak pozostawić wszystkiego wyłącznie w rękach śledczych. To, na co się nastawiam, ma szansę odbyć się pod policyjną eskortą. O ile mój plan wypali.

Droga do Mechelinek, niewielkiej, ale atrakcyjnej turystycznie rybackiej wioski, prowadzi mnie najpierw przez zapuszczone obrzeża Gdyni, a potem przez rozrastające się i coraz bardziej zurbanizowane Kosakowo. Na końcu mijam niewielkie Mosty i za zakrętem zauważam rysującą się w oddali iglicę kościoła. To tutejszy znak rozpoznawczy. Od Mechelinek dzieli mnie mniej więcej dwieście metrów.

Już wiem, czego mogę się tutaj spodziewać. I bynajmniej nie jest to coś, co zapowiadały zdjęcia z tamtego uroczystego otwarcia Ostoi. Wybudowane przed dwudziestu laty osiedle urokliwie wyglądało tylko na pierwszych kilkunastu fotografiach. Im bardziej zagłębiałam się w jego historię i najnowsze informacje na jego temat, tym smutniejszą prawdę odkrywałam.

Sześć lat temu, po pierwszych problemach związanych z osiadaniem budynków i pękaniem ścian, a także zalewaniem piwnic, okazało się, że to celowa fuszerka dewelopera. Więcej zainwestował w skuteczny marketing niż w odpowiedni projekt. Podobno zanim ogłosił upadłość, zawalił wiele innych rzeczy, byle szybko opchnąć tę inwestycję i jeszcze jakąś nieruchomość. Nowi właściciele domków wytoczyli deweloperowi zbiorowy pozew, który ugrzązł gdzieś w niewydolnym systemie prawnym, jak zawsze zresztą w podobnych sytuacjach.

A co to wszystko oznacza dla Ostoi teraz? Z luksusowego minikurortu szybko przeistoczyła się w marny wilgotny motel, w który nikt już potem nie inwestował. Bo i po co, skoro przestał być atrakcyjny i bezpieczny dla turystów. Mogli przecież przebierać w bogatej ofercie hoteli i apartamentów. W rezultacie część budynków Ostoi zupełnie opustoszała. Tyle wyczytałam.

W realu osiedle wygląda lepiej, niż sobie wyobrażałam. Jest też znacznie większe, ogrodzone wysokim dwumetrowym płotem. Drewniana brama porośnięta bluszczem ma domofon, który najwidoczniej działa. W jego prawym narożniku miga czerwona diodka. Wysuwam klucz ze strunowego woreczka. Zwisa z niego drewniana klapka z wyrytą na niej dziewiątką. Na obu dłoniach mam lateksowe rękawice. Tym razem nie zamierzam popełnić żadnego błędu. Szybkie sprawdzenie wmontowanego w bramę zamka uświadamia mi jednak, że klucz nie będzie pasował. Jest zbyt duży i zbyt masywny. Widać to gołym okiem.

Chwytam za zamocowaną w drzwiach gałkę i ją przekręcam. Początkowo robię to delikatnie, potem wkładam w to więcej siły. Kiedy i to nie daje żadnego rezultatu, szarpie za nią. Gwałtownie i nachalnie. Ale drzwi nawet wtedy nie puszczają. Nie próbuję pchnąć ich nogą. Po moim urazie nie jest to możliwe. Sztachety w płocie nie wyglądają na wyszczerbione. Nie zauważam też żadnych ruchomych, przez które mogłabym spróbować się przedostać.

Gdy po drugiej stronie bramy słyszę czyjeś kroki, wstępuje we mnie nowa nadzieja. Kilka chwil później ktoś naciska klamkę i drzwi wreszcie się otwierają. W przejściu staje wysoki i przeraźliwie chudy chłopak o płaskiej twarzy, z której wybija się spiczasty nos. Małe, czarne, zupełnie niepasujące do reszty twarzy oczy wyglądają jak wciśnięte w nią rodzynki. Na głowę chłopak tyłem do przodu włożył baseballówkę. Jest cała biała, podobnie jak jego dres i ozdobione złotą lamówką adidas na grubej podeszwie.

– Rzadko ktoś tak się tu dobija. Serio nie może się pani doczekać, kiedy się wprowadzi? – Parska szyderczym śmiechem. Na jego zębach błyskają srebrne grillzy. Potem mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. – Czyli jednak ta laska się wyprowadziła? – Patrzy na moją dłoń, wskazując na klucz i przymocowaną do niego drewnianą klapkę z numerem. – No i testu białej rękawiczki też tu lepiej nie robić. Taka mała rada. – Kolejny raz wybucha tym wyjątkowo drażniącym śmiechem. W ustach zgrzytają mu ocierające się o siebie metalowe nakładki.

– Kto? Kto miał się wyprowadzić? – pytam.

– No jak kto? Dziewczyna spod dziewiątki.

– Dawno jej tu nie było?

– A czy ja wiem... – Chłopak wzrusza ramionami. – Dawno się nie kręciła. Może z tydzień. Ale ja nie robię tu za ciecia. No bo co mnie to?

– To twoja sąsiadka? – drązę, udając tylko niegroźnie ciekawską osobę. – Ta spod dziewiątki?

– Tutaj nie ma takich. Sąsiadka to za luksusowe słowo. Tutaj każdy albo jest na dzień, albo na dwa. Czasem dłużej, jak ja. Bo jest tanio. Są priorytety. Dla mnie nie jest nim lokum. – Ostentacyjnie podciąga rękawy bluzy, potem prostuje jej fałdy, odsłaniając przy tym popularne sportowe logo. Odnoszę dziwne wrażenie, że w ten sposób wskazuje mi te swoje priorytety. – A jeśli chodzi o innych, to zależy, ile komu potrzeba, żeby jakoś tam przebiedować. Albo się ubabrać w gównie. Upssss... – Chłopak przesłania dłonią usta. – Nie powinienem zniechęcać. Ale gównem to tu trochę faktycznie trąci.

Ignoruję jego słowa.

– Anastazja. Czy lokatorka spod dziewiątki tak ma na imię?

– No co pani. – Chłopak robi krok do tyłu. – Tu się nikt o takie rzeczy nie pyta.

– Ile może mieć lat?

– A bo ja wiem? To też nikogo nie obchodzi. A w ogóle po kiego grzyba to pani, hę? – Chłopak unosi czujnie brwi. Staje się przy tym jeszcze brzydszy i jeszcze bardziej antypatyczny, niż jest w rzeczywistości.

– Mam kilka rzeczy, które być może do niej należą. Do dziewczyny spod dziewiątki.

– Tiaaaa... – Mlaska głośno. – Jak ktoś nie umie w ściemy, to ze mną lepiej nie próbować. Wyczuwam je na kilometr. – Stuka się po spiczastym nosie. Wciąga głośno powietrze. – Ale... – urywa.

– Ale? – podchwytuję, widząc w tym jakąś pokrętną szansę.

W oczach chłopaka pojawia się cwaniacki błysk.

– Ale jak będę dalej taki miły i gadatliwy, to będę coś z tego miał?

– Ile chcesz?

Chłopak udaje, że się zastanawia. Przelicza coś na swoich długich, kościstych palcach.

– Ze dwie stówki i gitara.

– Mogę ci dać co najwyżej stówę.

– Za stówę to ja co najwyżej jedno pytanie obrócę i się zawijam.

– Dwa – mówię stanowczo.

Chłopak splata ze sobą dłonie i zaciska je z głośnym chrzęstem kości.

– Umie się targować – kwituje.

– To jak będzie?

– No niech stracę. – Wzdycha ostentacyjnie. – Stoi.

– Czy na terenie ośrodka jest zainstalowany działający monitoring? – pytam natychmiast.

Chłopak kolejny raz wybucha szyderczym śmiechem.

– A co chce pani tu robić? Bo chyba nie juchcić. Tu naprawdę nie ma czego juchcić.

– Tak czy nie?

– A teraz tak serio, myśli pani, że jak tu coś się spierdoli, ktoś to naprawia? Ogarniaj kuwetę sam. Albo wypad. Taka zasada tu przyświeca. Monitoring to może i był, ale na początku, jak tu jeszcze mieliśmy tak zwany luksusik. –

Chłopak obiema dłońmi znaczy w powietrzu znak cudzysłowu. – Nawet jeśli faktycznie zainstalowano kiedyś monitoring, to i tak go rozkradli, bo poza luźnymi przewodami nic już nie ma.

– W jakim wieku jest ta dziewczyna i jak w przybliżeniu wygląda?

– To razem trzy pytania. – Na twarz chłopaka znów wpłynął ten sam cwaniacki uśmiech. – To będzie kosztować więcej. Tym bardziej że te białe rękawiczki to chyba nie do sprzątanania, co nie? – mówi i jeszcze bardziej szczyrzy zęby.

Z torebki wyciągam dwa banknoty, o nominałach odpowiednio stu i pięćdziesięciu złotych. Roluję je i wsuwam mu w dłoń.

– Więc jak wyglądała? – Rzucam mu konfrontacyjne spojrzenie.

Chłopak chciwie ściska banknoty i wsuwa je do kieszeni. Potem wydobywa paczkę miętowej gumy do żucia, rozpakowuje jeden paseczek i wsuwa sobie do ust.

– No, młoda w miarę, miała może tyle co pani. Ze dwie albo trzy dychy. No trzy bym jej dał raczej – uściśla, potakując. – Żadna z niej tam dupa. Zapuszczona była, jak większość tutaj. No nie tak, że zupełna fujka. Że tłuste włosy i tłuste cielsko. To nie. Na pewno nie... Tylko...

– Możesz konkretniej? – wtrącam zniecierpliwiona.

– Nie łąziłem za nią i nie gapiłem się, to nie pamiętam wszystkiego – odpowiada z wyrzutem. – Ale włosy miała takie mysie, rozczochrane zwykle i długie do ramion. No zaniedbana, mówiłem już. A do tego była chuda, nawet koścista bym powiedział. – W jego oczach pojawia się błysk triumfu, jakby właśnie coś sobie przypomniał. Dwukrotnie pstryka palcami. – No i ejjj... Wiem. Nosila takie grube bryle – dodaje energicznie. – Musiała mieć jakąś w chuj poważną wadę wzroku chyba. Kiedyś ją mijałem, stała tu w przejściu, i nie zauważyła, że z kieszeni wypadła jej opaska do włosów. A leżała dosłownie przed nią. Ślepy by ją zauważył. A ona nic.

Wzmianka o okularach tylko jeszcze dobitniej ustawia Nastkę na moim celowniku.

– Czy miała może długą bliznę na lewym łokciu?

Jeden z najgorszych wycelowanych w nią ataków w szkole zakończył się upadkiem na beton. Lewy łokieć miała kompletnie rozharatany i została jej na zawsze szpetna zygzakowata blizna.

Chłopak wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Najczęściej widywałem ją w długim rękawie. Albo nie zauważyłem. Kij wie. To już wszystko? – Robi krok do przodu, próbuje mnie wyminąć.

– Jak długo tu mieszkała? – pytam.

– Ze dwa tygodnie – odpowiada na odczepnego. – Ale, jak już mówiłem, od jakiegoś tygodnia wcale jej nie widuję.

– Który to? – pytam, wskazując parterowe drewniane budynki ukryte między drzewami. – Która to dziewiątka?

– Cały czas prosto, a na końcu w prawo. Ostatnia alejka. Dziewiątka wciśnięta jest w narożnik, po skosie. Sorry, i tak dałem sporo gratisów jak za ten marny hajsik. Teraz to już naprawdę spadam.

Wtedy telefon chłopaka dzwoni. Odbiera połączenie, wykorzystując to jako kolejny pretekst, by mi się wymknąć. Nie próbuję go zatrzymać. Na razie wiem wszystko, co chciałam.

Obiecałam sobie wcześniej, że jak tylko dotrę do celu, to niezwłocznie powiadomię policję. Rzecz jasna, nie o tym, że dotarłam w miejsce wskazywane mi przez kolejne wierszowane wskazówki. Zamierzałam ugrać coś dla siebie, dla swojej ciekawości, ale przede wszystkim spokoju.

Z torebki wyciągam telefon, który wcześniej przełączyłam na inną kartę SIM. To numer na kartę, zarejestrowany jakiś czas temu przez Wiktora. Zrobił to po uzgodnieniu ze mną i tylko na wszelki wypadek. Oczywiście to nie zapewnia mi całkowitej anonimowości, ale przynajmniej, w razie ewentualnych podejrzeń policji, postawi przed nimi pewne znaki zapytania. Po drodze, mijając te kolejne smutnie wyglądające domki, wybieram numer alarmowy. Dyspozytor przełącza mnie do policyjnej centrali. Z przytkniętą do słuchawki chusteczką, która ma nieco zniekształcić mój głos, wprowadzam w życie swój plan. Wymyślam fikcyjne imię i nazwisko i podaję się za mieszkankę Ostoi. Udaję zaniepokojoną sąsiadkę, którą martwi to, że od tygodnia nie ma kontaktu z zamieszkującą sąsiedni domek dziewczyną. Dodaję, że w zamku drzwi jej domku tkwi klucz. To powinno wystarczyć. I okazuje się, że wystarcza. Dyspozytorka obiecuje niezwłocznie wysłać patrol pod podany przeze mnie adres.

Na środku centralnej alejki jest wymurowana sadzawka, cała spękana i od lat zanieczyszczona. Porastająca ją rześa wygląda jak zgniłozielony kozuch poprzetykany leżakującymi w niej gałązkami. Kiedy się rozłączam, mijam sadzawkę, która jest także zbiornikiem na śmieci. Na rześie pływa coś, co wygląda jak rozwarstwiająca się pleśń. Okropnie cuchnie. Tkwi w niej kilka papierków i oderwana z któregoś domku deska elewacyjna. Poza mną nikogo tutaj nie ma. A przynajmniej ja nikogo nie zauważam. Teraz towarzyszą mi tylko nasilający się szum morza i skrzek mew. Muszę znajdować się teraz w bardzo bliskiej odległości od linii brzegowej. Pewnie nie dalej niż kilkadziesiąt metrów.

Im dalej w głąb osiedla się zapuszczam, tym groźniejsze mi się ono wydaje. Pewnie dzieje się tak za sprawą zdziczałych krzewów i drzew, które prawie zupełnie przesłaniają mi widok. Kiedy docieram na koniec alejki, wybieram prawe rozgałęzienie. Idę dalej, po skosie, jak zalecał tamten chłopak. Wreszcie widzę wyłaniający się zza jarzębiny parterowy budynek, taki sam jak wszystkie pozostałe.

Identycznie bezosobowy. Identycznie smutny. Podlegający identycznej degradacji. Niekonserwowane od lat deski elewacji w kilku miejscach się wyszczerbiły. Ale nie to jest najgorsze. Ponieważ stoi w zacienionym i bez wątpienia wilgotnym miejscu, zaatakowały go porosty albo mchy. Trudno mi to ocenić, ale pokruszone i zbutwiałe w wielu miejscach drewno jest najwyraźniej zakażone. Ma zmienioną barwę i widoczne przebarwienia w postaci niebiesko-szarych plam.

Wchodzę na ganek i spoglądam przez niewielki prostokątny witraż wmontowany w drzwi. Niewiele widzę, tylko zniekształcone przez szkło kolorowe bohomazy. Ale jestem pewna, że nie wyczuwam w środku żadnego ruchu, żadnego toczącego się po drugiej stronie życia. Domek wygląda na opustoszały. Raz jeszcze rozglądam się wokół, upewniając się, że jestem tutaj sama. Delikatnie umieszczam klucz w zamku, ale go nie przekręcam w obawie przed zastawioną na mnie pułapką. Być może na taką moją próbę wtargnięcia liczyła dziewczyna, która zaatakowała mnie w tunelu. Pozostawiam więc klucz w zamku i prędko się wycofuję. Obchodzę domek w poszukiwaniu jakiegoś niezbyt odległego, ale bezpiecznego miejsca. Chcę je wykorzystać jako swój punkt obserwacyjny, kiedy na miejsce dotrze policja.

Najpierw przechodzę wzdłuż lewej ściany. Pożółkła, odsłonięta firanka zawieszona w zamkniętym oknie umożliwia mi zajrzenie do środka. W pomieszczeniu panuje straszny rozgardiasz. Na dostawionym do okna stole leżą trzy przewrócone fiołki z lekarstwami, a na krawędzi piętrzy się sarta brudnych talerzy. Drugą taką samą widać w zlewie. W centralnym miejscu stołu, naprzeciwko odsuniętego krzesła, leży napoczęta kanapka z serem i pomidorem. Chleb wygląda na zeschnięty, a plasterk pomidora jest porośnięty cienką warstwą pleśni. Krążą nad nią muszki. Pleśń zauważam też na leżących w miseczce mandarynkach. Wetknięte w nie banany zupełnie czerniały. Idę dalej. Rolety zawieszona w następnym oknie są całkiem zaciągnięte. Mijam je i idę naprzód.

Kiedy dochodzę do końca przeciwległej ściany, dobiega do mnie słodkawy i drapiący w gardle fetor. Jest inny niż ten, który unosił się nad sadzawką. Z całą pewnością nie przypomina też zapachu morza ani wodorostów. Najbardziej kojarzy mi się z padliną. Po chwili odór staje się tak silny i tak bardzo odstręczający, że aby nie zwymiotować, przesłaniam nos chusteczką. Dotarcie do krawędzi kolejnej ściany wyjaśnia, skąd dochodzi smród. Ostatnie okno jest uchylone. Podchodzę do niego, fetor jeszcze się nasila i prawie uniemożliwia mi oddychanie. Na chwilę wycofuję się, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Potem wracam.

Przez zasłaniającą okno brudną firankę nie widzę tego, co znajduje się w środku. Popycham skrzydło, które dość łatwo się rozchyła, a firanka przesuwa. Odór dosłownie bucha mi w twarz. Zasłaniam usta i nos i wsuwam głowę przez okno. Już tylko sekundy dzielą mnie od najgorszego.

Chwilę później pokój wiruje mi przed oczami. Wiruje hałda skotłowanych na ziemi ciuchów, wirują wetknięte w czarną popielniczkę pety. Są na nich odbite ślady czerwonej szminki. Idiotyczne detale, na które zwracam uwagę tylko po to, by wyprzeć najgorsze. Dopiero na sam koniec koncentruję się na wprawionym w ten sam upiorny wir łóżku. Leży na nim ciało. Zaciskam powieki, starając się uspokoić szalejący błędnik i wyostrzone do granic możliwości zmysły, ale to na nic. Dopiero po dłuższej chwili nieco się uspokajam i mogę przyjrzeć się ciału.

Jest śliskie i całe pokryte plackowatymi plamami. Większość rozlała się na dłoniach i stopach. Denat, nie wiem nawet, jakiej jest płci, bo tak bardzo zaawansowany jest proces rozkładu, leży w pościeli na plecach z rękoma ułożonymi wzdłuż tułowia. Ma na sobie T-shirt i krótkie spodenki. One jedyne wyglądają na nietknięte przez śmierć i postępujące gnicie. Na koszmarne wygląd ciała wpływa nienaturalne wzdęcie brzucha i opuchlizna ramion i nóg. To pewnie przez postępujący proces rozkładu. Zbierające się wewnątrz denata gazy napompowały go jak balon.

Z trudem powstrzymuję falę mdłości. Ale potem coś we mnie pęka. Tak po prostu. Pęka, kiedy zauważam, że lewy łokieć jest lekko odchyłony. Minimalnie, ale tyle mi wystarczy, abym dostrzegła pewien znajomy detal. I choć pokryty jest cienką, woskowatą warstwą, to i tak go rozpoznaję. Widziałam go wielokrotnie, dziesiątki albo nawet setki razy, kiedy bawiłyśmy się wiosną i latem. Ja i Nastka. Długa węzłowata blizna. Niezmiennie taka sama. Ona wciąż tam jest.

W ostatniej chwili odchylam głowę i stawiam dwa chwiejne kroki. Nie wiem, dokąd mnie prowadzą nogi, bo przed oczami tańczą mi mroczki. Biało-czarne zamazujące się plamy. Rozsuwają się i zasuwają jak dwubarwne wrota. Potem zginam się wół i wymiotuję. Po omacku chwytam się czegoś, co w dotyku przypomina lichy badył. Czuję jego ostre, kłujące wypustki.

– Kim pani jest? – Słyszę za swoimi plecami, kiedy ocieram usta. – I co pani tutaj robi? – pyta inny głos, bardziej ostry i zimny. Należy do kobiety.

Raz jeszcze dopadają mnie torsje. Wyrzucam z siebie zbierającą mi się w przelyku żółć. Potem powoli prostuję się i odwracam. Wzrok nieco mi się wtedy wyostrza. W alejce prowadzącej na ganek, jakieś kilka metrów ode mnie, stoją kobieta i mężczyzna. Są w cywilu, ale nie mam wątpliwości, że to gliny. Zawsze to wyczuwam, ten ich charakterystyczny język ciała, sposób bycia i emanującą z nich pewność siebie.

Podchodzą do mnie i zanim zdążą o cokolwiek zapytać, już wiedzą. Wiedzą, co stało się po drugiej stronie okna, choć tylko w najprostszym założeniu. Trupi fetor wciąż tu jest.

Wciąż nas osacza.

Mnie i ich.

Rozdział 22

Tydzień później

– Nie rozumiem. Może pani zacznie od początku. I proszę mówić jaśniej.

Kilka dni temu jakiś obcy glina użył w mojej obecności dokładnie tego samego sformułowania. Teraz robi to Friebe. Udaje, że nic nie wie, choć leżąca przed nim teczka z aktami z pewnością zawiera wszystkie moje odpowiedzi. Jest dość cienka, ale głowę daję, że Friebe ma dokładną treść moich zeznań sprzed tygodnia. I nie tylko to.

– Po co pani poszła do budynku numer dziewięć mieszczącego się na terenie dawnego kompleksu wypoczynkowego Ostoya? – pyta, świdrując mnie wzrokiem. Udaje obojętnego, może nawet zblazowanego, ale wyczuwam, że tym razem to tylko pozory.

– Nie miałam zaufania – odpowiadam.

– Do kogo?

– Do pana i pana kolegów. Notorycznie dawał mi pan do zrozumienia, że macie związane ręce – tłumaczę oschle. – Nie czułam się bezpieczna. Bałam się o swoją rodzinę.

Zauważam nieprzyjemny błysk w jego oku. Czuję, że uraziłam jego męskie ego.

– I dlatego kłamała pani w sprawie kolejnych wskazówek. Drugiej i każdej kolejnej, którą, jak niedawno sama pani przyznała, sukcesywnie pani odnajdywała – stwierdza twardo. Pochyliła się nad blatem, bierze długopis i przesuwa go między palcami. Potem upuszcza na stół.

– A czy coś mi za to grozi? – pytam. W moim głosie nie ma śladu skruchy ani strachu. Już dawno się ich wyzbyłam.

– Zaburzyła pani bieg śledztwa i zataiła istotne dowody. Załóżmy, że działała pani z zamiarem udzielenia pomocy sprawcy. Wtedy popełniła pani przestępstwo poplecznictwa, zgodnie z artykułem dwieście trzydzieści

dziwięć paragrafu pierwszego kodeksu karnego. Naprawdę mógłbym tak długo wymieniać.

Friebe bada moją reakcję, a ta jest natychmiastowa.

– Dobrze pan wie, że tak nie było.

– Czyżby?

– Zeznania, które składałam kilka dni temu, były prawdziwe, choć niekompletne. – Biorę głęboki wdech. – Nie ujawniłam tylko pewnej części przebiegu nocy, kiedy zginął Filip Kalinowski. Ani jako przesłuchiwana wtedy dwunastolatka, ani nigdy później. – Kiedy to mówię, wiercę się niespokojnie na krześle.

Friebe chwyta leżący na stole długopis i jednym ruchem ręki przysuwa do siebie niewielki notatnik. Jego wyczuwalna dotychczas niechęć zmienia się w zaciekawienie.

– Proszę mówić. – Jego głos jest łagodny, zupełnie inny niż zawsze.

– Od czego zacząć?

– Od luk. – Kiwa zachęcająco głową. – Wie pani najlepiej, gdzie się znajdują.

– Zeznałam wtedy, że przespałam całą tamtą noc. A to była nieprawda. Mój brat obudził mnie tuż przed północą i poprosił o pewną przysługę...

Tym razem słowa układają się same w zdania. Bez dodatkowej zachęty. Bez ponaglania.

Kiedy kończę relacjonować mu wszystko to, o czym niedawno powiedziałam swojemu sąsiadowi, czuję wielką ulgę. A to uczucie dla mnie zupełnie abstrakcyjne, bo przyzwyczaiałam się do tego, że latami przygniatał mnie ciężar kłamstw. Wrósł we mnie, przybierając fizyczną wręcz formę. Przyglądam się podinspektorowi, czekając na kolejne pytania. Ale dzieje się coś nieoczekiwanego. Zgrzyt otwieranych drzwi poprzedza głośnie stukanie. Ktokolwiek stał za drzwiami, nie czekał na zaproszenie. Po prostu wszedł do środka. Kiedy się odwracam, widzę stojącego w przejściu dobrze zbudowanego mężczyznę w czarnym golfie. Z kieszeni jego dżinsów wystaje plakietka. Widziałam go wcześniej, zdenerwowanego tak samo jak teraz. Krążył po korytarzu z przyciśniętym do ucha telefonem.

– Potrzebuję cię na słowo – szepcze konspiracyjnie do Friebego. Mnie zdaje się nie zauważać.

– Nie teraz – warczy podinspektor. – Jestem zajęty.

– Teraz. Natychmiast. Chodzi o Antczaka. Mamy cynk.

Kimkolwiek jest Antczak, musi być ważną osobą. Na tyle ważną, że wzmianka o nim sprawia, że Friebe natychmiast podrywa się z krzesła.

– Zaraz wracam – rzuca mi tylko zza drzwi. – Proszę tu poczekać.

Rozmawiają niby cicho i dyskretnie, ale z wyczuwalnym przejęciem, które zauważam w ich gestykulacji, Friebe raz po raz zerka w moją stronę. Nie słyszę, co jest tematem ich rozmowy. Nawet mnie to nie interesuje. Swoją uwagę skupiam wyłącznie na leżącej przede mną zamkniętej teczce i pewnych ukrytych tam odpowiedziach.

Próba zajrzenia do środka w tych okolicznościach byłaby czystym szaleństwem. Ale ostatnio tak właśnie wygląda moje życie. Jest zlepkiem zupełnego chaosu. Ja też nim jestem. Anastazja, martwa od przynajmniej kilku dni, nie mogła zorganizować tej upiornej gry w podchody. A to oznacza, że jest ktoś, kto wciąż gdzieś tam na mnie czyha.

Kolejny raz zerkam na Friebego. Tak bardzo zatracił się w rozmowie z tym drugim, że przynajmniej od minuty ani razu nie odwrócił się w moją stronę. To stwarza mi okazję, by spróbować. Zasłaniając sobą fragment stołu, na którym leży teczka, lokalizuję ją. Potem bez powodzenia usiłuję rozsypać tasiemki. Nic dziwnego, bo robię to po omacku. Mój wzrok wciąż utkwiony jest w otwartych drzwiach. Im dłużej mocuję się z tasiemką, tym wyraźniej czuję, że po karku spływa mi strużka potu. Ale w końcu tasiemki puszczają, a moje palce wślizgują się do środka. Drżącymi dłońmi wysuwam kilka pierwszych dokumentów. Nie wiem nawet, czym są. Zostawiam je rozłożone na stole. Wolną ręką wyciągam z kieszeni telefon, odblokowuję go i uruchamiam aparat. Ledwie zerkając na dokumenty, robię im kilka zdjęć. Potem odkładam je na miejsce. Tym razem wsuwam telefon do torebki.

Słyszę nagle szybkie „na razie”.

Wiążę teczkę szybko, a przez to chaotycznie. Moje ruchy są niezgrabne, podszyte lękiem przed zdemaskowaniem. Efekt jest taki, że po chwili zamiast kokardki teczkę zamyka szkaradny supeł.

Kiedy kończę, drzwi się zamykają.

– Ta ofiara to była Anastazja Seretny, prawda? – pytam, kiedy Friebe wraca na swoje miejsce.

Staram się skupić jego wzrok na sobie, byle tylko nie zorientował się, że grzebałam w jego papierach. W środku cała się trzęsę.

– Chyba nie oczekuje pani, że odpowiem na to pytanie.

Zauważam, że po rozmowie z kolegą śledczym, coś się w nim zmieniło. Mówi szybciej i już na mnie nie patrzy. Jest jakby nieobecny.

– Ale mogę powiedzieć pani jedno... – Dopiero teraz podnosi na mnie wzrok. – Sędzia wydał zgodę na złagodzenie środka zapobiegawczego.

– Nie rozumiem...

– Pani mąż wkrótce zostanie zwolniony z aresztu. Na proces będzie czekał na wolności. Przepraszam, ale musimy tę rozmowę dokończyć później – mówi i podnosi się z krzesła. – Proponuję jutrzejsze popołudnie, powiedzmy o szesnastej.

– Będę – odpowiadam.

Wiadomość o zwolnieniu Wiktora jest faktycznie ostatnią informacją, jaką się wymieniamy. Nie wiem nawet, co w związku z tym czuję. Moim emocjom najbliższym jest do stanu zapaści albo zupełnej pustki. Podinspektor Friebe pospiesznie żegna się ze mną, a ja do samego końca nie wierzę, że nie zauważył ani przemieszczonej na stole teczki, ani wieńczącego ją niechlujnego supła. Nie wierzę też, że wypuszcza mnie tak po prostu. Tłumaczę to sobie tym, że wiadomość, którą przyniósł mu tamten, musiała autentycznie wytrącić go z równowagi. Skupił się teraz wyłącznie na niej. Rzecz jasna, nie protestuję. Jest mi to na rękę.

Kiedy wracam do auta, natychmiast wydobywam ciężący mi w torebce telefon. Zdjęcia dokumentów robiłam na chybił trafił. Z jednakowym prawdopodobieństwem mogą okazać się ciekawą niespodzianką albo totalnym fiaskiem. Pierwsze zdjęcie jest zupełnie rozmazane. Dopiero teraz zauważam, że obiektyw nie był odpowiednio ustawiony. To tylko poruszone ujęcie krawędzi stołu i fragmentu podłogi. Kolejna fotografia jest prawie taka sama, z jedną tylko różnicą. Oprócz podłogi w kadrze znajdował się też regał wypełniony po brzegi segregatorami. Minimalizuję zdjęcie i przechodzę do kolejnego, tym razem rejestrującego dwa nakładające się na siebie dokumenty. Na szczęście nie jest rozmazane, a treść dokumentów okazuje się czytelna. Przybliżam jeden, który jest widoczny prawie w całości. Mój wzrok przykuwa znajdująca się u góry nazwa.

Protokół oględzin i sekcji sądowo-lekarskiej zwłok ludzkich, spisany dnia 26 maja 2022 r.

Dokument został wystawiony przez Zakład Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Gdańsku. Przebiegam po nim wzrokiem, linijka po linijce. Najpierw natrafiam na dwa nazwiska obecnych przy sekcji medyków, trzecie należy do osoby zmarłej. Dobrze je znam. Obecność imienia i nazwiska Anastazji nie powinna mnie tu zaskoczyć. Dzięki bliźnie na ramieniu bez wątpliwości przecież ją wtedy rozpoznałam. Ale kiedy odczytuję je na głos, czuję dreszcze.

Co doprowadziło ją do tego miejsca? Zrobiła to sama, zabiła się czy zrobił jej to ktoś? Co się z nią działo przez tych szesnaście lat? Co przez ten czas siedziało jej w głowie? Kim była, kiedy wyszła z zakładu? Osobą wyleczoną czy tylko ledwie zaleczonym wrakiem, niepotrafiącym się odnaleźć w obcym świecie?

Czuję, jak po policzku spływają mi łzy. Mimo tych strasznych okoliczności, Anastazja nie była mi przez te lata obojętna. Po naszej ostatniej rozmowie przez telefon z puszek już nigdy nie zamieniłyśmy ze sobą nawet słowa. A byłam jej to winna. Byłam jej winna chociaż krótkie wyjaśnienie, nieważne jak bardzo jej umysł był już wtedy chory. Kiedyś była inna – radosna, pomysłowa i czuła. Za tamtą jej dawną wersją nadal tęskniłam.

Liczę na to, że kolejne linijki dokumentu dadzą mi choć część odpowiedzi.

Pobieżnie przeglądam wyniki sekcji, informacje na temat składu chemicznego krwi i moczu, a następnie przechodzę do szczegółowego wyniku oględzin i sekcji zwłok.

Uwzględniając powyższy wynik oględzin i sekcji zwłok, należy przyjąć, że Anastazja Seretny zmarła z powodu zagardlenia.

Zaciskająca się na szyi pętla spowodowała zahamowanie dopływu powietrza do płuc, co nastąpiło w wyniku spłaszczenia krtani.

Zaobserwowano pojedyncze wybroczyny krwawe w spojówkach, na policzkach oraz zlewne w skórze czoła.

Obecność bruzdy wisielczej na szyi denatki – bruzdy otwartej i ułożonej skośnie do osi długiej ciała – wskazuje na zgon w wyniku próby samobójczej, do której doszło z wykorzystaniem typowej pętli wisielczej, zamocowanej w kuchni do belki stropowej.

Powyższe potwierdzają charakterystyczne plamy opadowe, tzw. rękawice i skarpety, które są efektem spływania krwi do najniżej położonych partii ciała.

Język denatki jest szerniały z powodu wyschnięcia po wysunięciu z ust.

Właściwy samobójczemu powieszeniu jest również prosty wyciek wydzielin z ciała denatki znaleziony na kuchennych płytkach: śliny, krwi oraz moczu.

Brak innych mikrośladów na linie.

Na ciele brak śladów przemocy, jak również prób obrony.

Brak śladów stwierdzających udział osób trzecich.

Zaawansowany proces autolizy, zważywszy na ciepłe i wilgotne pomieszczenie, w jakim znajdowała się denatka, a które przyspieszyło proces gnicia, wskazuje na to, że ciało przebywało w miejscu oględzin w przybliżeniu przez pięć do dziesięciu dni. W razie uszczegółowienia w/w, zalecane jest przeprowadzenie bardziej stargetowanych badań.

Ciąg dalszy opisu znajdował się na drugiej stronie, do której nie miałam już dostępu. *Dead end*. W kontekście tego, co sama zastałam w zeszłym tygodniu w Ostoi, niczego z tego opisu nie rozumiałam. Ciało Nastki nie wisiało w kuchni na przewieszanej przez belkę linie. Leżało na plecach, starannie ułożone w jej łóżku. Przesuwam palcami po ekranie telefonu, licząc na to, że w kolejnym dokumencie znajdę więcej wskazówek.

Drugi widoczny na tej samej fotografii dokument jest jeszcze bardziej niekompletny. Na początku odczytuję jego tytuł.

Szkic szczegółowy

Na papierze milimetrowym starannie rozrysowany został plan jednego z pomieszczeń. Sądząc po rozmieszczonych w nim symbolicznie zilustrowanych meblach i śladach, patrzę właśnie na miniaturową kuchnię w domku Nastki. Widoczna w lewej części dokumentu legenda po chwili pozwala mi zrozumieć nieco więcej. Zawiera wykaz głównych śladów. I tym razem nie mam dostępu do wszystkich tych, które naniesione są na oryginalny dokument, brakuje trójki, szóstki i ósemki. Ale to, co mam, musi mi wystarczyć.

Za pierwszym śladem stoi przewieszona przez belkę lina, a za drugim przewrócony taboret. Obok niego znajduje się adnotacja, że Nastka weszła na taboret i następnie go odepchnęła. Ślad trzeci, zaznaczony kilka centymetrów od miejsca, w którym go narysowano, jest odwzorowaniem podeszwy buta. Ślad czwarty przebiega przez połowę kuchni, poczynając od miejsca, w którym znajduje się parapet. Ciągnie się aż do drzwi rozrysowanych w lewej górnej krawędzi dokumentu. Nie wiem, dokąd prowadzą. Ślad czwarty jako jedyny opisany jest jako traseologiczny. Zaznacza drogę wleczenia ciała przez kuchnię. Ślad szósty znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, w którym zaznaczono belkę sufitową. Nie jest opatrzony żadnym podpisem, ale wygląda jak przecięta albo zerwana lina. Trudno to ocenić z tego niezbyt szczegółowego szkicu.

Próbuję skleić w całość te wszystkie strzępki informacji, bo wiem, że nie będzie ich już więcej. Pozostałe dwie fotografie są prześwietlone, przez co zupełnie nieczytelne.

Jedyny sensowny scenariusz, jaki powoli rysuje się w mojej głowie, zakłada, że Nastka popełniła samobójstwo w kuchni. A jakiś czas potem, kilka, kilkanaście godzin później, w każdym razie musiało upłynąć tyle czasu, ile pozwoliło plamom opadowym trwale osadzić się na jej rękach i nogach, ktoś odciął linę i ją stamtąd zabrał. Przeniósł, a raczej przeciągnął na łóżko w sypialni i tam starannie ułożył.

I to tyle. Nie mam pojęcia, co działo się dalej.

Kiedy raz jeszcze odczytuję pierwszy dokument, szukając tam jakiejś przeoczonej przeze mnie informacji, na wyświetlaczu mojego telefonu pojawia się niezapisany w kontaktach numer. A jednak go rozpoznaję. Gdański numer kierunkowy i ciąg cyfr, który rozpoczyna się od ósemki i czwórki. W trakcie ostatnich kilku dni dzwonił do mnie dwukrotnie. Przesuwam palcem po wyświetlaczu i odbieram połączenie.

– Hej, masz chwilę? Możemy pogadać? – pyta Wiktor.

Rozdział 23

– W ten piątek mnie wypuszczają – mówi, a potem milknie. Wiem, że czeka na moją reakcję.

– To dobrze – odpowiadam, ale mój głos nie wyraża żadnych emocji. Dokładnie tak się teraz czuję. Od stóp do głów wypełnia mnie pustka. A zwykle taka nie jestem, zwykle odczuwam wszystko aż za bardzo.

W słuchawce rozlegają się jakieś stłumione dźwięki, których nie rozpoznaję.

Wiktor przerywa tę niewygodną dla nas obojga ciszę.

– To jak będzie?

– Z czym?

– Z nami.

Biorę głęboki wdech, by zdobyć się na absolutną szczerość.

– Zostawię klucze u pana Lucjana.

– Nie będzie cię w domu? – pyta z nadzieją, że jednak zaprzeczę.

– Zatrzymam się u mamy. Chciałabym, żebyś się spakował. – Zmuszam się, by brzmieć rzeczowo. Ale wciąż się zmuszam. Nie jestem zimna. I niestety łatwo mnie rozgryźć. On dobrze wie, jak to zrobić. Byliśmy ze sobą przez kilka lat. – Wystarczy ci weekend?

– Czyli tak to kończymy? – Głos Wiktora ocieka goryczą. – Na odległość, z kluczem zostawionym u sąsiada, z wzajemną pretensją. A może nawet pogardą, co?

– Dlaczego wzajemną? – obruszam się. – Ja nie przespałam się z gówniarą. Nie ja w swoim samczym zaślepieniu wplątałam się w kryminalną aferę... Nie ja nas zniszczyłam...

Wszelkie próby trzymania się w ryzach spełzają właśnie na niczym. Głos mi drży.

– Wiele związków przez to przechodzi. *Shit*, Julia, nie powinienem był. Wiem... Ale... To nie musi być koniec... To nie musi tak się...

– Nie lubię słowa „wiele” – wchodzę Wiktorowi w słowo. – Nigdy nie lubiłam włączyć do pudła z etykietą „wszyscy” czy „smutne statystyki”. Powinieneś znać mnie nieco lepiej... Wiesz, co mój ojciec zrobił matce. Co robił jej latami... Co pośrednio robił i mnie, pieprząc na boku jakieś baby.

– To chyba słabe porównanie, wiesz? – stwierdza Wiktor. – Twój ojciec był słabym palantem, który właśnie tylko palantem myślał.

– Wiele rzeczy się ostatnio wydarzyło. Wiele złych rzeczy, wciąż w tym siedzę. Nie mam teraz siły na rozbieranie naszej relacji na czynniki pierwsze, Wiktor. Po prostu chcę, żebyś się wyprowadził – oświadczam stanowczo.

Znów zalega między nami ta sama okrutna cisza.

– Nie będę przecież skomlał jak pies – syczy Wiktor przez zaciśnięte zęby. Zapewne i on ma w gardle coś na kształt ołowianej kuli. Już dawno temu nauczyłam się rozpoznawać jego skrzętnie ukrywane emocje. – Możesz wrócić już w sobotę – dodaje mój mąż. – Tak naprawdę niewiele mam do spakowania...

Numer wyświetlający się na ekranie mojego telefonu nagle znika. Nie było słów pożegnania ani czułości, którymi często kończyły się nasze rozmowy przez telefon. Ale teraz tego nie potrzebuję. Potrzebuję tylko spokoju i poczucia bezpieczeństwa, a przede wszystkim odpowiedzi.

Zaciśnięty w dłoni telefon po chwili ponownie wibruje. Jestem pewna, że to Wiktor, więc nie patrzę na wyświetlacz, tylko od razu przesuwam po nim palcem.

– Czy to pani Julia Wysocka? – mówi wysoki kobiecy głos. Jest młody i energiczny. Nie rozpoznaję go.

– Tak, to ja. Z kim rozmawiam?

– Klaudia, kelnerka z Szanghaju. Była pani u nas w zeszłym tygodniu. Zostawiła mi pani ten numer, więc pomyślałam...

– Ma pani jakieś nowe wieści o Milenie? Wróciła do pracy? – pytam z nadzieją.

– Nie, to nie to. To znaczy nie wróciła. To miałam na myśli – wyjaśnia dziewczyna. – Nie zamierzałam się wtrącać, bo słyszałam o tej aferze z pani

mężem. No, głupia sprawa i w ogóle, więc pomyślałam, że lepiej się w taki układ nie mieszać.

– Ale...

– Ale Milena to wstrętna kłamczucha. Zgrywa ofiarę, a w rzeczywistości ma się chyba całkiem dobrze. I uważam, że powinna to pani wiedzieć.

– Co ma pani na myśli?

W telefonie rozlega się cichy metaliczny brzęk.

– Mam teraz klienta – mówi dziewczyna ściszone głosem. – Kończę dziś o osiemnastej. Spotkajmy się kwadrans później na Bulwarze, w pobliżu Barracudy, okej?

– Będę – odpowiadam.

W słoneczne i ciepłe popołudnie, takie jak to dzisiejsze, na Bulwarze Nadmorskim zawsze są tłumy. Asfaltową ścieżką przemykają rolkarze, biegacze i rowerzyści. Gdzieś obok, na trawniku, pałętają się psy, wesoło merdając ogonami. To miejsce ma w sobie coś, co autentycznie pozbawia człowieka wszelkich trosk. Spacerujący tutaj ludzie są po prostu szczęśliwi. Rozgadani, uśmiechnięci, zrelaksowani. Trzymają w dłoniach kubki z kawą albo gofry, ale najczęściej trzymają się za ręce.

Sama przychodziłam tu kiedyś częściej, kiedy, skonfrontowana z jakąś kryzysową sytuacją, chciałam złapać dystans. Myślę, że specyficzny kojący klimat tego miejsca wytwarza atmosferę bez troski. Ale głównym atutem jest bliskość przyrody. Morze za falochronem, kilometrami ciągnący się w tej samej linii pas zieleni, żebrzące o okruchy chleba mewy i majaczące na horyzoncie statki na stałe wpisały się w tutejszy krajobraz.

Ale tym razem nie wchodzę w ten radosny tłum. Nie jestem jego częścią. Staję pod rzeźbą przedstawiającą nagą kobietę z rozpostartymi ramionami. Z tymi nieforemnymi piersiami wygląda trochę strasznie. Upamiętnia zaginionych na morzu, choć nie wiem, jak jej postać ma się do tej wzniosłej symboliki. Ale akurat teraz to nie jest ważne.

Stąd mam widok na Barracudę i główną alejkę spacerową, na której zaraz powinna pojawić się Klaudia. Dochodzi kwadrans po osiemnastej.

Dziewczyna zjawia się kilka minut później z podskakującą na jej biodrze lakierowaną torebką. Ma na sobie czarne legginsy, neonowy top, zbyt lekki jak

na tę porę dnia, i buty na wysokiej płaskiej platformie. Wychodzę jej naprzeciw i w rękę wciskam kubeczek z kawą, którą przed chwilą kupiłam w jednej z mobilnych kawiarni. Kilka takich budek na kółkach jest ustawionych przy bulwarze.

– Usiądziemy na schodkach? – proponuje Klaudia, odbierając ode mnie kubek.

Kiwam głową, popijając kawę, kierujemy się w stronę schodów przy wieńczącym bulwar Małym Molo. Kiedy docieramy na miejsce, siadamy na górnym schodku, choć dwa przeciwległe krańce zajęły jakieś dwie pary. Są w zbyt dużej odległości od nas, byśmy mogły usłyszeć, o czym rozmawiają. I vice versa.

– Dziękuję, że jednak do mnie zadzwoniłaś – zwracam się do dziewczyny.
– O czym chciałaś mi powiedzieć?

Klaudia w milczeniu rozpiną torebkę, wysuwa z niej granatowo-pomarańczową ulotkę i wręcza mi z zagadkowym uśmiechem. Nie dostrzegam niczego, co w jakikolwiek sposób wiązałoby się z Mileną Kos, choć przyglądam się ulotce z obu stron. Jest na niej program festiwalu mającego się odbyć w nadchodzący weekend na Kaszubach. Jego otwarcie zaplanowane jest na jutro.

– Nie rozumiem – mówię. – Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej
– odczytuję z ulotki.

– Niech pani spojrzy na dzień otwarcia, czyli na jutro, na godzinę dziesiątą.

Sprawdzam wskazaną przez nią datę. Widnieją pod nią trzy stoiska z ręcznie wytwarzanymi przedmiotami. Malowane akwarelą i farbami olejnymi obrazy, artystyczny wyrób rzeźbionych świec i unikatowe dwuczęściowe komplety odzieży. Przy każdym z produktów widoczne są nazwiska osób, które je robią. Tylko przy świecach widnieje pseudonim.

Nightingale.

– To ona. Milena – tłumaczy Klaudia, wskazując ten pseudonim.

– Skąd wiesz?

– Nie wspominała mi o tym. O tej imprezie i w ogóle. Nic z tych rzeczy. Nie byliśmy blisko. Prawie nie gadałyśmy. Nie ten *vibe* – mówi Klaudia tak jakoś konspiracyjnie. – Ale słyszałam kiedyś, jak rozmawiała przez telefon z organizatorem albo coś. Potwierdziła wtedy miejsce, no i użyła tego nicka. Znalazłam ją potem pod tym pseudonimem na Fejsie. Byłam ciekawa, co tam

kmini, a potem to nawet pełna podziwu. Niech pani zobaczy, jakie cudenka robi. Mogłaby spokojnie tylko z tego się utrzymywać.

Klaudia wydobywa z torebki telefon i uruchamia Facebooka. Potem scrolluje fanpage'a osoby kryjącej się pod pseudonimem *Nightingale*. Na żadnej z fotografii nie ujawnia ona swojej tożsamości. Galerię zdjęć wypełniają jedynie finezyjne świece rzeźbione na wzór ludzkich twarzy. Postacie mają pomalowane oczy, usta, brwi, a nawet pojedyncze pasma włosów. Ich realizm jest wręcz porażający.

– No i niech pani spojrzy na ostatni wpis, ten z przedwczoraj. – Klaudia wskazuje na jeden z postów. Jest przypięty na górze strony.

Czytam w milczeniu.

Przedstawiam Wam hot nowości, które będziecie mogli jutro zgarnąć na FAM-ie.

Premierowo i z limitowanej kolekcji:

– gwiazdy kina noir.

– giganci rocka

Świeżynki z wosku. 100% hand made.

Hiperrealistyczne modele, palące się przez co najmniej 48 h!

Na klimatyczny wieczór albo imprezę.

Super fresh.

Kto wpada na FAM-ę?

<3 <3 <3

Post zebrał kilkanaście lajków i dwa komentarze osób deklarujących swoją obecność i chęć zakupu świec. Załączone zdjęcia naprawdę robią wrażenie. Praca nad każdą świecą musiała pochłonąć długie godziny.

Nagle, między oglądaniem kolejnych fotek, spływa na mnie olśnienie. Przypominam sobie o substancji, o którą pytał mnie Friebe na pierwszym przesłuchaniu. Jej śladowe ilości znaleziono w foliowej koszulce, w którą wsunięta była rymowana wiadomość zawieszona na gałęzi w moim ogrodzie. Stearyna, bo tak ją nazwał, wykorzystywana była przy wytwarzaniu świec. W momencie, kiedy to sobie uzmysławiam, kolejny brakujący element wpada na swoje miejsce.

– Wiedziałam, że jakiś czas temu planowała być na tej imprezie, w końcu sama słyszałam, że potwierdzała swoją obecność. – Moje rozmyślenia przerywa głos Klaudii. – Ale kto ozdabia post takimi emotkami i radośnie zapowiada swój udział, jeśli parę dni wcześniej został brutalnie zgwałcony? Czy tylko mnie się to nie klei? – pyta dziewczyna i patrzy na mnie z ukosa. Dopiero teraz uważnie się jej przyglądam. Ma figlarne oczy i ładne, regularne rysy twarzy.

– Jesteś pewna, że to ona? – pytam. – Trudno to zweryfikować bez jej zdjęcia. Tu są przecież tylko fotki jej prac.

– No mówiłam przecież – zżyma się Klaudia. – Słyszałam, jak przez telefon potwierdzała datę i miejsce na festiwalu. A poza tym ten cały gwałt to ściema. Tak obstawiam. – Klaudia spleta ramiona na wydatnych piersiach. Nie wyglądają na naturalne.

Wzmianka o sfigowanym gwałcie wywołuje we mnie nagłe tąpnięcie. Sama nie wiem, jak je rozumieć.

– Dlaczego tak myślisz? – pytam.

– To proste. – Klaudia wzrusza ramionami. – Bo ona chyba nie lubiła chłopców. Nie poszłaby z takim do łóżka.

– Z takim?

– Z żadnym znaczy się. Chyba wolała muszelki – uściśla Klaudia. – Może była bi. Tego nie wiem. W każdym razie prowadziła się od zawsze z jakąś laską.

– Co dokładnie znaczy „prowadzała”?

– Przychodziła po nią taka jedna po pracy, nawet ładna i zgrabna. Mniej więcej w jej wieku. To nie była relacja koleżeńska. Jak wynosiłam któregoś dnia śmieci, to Milena była niby na fajce. Tak powiedziała szefowi. A tak naprawdę miały we dwie na zapleczu szybką schadzkę. Widziałam, jak cichaczem się lizały. I to nie byle jak, ta druga zapodała jej długiego i soczystego ślimaka. To nie było dla zabawy, była w tym jakaś silna chemia. Namiętność. To na pewno. Znam się na tym. – Klaudia kiwa sugestywnie głową. Potem puszcza porozumiewawcze oczko. – Tak było do samego końca, do samego końca tamta przychodziła po Milenę do pracy, zawsze we wtorki.

– Pamiętasz, jak ta druga się nazywała, jak wyglądała? Było w niej coś charakterystycznego?

– Nie. No na pewno nie zwracała się do niej per siostruniu. – Klaudia wybucha śmiechem. – Nie interesowało mnie to. Już mówiłam, Milena i ja to dwa zupełnie inne bieguny. Pamiętam tylko, że tamta była ładną blondynką. Chyba blondynką. Bo włosy miała najczęściej ukryte pod czerwoną baseballówką. Muszę już iść. Mój facet na mnie czeka. – Klaudia zerka na swojego smartwatcha i natychmiast podnosi się ze schodka.

Dziękuję jej za poświęcony mi czas i patrzę za jej znikającą w tłumie, zgrabną sylwetką. To, co mi powiedziała o sfigowanym gwałcie, było w sumie tylko potwierdzeniem moich własnych podejrzeń. Jednak przyniosło mi to pewną ulgę. Bo wciąż we mnie był ten robak, drążący czarne korytarze w myślach. Ciężkie podejrzania, które padło na mojego męża. Że jest brutalnym gwałcicielem. Ten ciężki niedawno lekko zbladł, a dopiero teraz zupełnie zniknął.

Przez chwilę nie wstaję jeszcze z miejsca. Chłonę toczące się wokół mnie bez troski życie, łapczywie jak kiedyś. Potem raz jeszcze wyciągam telefon i szukam trasy do Rezerwatu Przyrody Widowo, gdzie w pobliżu, na olbrzymiej polanie i z dala od wszelkich zabudowań, ma się odbyć jutrzejszy festiwal.

Ale na razie wracam do domu. Oswajam się z wizją kolejnej samotnie spędzonej tam nocy.

Rozdział 24

Znam tę trasę na pamięć. Pokonywaliśmy ją z Wiktorem dziesiątki razy, z zapakowanym po sam dach bagażnikiem i z przymocowanymi do uchwytu rowerami. Robiliśmy to z żądy odkrywania, która scalała nasz związek. Żądza Odkrywania Nieznanego. Kryło się za tą nazwą wszystko to, co dalekie od szlaków wytyczanych przez cywilizację. Od sztampy. Od nowoczesnych barów woleliśmy wypełnione winem papierowe kubki i mech pod nogami. Lubiliśmy, kiedy sosnowe igły drapały nas w stopy, kiedy wplątywały się we włosy. Lubiliśmy się tam kochać, w tych czarno-zielonych trzewiach lasu. Eleganckie hotele i baseny nie były dla nas. Nie miały szans z perspektywą nocy spędzonej na plaży. Albo kąpiele w morzu, najchętniej po zmierzchu, zupełnie nago.

Wzdłuż linii brzegowej biegnie dobrze mi znana leśna ścieżka. Ciągnie się kilkanaście kilometrów, urozmaicona rzadkimi gatunkami roślin, licznymi wzniesieniami, zalesionymi wydmami i pradolinami. Rozpoznaję miejsce, w którym zawsze wsiadaliśmy na rowery i pokonywaliśmy trasę łączącą Karwie z Dębkami.

Widok innych mijanych po drodze znajomych punktów boli nie mniej niż poprzednie wspomnienie. Po chwili wyrasta przede mną niewielki spożywczak, w którym kupowaliśmy ociekające lukrem drożdżówki. Potem mijam parking leśny, na którym się zatrzymywaliśmy. Nieutwardzana droga, na której głośno klekotały resory. Jadę nią teraz. Różne takie chwile i miejsca przypominają mi, że Wiktora i mnie łączyło też mnóstwo dobrych chwil. Ostatnie wydarzenia pozostawiły po nich tylko smutne zgliszcza. A teraz tamto dawne życie obudziło się na nowo. I wspomnienia trawią mnie niczym ogień. Cholera, naprawdę wolałabym ich nie mieć. Wtedy byłoby mi łatwiej. Trochę lżej.

Tym razem zatrzymanie się na naszym stałym miejscu parkingowym okazuje się niemożliwe. Sznur samochodów zaparkowanych po obu stronach leśnej drogi zdaje się nie mieć końca. Po kilkuset metrach skręcam w pustą, szutrową drogę i tam zostawiam auto.

Dochodzi jedenasta, ale nie martwię się, że o tej porze nie zastanę już Mileny Kos na miejscu. Kramiki, w których można nabyć ręcznie robione rzeczy, w tym jej świece, mają być otwarte aż do siedemnastej. Z oddali dobiegają mnie głośne, coraz silniej pulsujące basy. Poza nimi wyłapuję też dźwięki wydawane przez bębny. Zwiastują jakiś performans odbywający się równoległe do prowadzonej tam sprzedaży. Wydobywam z torebki ulotkę i zerkam na rozpiskę dzisiejszego dnia. Wynika z niej, że na scenie głównej występują artyści czarnego teatru Perseidy. Kiedy skończą, za nieco ponad kwadrans, ich miejsca zajmie grupa artystyczna Moma Art uprawiająca taniec akrobatyczny na szarfach.

Kilka minut później, kiedy docieram na teren festiwalu, muszę przeciskać się przez gęstniejący tłum. To głównie młodzież ubrana w kolorowe ekstrawaganckie ciuchy, często z mocnym makijażem i tatuażami na ciele. Emanuje z nich to, co z ludzi spacerujących po Bulwarze Nadmorskim. Beztroska. Radość. Odprężenie. Pewien rodzaj nieskrępowanej niczym wolności. Wyczuwam jej tu najwięcej. Sama jej łaknę.

Mapka miasteczka festiwalowego na ulotce pomaga mi szybko zlokalizować właściwe miejsce. Stoiska z ręcznie wyrabianymi produktami znajdują się tuż przy porastających polanę sosnach, nieopodal strumyka. Latem w tym miejscu zwykle parkują przyczepy kempingowe. Bywa, że cała polana jest nimi zapełniona.

Z dala widzę, że przy stoiskach kręci się kilka osób. Jakaś para ogląda zawieszona na metalowej belce stroje. Młoda dziewczyna zwrócona do mnie plecami stoi przy stoisku z banerem *Nightingale*. Tam się kieruję.

Jestem pewna, że dobrze trafiłam. Ułożone na drewnianych tackach kilkunastocentymetrowe świece wyglądają jeszcze bardziej realistycznie niż na opublikowanych w internecie fotografiach. I są jeszcze bardziej przerażające. Sprawiają wrażenie zastygłych w wosku ludzkich twarzy. Wzdrygam się na ich widok.

Stojąca za ladą dziewczyna ma kręcone rude włosy i jasną cerę nakrapianą piegami. Na jej twarzy nie ma śladu niedawnego pobicia. Śladu przemocy nie widzę też na jej odsłoniętych ramionach i nogach. Promienieje radością i seksapilem. Nie mogę się oprzeć, by nie spojrzeć na jej wydatne piersi rysujące się pod obcisłą koszulką. Oczami wyobraźni widzę na nich ręce mojego męża. Widzę, jak drżą z podniecenia. Widzę, jak jego palce drażnią jej sutki. Widzę, jak zbliża do nich swoją twarz i jak to samo z sutkami robią jego

zęby. Widzę ich dwa ciała splecione w miłosnym uścisku. Na samą myśl robi mi się niedobrze.

Tylko czy to na pewno jest ona?

– Milena Kos? – zwracam się do niej, ignorując klientkę, która właśnie podeszła ze świecą do kasy.

– Nie, Em zaraz przyjdzie – odpowiada mi dziewczyna z uśmiechem. W jej usposobieniu jest coś miłego, łagodnego. – Poszła po kawę dla nas. Czy mogę w czymś pomóc? – pyta. – Chętnie doradzę – proponuje i przebiega wzrokiem tace ze świecami.

– Nie, dziękuję. Poczekam.

– O! Już idzie.

Dziewczyna odbiera od klientki świecę i nabija cenę na kasę. Wolną ręką wskazuje kogoś za moimi plecami. Odwracam się i natychmiast lokalizuję Milenę, bo jako jedyna w zasięgu wzroku trzyma w dłoniach dwa kubki z kawą. Idzie w naszą stronę szybkim sprężystym krokiem. Na skroni ma niewielki opatrunek. Poza tym nie widzę innych śladów domniemanej napaści. Nie widzę ich też w jej niczym nieskrępowanych ruchach. Być może ślady są ukryte pod koszulką z długim rękawem albo pod obszernymi dżinsami. A może nigdy ich nie miała, a obdukcja jakimś cudem była jedną wielką ściemną?

Milena Kos mija mnie obojętnie i staje za ladą. Albo mnie nie poznała, albo tylko dobrze się maskuje. Od razu dostrzegam w niej to, co mogło zwabić mojego męża. Naturalnie pełne usta. To zawsze był jakiś jego fetysz. Podobne usta ma Alicja, podobne mam i ja. Ale poza ustami nie ma w niej nic szczególnego. Jest ładną, ale raczej pospolitą, niczym niewyróżniającą się dziewczyną. Ma błękitne oczy, zupełnie puste. Nie dostrzegam w nich ani tajemnicy, ani głębi. Tlenione blond włosy ma zebrane w lichey kucyk. W jej uszach tkwią kolczyki z popularnej sieciówki.

– Em, ta pani cię szukała – mówi do niej rudowłosa koleżanka.

Milena Kos mruży oczy i przekręca lekko głowę, jakby starała się zlokalizować mnie w pamięci. Wygląda przy tym jak mały ciekawski szczeniak.

– Chyba nie kojarzę – rzuca od niechcienia.

– Julia Wysocka. Jestem żoną Wiktora – przedstawiam się. – Możemy porozmawiać?

Na wzmiankę o Wiktorze Milena cała sztywnieje. W jej oczach dostrzegam zmieszanie i niepewność, wcale nie irytację.

– To chyba jakiś żart! – wypala i robi krok do tyłu. Plecami uderza o metalowy pal straganu. – Jak mnie pani tutaj... Proszę odejść!

– Jest pani pewna?

– Pewna czego? – odwarkuje. – Że nie chcę o tym palancie rozmawiać? Słyszała pani, co mi zrobił. Pani to raczej też nie powinna się za nim wstawiać – mówi i taksuje mnie wzrokiem.

– Klaudia, pani koleżanka z pracy, powiedziała mi kilka ciekawych rzeczy.

– Prawie jej nie znam – zarzeka się Milena Kos. – Wiem tylko tyle, że jest flejtuchowatą kelnerką.

– Ona za to wie o pani znacznie więcej.

– Na przykład? – Milena wybucha lekceważącym śmiechem.

Ale odnoszę wrażenie, że jej nonszalancja to tylko próba zamaskowania obawy przed tym, czego faktycznie mogłam się dowiedzieć.

– Na przykład to, że Wiktor podobno nie był jedynym, z którym się pani ostatnio spotykała.

Dziewczyna, która właśnie kupiła świecę, wpycha ją do siatki, rzuca mi zaciekawione spojrzenie i błyskawicznie się ulatnia. Rudowłosa kasjerka milczy, spoglądając to na mnie, to na swoją koleżankę. Jest zakłopotana. Ewidentnie nie chce się wtrącać i nie wie, o czym jest mowa. Przenoszę swój wzrok na Milenę Kos. Teraz w jej oczach błyska przerażenie.

– Proszę stąd odejść... A pani mąż to kawał chuja. Wszystko, co mam do powiedzenia na jego temat, zdradzę nie tutaj, ale w sądzie – grzmi Milena, wściekle gestykulując.

Decyduję się na jeszcze jedną prowokację. Chcę sprawdzić, jak Milena się zachowa. Liczę, że czymś się zdradzi. Szczególnie teraz, kiedy już jest potężnie zdenerwowana. Wtedy łatwo o potknięcie.

– Czuje się pani zadziwiająco dobrze, jak na tak poważne obrażenia. Pobicie i brutalny gwałt pozostawiły po sobie tylko ten lichey plasterek na czole?

– Nie wiem, co ta wariatka Klaudia pani naopowiadała. Nie wiem i mam to gdzieś – mówi Milena i wyklada świecę na jedyną pustą tackę.

Jej ruchy są krótkie, nerwowe, urywane. Odnoszę wrażenie, że dziewczyna jest na granicy wybuchu.

– Proszę stąd iść, do cholery! – wrzeszczy, kiedy widzi, że zamiast odejść, jeszcze bardziej się do niej zbliżam.

Staję w wąskim przejściu między ladą a stoiskiem obok. Blokuję jej przejście.

– To ty zostawiłaś w moim ogrodzie pierwszą groźbę? I każdą następną? Ty czy twoja dziewczyna? Blondynka w czerwonej czapeczce z daszkiem?

Na wzmiankę o dziewczynie Milena Kos wydostaje się poza ladę, odpychając mnie ramieniem.

– Powiedziałam już grzecznie, nie podziałało, to powiem inaczej. Spierdalaj! Wariatka jakaś – warczy i szybko się oddala.

W ciągu kolejnych kilku sekund udaje jej się wmieszać w tłum. Tak po prostu.

Kieruję się w tę samą stronę, w stronę sceny, spóźniona o tych kilka sekund, bo moje nogi wciąż kiepsko współpracują. Nie tak, jak powinny. Pod sceną zebrało się już ze dwieście, a może nawet i ze trzysta osób. Znalezienie Mileny gdzieś tutaj graniczy z cudem. Niektórzy widzowie stoją z transparentami trzymanymi wysoko. Wiwatują głośno. Ale wykrzykiwane słowa zlewają się w nic nieznaczący szum. Podwójne uderzenie gongu zwiastuje, że na scenie pojawią się nowi artyści.

Ten odgłos zwabia też kolejnych widzów. Nadciągają tłumnie ze wszystkich stron. To wzmożone zainteresowanie zwiastuje pewnie jakiś atrakcyjny występ. Ale nie to mnie teraz interesuje. Od sceny dzieli mnie już tylko jakieś pięćdziesiąt metrów. Może trochę więcej. Tyle i przynajmniej kilka rzędów zebranych pod nią widzów. Przedzieram się przez tłum, ale ludzie stoją zbyt gęsto, niemalże jeden przy drugim. Nie ma szans, bym w tych warunkach mogła wypatrzeć ukrywającą się gdzieś tutaj Milenę. Jest tak tłoczno, że ledwie mogę oddychać. Zamiast świeżego powietrza wciągam do płuc woń wilgotnej spoczonej skóry, mieszaniny zapachu perfum i dezodorantów.

Kiedy udaje mi się przedrzeć na sam przód, a to duszne lepkie powietrze nieco się rozrzedza, wyrasta przede mną ogromna scena. Jest szeroka na przynajmniej kilkanaście metrów i ozdobiona żywymi kwiatami. Na wieńczącej ją kratownicy zawieszono trzy pary seledynowych szarf.

Na środku stoi szczupły szpakowaty mężczyzna z mikrofonem w ręku. Przykłada go do ust i z werwą zapowiada kolejny występ.

– A teraz czas na trzyosobowy zespół Akrobatycznego Teatru Tańca. Przywitajcie oklaskami dziewczyny, które na tej scenie połączą balet z powietrzną akrobatyką, muzyką, kostiumem, tworząc nad waszymi głowami taneczne widowisko i spektakl aerial silk. Panie i panowie, przed wami Katarzyna Wolniewicz, Agnieszka Gaj i Gabriela Seretny.

Tłum wiwatuje jeszcze bardziej. A w mojej głowie brzęczy jedno słowo. Wierci się tam jak tłuczone szkło. Jest nim nazwisko, a wraz z nim pojawiające się tylko jedno pytanie. Potem i tak rozgałęzia się na dwa. Na dwie niewiadome. Czy możliwy jest tak absurdalny zbieg okoliczności? Czy to możliwe, że młodsza siostra Anastazji nieprzypadkowo znajduje się w tym samym miejscu i w tym samym czasie, co kochanka mojego męża?

Gabrysia wchodzi na scenę jako ostatnia. Jej ewidentne rozkojarzenie widoczne jest od samego początku. A może to tylko stres przed występem. Trudno mi jednoznacznie ocenić, co wpływa na jej zachowanie, ale wyraźnie spięta dziewczyna kilkakrotnie odwraca się w stronę metalowych schodków prowadzących na scenę.

Dopiero po chwili zauważam, że coś albo ktoś odwraca jej uwagę. Dziewczyna zerka nie tyle na schody, co na znajdującą się za nimi czarną kotarę. W przeciwieństwie do swoich koleżanek, zaabsorbowana jest czymś, co się dzieje za kotarą, więc nie podchodzi do czarnego stolika i nie zanurza dłoni w znajdującym się tam białym proszku, a potem nie osypuje nim stóp. Możliwe, że tym białym proszkiem jest kalafonia. Sama używałam jej lata temu, kiedy uczyłam się gry na skrzypcach. Przypominająca cukier sproszkowana żywica pomaga w zwiększeniu przyczepności. Ja używałam jej do smarowania smyczka, być może one potrzebują jej, by uzyskać lepszą przyczepność do szarfy.

Kiedy gong wybija drugi i ostatni sygnał, a z głośników wydobywa się subtelna muzyka rozpoczynająca teatralny akt, twarz dziewczyny nadal zwrócona jest w stronę kotary. Dostrzegam za nią ledwie widoczny zarys czyjejs sylwetki. Stojąca tam osoba jest pogrążona w mroku. I dopiero niecierpliwiąca się koleżanka, która podchodzi do Gabrysi i szepce jej coś do ucha, wytrąca ją z odrętwienia.

Dziewczyna wkracza wtedy na środek sceny. Ubrana w granatowy monokostium, z zakrytymi nogami, ramionami, brzuchem i gołymi stopami,

porusza się z lekkością i gracją. Ale nie smaruje dłoni ani stóp, tylko od razu przechodzi do jednej z szarf. Wydaje się, że wybita ze swojego zwykłego rytmu, zupełnie o tym zapomniała. Na jej twarzy coś się zmienia. Niedawne rozkojarzenie zostaje zastąpione pełnym skupieniem. Profesjonalizm.

Gabrysia staje przed zaczepioną na metalowej kotwie szarfą. Wspina się na nią, podciągając na przemian nogi i ręce. W obu dłoniach dziewczyna trzyma szarfę i zahacza nią o kolano, powtarzając kilkakrotnie tę samą sekwencję ruchów. Mniej więcej w połowie drogi na szczyt kratownicy znajdującej się przynajmniej siedem metrów nad ziemią, Gabrysia zwalnia. Ale powodem tego zakłóconego rytmu wcale nie są przeszkadzające jej we wspinaczce silne podmuchy wiatru. Dziewczyna ma problem z przyczepnością. Bardziej kurczowo niż na początku usiłuje trzymać się szarf. W jej oczach pojawiają się niepewność i wahanie. Wydaje mi się, że zdała sobie sprawę z niedawnego przeoczenia. Jej lewa ręka raz po raz traci przyczepność, ześlizguje się przy kolejnej takiej próbie utrzymania się na szarfie. Zauważam, że ukradkiem wyciera ją o kostium i próbuje ponownie.

Nie spuszczać z niej wzroku, przedzieram się bliżej środka sceny, w stronę szczeliny między barierkami. Ma najwyżej trzydzieści centymetrów szerokości. Tyle powinno mi wystarczyć, by się przez nią przecisnąć. Ignoruję po drodze kilka pomruków niezadowolenia wydawanych przez stojących w pierwszym rzędzie ludzi. Wkrótce docieram do celu, pod samą scenę. Wyciągam telefon. Ale nim zdążę go użyć, wyrasta przede mną ogolony na zapałkę, barczysty facet. Ochroniarz. Wygląda jak przypakowany menel, wyjątkowo odstręczająco.

– Tu nie wolno wchodzić! – grzmi. Grube fałdy parchatej skóry marszczą mu się na czole. – Proszę wrócić za barierki.

– Chciałam tylko zrobić zdjęcie – odpowiadam, wskazując na telefon. – Tylko jedno zdjęcie z bliska.

– Proszę wyjść – wydaje niepodlegające dyskusji polecenie. Tłustym paluchem wskazuje mi przerwę między barierkami, przez którą właśnie przeszłam.

Niechętnie wracam na poprzednie miejsce. Unoszę głowę, a wzrok mój i Gabrysi spotykają się wtedy na krótką chwilę. Nie wiem, czy w jej oczach widzę ten sam co poprzednio strach, czy zdenerwowanie wywołane tym, że mnie rozpoznała.

Ale jedno jest pewne, boi się, jej strach jest jeszcze zwielokrotniony. Patrzymy na siebie przez kilka sekund. Ja stoję, ona zawisa, obie zupełnie nieruchome, każda w swojej własnej pozycji. Obie trwamy w stanie dziwnej hipnozy. Trwamy, bo obie wiemy, że łączy nas coś więcej niż tylko tamte stare wspomnienia. Czuję, że ciarki pełzną mi po kręgosłupie. Zatrzymują się tam, gdzie zwykle – na karku. Przeczucie. Złe przeczucie. Zawsze objawia się u mnie w ten sam sposób.

Przez zamieszanie związane z ochroniarzem przeoczyłam kilka sekund występu. Znajdująca się na szczycie kratownicy Gabrysia już na mnie nie patrzy. Szykuje się teraz do wykonania jakiegoś manewru na wysokości kilku metrów nad ziemią. Dopiero teraz zauważam, że przyczepiona do szarfy kotwa nie stanowi dla niej żadnego zabezpieczenia. Zamieram. Zamieram ja, a wraz ze mną zamiera wiwatujący jeszcze niedawno tłum. Uzmysławiamy sobie powagę sytuacji.

Dziewczyna zaplątuje obie stopy w szarfę i rozjeżdża się do pozycji szpagatu. Jej ciało wygląda wtedy jak idealnie wyrzeźbiony posąg. Jest rozciągnięte, wszystkie proporcje są zachowane, a zarysowane pod kostiumem mięśnie napięte. Ale w jej twarzy nie ma dawnego skupienia. Wciąż widzę przesłaniającą ją szarość. Dobrze ją znam. Taki właśnie kolor ma strach. Jest bezwzględny i paralizujący. A to nigdy nie zwiastuje niczego dobrego.

Kiedy Gabrysia wreszcie łapie równowagę, gwałtownie puszcza szarfę. Robi to zbyt szybko, zbyt nierozważnie. I właśnie wtedy strach przejmuje nad nią kontrolę.

Dziewczyna nie panuje nad ciałem, zawisa na szarfie do góry nogami, utrzymywana jedynie przez dwa supły mocujące jej stopy z szarfą. Przez widownię przebiega wtedy cichy jęk napięcia i oczekiwania. Po chwili, która ciągnie się w nieskończoność, Gabrysi udaje się rozkołysać ciało i wspiąć do góry. Zauważam, że próbuje chwycić szarfę i ją rozplątać. Jej palce niespokojnie mocują się z supłem. Pierwsze podejście kończy się fiaskiem, drugie też. I jeszcze trzecie, tak samo niefortunne. Widzę, jak powoli traci siły. W końcu udaje jej się wyswobodzić najpierw jedną, a potem drugą stopę, co zostaje nagrodzone gromkimi oklaskami. Wyczuwalna w powietrzu gęsta atmosfera nieco się rozluźnia.

Wkrótce performans dobiega końca, choć nie mam pojęcia, czy czasem nie został przez nią celowo skrócony. Kiedy dziewczyna wykonuje kontrolowany przez przytrzymywanie szarfy spadek, muzyka wciąż jeszcze gra, sugerując

dalszą choreografię, której już nie ma. Zwykle artystki wykonujące tego rodzaju akrobacje na szarfie żegnają się z publicznością ukłonem. Gabrysia tego nie robi. Zbiega ze schodów ze spuszczoną głową i znika gdzieś za kotarą. Na scenie nic się nie dzieje, muzyka wciąż gra, koleżanki Gabrysi czekają na swoich miejscach na jakiś sygnał od prowadzącego, niepewne i speszone. Ale on się nie rusza. Stoi z boku sceny z wciśniętym w dłoń mikrofonem.

Przedzieram się przez ten wyczekujący na wyjaśnienia tłum i wkrótce przedostaję się za barierki, zza których lepiej widać zejście ze sceny. Nie ma tam nikogo. Ale ten punkt obserwacyjny nic nie daje, niczego nie wyjaśnia. Kotara oddzielająca scenę jest szczelnie zasunięta.

Chwytam więc za telefon i uruchamiam Facebooka. W wyszukiwarce wpisuję imię i nazwisko Gabrysi. Jej profil okazuje się prywatny, ale z łatwością odnajduję jej zdjęcie w wyszukiwarce grafiki Google'a. Jest na nim ubrana w ten sam strój, który i dziś ma na sobie. Włosy, tak samo jak dziś, ma spięte w ciasny kok. Ale ona sama na tym zdjęciu jest zupełnie inna, rozluźniona i radosna. Zamiast strachu na jej twarzy widzę wyraz dumy i triumfu. Przybliżam właśnie ten kadr i robię screena, a następnie wysyłam go Klaudii. W okienko wiadomości wstukuję kilka słów.

Rozpoznajesz tę dziewczynę? Czy to z nią spotykała się Milena?

Przesuwam palcem nad „wyślij”. Telefon natychmiast informuje mnie o dostarczeniu obu wiadomości i ich odczytaniu, ale odpowiedź Klaudii nie nadchodzi. Przesuwam więc palcem nad ikonką zielonej słuchawki. Po trzech sygnałach połączenie zostaje odebrane.

– Nie mogę teraz rozmawiać! – Klaudia jest zdyszana. – Niech pani zadzwoni za pół godziny, a najlepiej wieczorem. Jadę teraz do pracy.

– Spójrz, proszę, na zdjęcie, które ci wysłałam. To ważne.

Ze słuchawki dobiega głośne westchnienie.

– Pani tak na serio?

– Proszę.

– No dobra. – Klaudia daje za wygraną. – Tylko moment, muszę najpierw skasować bilet.

Na chwilę gwar w słuchawce się nasila, a głos Klaudii oddala. Ale potem znów słyszę ją głośno i wyraźnie. W jej głosie pobrzmiwa podekscytowanie

i zdziwienie jednocześnie.

– Niezła pani jest. Nie wiem, jak pani do tego doszła, ale to ona. To na bank ta dupa Mileny. W tym upięciu i makijażu wygląda inaczej, tak dostojnie jakoś bardziej. Wtedy, na zapleczu, i zawsze później, miała casualowe ciuchy i była *sauté*, ale to ona.

– Jesteś pewna?

– No mówię przecież – rzuca Klaudia ze zniecierpliwieniem. – Mam pamięć do twarzy.

Dziękuję jej i prędko się rozłączam. Robię to, bo zauważam, że nieruchoma dotychczas czarna kotara wybrzusza się, a potem rozsuwa.

W majaczącym za nią czarnym korytarzu pojawia się Gabrysia ubrana nadal w ten sam kostium. Jest sama. Twarz ma bladą i zupełnie nieruchomą. Przypomina maskę. Jedynym śladem niedawnych emocji są wilgotne oczy i rozmazany tusz. Przez jedną krótką sekundę patrzymy na siebie w zupełnym milczeniu.

Potem wszystko dzieje się bardzo szybko. Z głośników dobiega ten sam ożywiony głos prowadzącego. Zapowiada kolejny występ, a jego słowom towarzyszy intro nowego podkładu muzycznego. *Show must go on*, tak mówią. Jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby tamta porażka, a raczej wisząca w powietrzu tragedia, nie istniała.

Moment zmiany Gabrysia wykorzystuje, by się ulotnić. Z zadziwiającą siłą i zwinnością przedziera się przez barierki i biegnie przez polanę.

Jej cel jest w zasięgu mojego wzroku. Tak myślę. W tamtej części polany znajduje się tylko jeden niewielki blaszany kontener częściowo schowany za niskimi iglakami. Wygląda na mobilną przebieralnię. Tam wbiega Gabrysia.

Od jej wejścia do środka minęły przynajmniej dwie minuty. Może nawet więcej. Tyle zajęło mi dotarcie na skraj polany pod prowizoryczny budynek na kółkach wciśnięty w leśną wnękę. Przez zaparowane okienko niewiele widzę. A już z pewnością nie dostrzegam znajdującej się tam dziewczyny. Zauważam włączony do gniazdka czajnik elektryczny i wypełniony skromnymi przekąskami podłużny talerz. Przez oparcie jednego z krzeseł przewieszona są dwie kolorowe bluzy. Spostrzegam, że pod sufitem zamocowana jest

przenośna lampa, która skąpo oświetla wnętrze. Widać także dwie pary zamkniętych drzwi.

Pulsująca wciąż z oddali muzyka utrudnia mi wyłapanie tego, co dzieje się wewnątrz pomieszczenia. A może nie dzieje się tam zupełnie nic? Może Gabrysia wcale nie weszła do środka, tylko przedarła się przez zarośla i opuściła teren festiwalu? Postanawiam to sprawdzić, minimalizując ewentualne ryzyko konfrontacji. Jeśli to przez cały czas była ona, to wiem, na co ją stać. Z kieszeni torebki wyciągam ukryty tam gaz pieprzowy i odbezpieczam zawleczkę. Zaciskam flakonik w dłoni.

Prowadzące do pomieszczenia drzwi są uchylone. Słyszę wydobywający się ze środka płacz. Jest cichy i odbija się echem od metalowych ścian, co utrudnia mi identyfikację miejsca, z którego dochodzi. Jestem już w środku, a wtedy konfiguracja dźwięków zupełnie się zmienia. Szloch sam zaczyna mnie prowadzić. Nie mam wątpliwości, że dobiega zza wewnętrznych drzwi, które mam po lewej stronie. Przez szparę znajdującą się pomiędzy nimi a podłogą zauważam migające światło. Całe białe. Wygląda jak rzucane przez latarkę, ale nie mogę być tego pewna.

Idąc w jego kierunku, spoglądam pobieżnie na główne pomieszczenie. Pełni funkcję skromnego pokoju wypoczynkowego. Najpewniej jest używany przez trio akrobatek. Poza przekąskami na blacie stolika zauważam otwartą torebkę, z której wystają jakieś papiery. Na stole leżą też rozsypane wsuwki, napoczęta paczka gumy do żucia i kosmetyki, a pod stolikiem plecak i trzy pary sportowych butów. W kąt tego pomieszczenia wciśnięty jest sporej wielkości przenośny piecyk gazowy.

Drzwi, do których zmierzałam, rozsuwają się pod jednym pchnięciem mojej dłoni. Rozglądam się, słysząc ich głośne kliknięcie. Nieopatrznie pozwoliłam im wrócić do poprzedniej pozycji, co oznacza, że jestem zamknięta w środku. W przebieralni, bo to niewielkie pomieszczenie okazuje się właśnie tym, nie ma nikogo. W centralnym miejscu wąskiej ławeczki leży telefon. Biorę go. Na wyświetlaczu przesuwają się jakieś monochromatyczne obrazy. To z jego głośnika wydobywa się szloch, odtwarzany w zapętleniu z YouTube'a.

Kurwa! Dałam się jej podejść!

Dokładnie ten moment prawdy zbiega się z innym dźwiękiem, mniej donośnym, ale jednak na tyle rozpoznawalnym, bym wiedziała, z czego się wydobywa. Tym bardziej że towarzyszy mu ledwo wyczuwalna, ale

charakterystyczna woń siarki. Dźwięki dochodzą z sąsiedniej kabiny. Nie mam co do tego wątpliwości. Pulsacyjne syczenie na chwilę cichnie, wyparte głośnym brzękiem, a potem dźwiękiem toczonego poza kabiną czegoś ciężkiego. Kiedy odgłos cichnie, syczenie powraca.

Mocuję się z zamkniętymi drzwiami. Pieprzona gałka nie chce puścić, moje wilgotne palce ślizgają się po metalu. Trwa to tylko kilka sekund, ale okazuje się, że nawet tyle to zbyt długo. Gdy wreszcie wydostaję się z przebieralni, jest już za późno. Uchylone dotychczas główne drzwi wejściowe są zablokowane. Stojąca do mnie bokiem siostra Nastki właśnie rygluje je od środka. Ale nie to mnie przeraża. Ani nie jej chłodne opanowanie i precyzja ruchów, ani nawet to, że brzęczała wytaczaną zza drzwi butlą z gazem. Ewidentnie odkręconą i odbezpieczoną. Teraz stoi w odległości najwyżej metra od dziewczyny. Nie zdążę do niej dobiec. Nie z tymi pokiereszowanymi nogami. Nawet gdybym była w pełni sprawna, taki ruch i tak nie miałby najmniejszego sensu. Podobnie jak używanie łatwopalnego gazu pieprzowego w miejscu takim jak to. Chowam flakonik do kieszeni spodni.

Sama jestem sobie winna.

Fuckup!

Tak naprawdę przeraża mnie jednak zupełnie inna rzecz. W kurczowo zaciśniętej dłoni dziewczyny tkwi zapalniczka. Gabrysia ostentacyjnie przesuwa ją między palcami. Chce, żebym to widziała. Chce, żebym dostrzegła potencjał destrukcji, jaka w tym tkwi. Jej twarz jest wciąż tą zastygłą w jednym grymasie maską. Ale jest jeszcze prawdziwie niebezpieczna broń – żelazna determinacja. Bardziej niż zatrucia gazem z butli, który, z tego, co mi wiadomo, nie jest toksyczny, boję się detonacji. Bo dokładnie taki zamiar ta dziewczyna mi teraz sygnalizuje. Wypełniający butlę gaz jest cięższy od powietrza i błyskawicznie gromadzi się na podłodze. Tyle o nim wiem. Wystarczy iskra, by z powierzchni ziemi zmieść nas obie i rozbić tę budę w drobny mak.

Ile siostra Nastki ma do stracenia? A co, jeśli nic?

– Co zamierzasz zrobić? – pytam. Czuję paralizujący strach. Tym razem dopadł i mnie.

Gabrysia opiera się plecami o drzwi. Nadal bawi się zapalniczką. Z butli niezmiennie wydobywa się syk.

– A co byłoby sprawiedliwe?

– Sprawiedliwość już się stała. – Słowa padające z moich ust są kłamliwe i koślawe. Obie to słyszymy.

Grymas znika z twarzy dziewczyny. Zastępuje go rozbawienie. Jest fałszywe, przerysowane, takie samo jak to, co powiedziałam przed chwilą.

– Nie gryzły cię wyrzuty sumienia? Ani razu? Nigdy? – wyrzuca z siebie jednym tchem. Jej słowa kłują mnie boleśnie.

– Nastka poniosła taką karę, na jaką zasłużyła. – To znów ja. Znów kłamię.

– Zasłużyła sobie na to, by zawisnąć na pętli, sama, w tym potwornym smrodzie, z pleśnią na ścianach? To jest ta twoja sprawiedliwość? – cedzi Gabrysia przez zaciśnięte zęby.

Kiedy kończy, zapalniczka zatrzymuje się między jej kciukiem a palcem wskazującym. Potem kciuk przyciska dwa obrotowe krzesiwa, ale ich nie pociera. Jeszcze nie. Dzieli ją od tego tylko jeden ruch.

– Poczekaj! – wołam.

– Na co? Na jaką twoją pierdoloną prawdę? Na jaką tym razem? – Gabrysia wypluwa te słowa z pogardą.

W tym szczelnie zamkniętym pomieszczeniu powietrze coraz wyraźniej cuchnie siarką. Obie wciągamy ten zapach do płuc.

– Jestem winna jedynie tego, że ją wtedy zawołałam. Zrobiłam to, żeby chronić brata.

– Wiem to – odpowiada lekceważąco. – Wiedziałam od zawsze. Byłam tam, kiedy zabrzęczała ta pieprzona puszka. Ten wasz telefon. Nocami byłam w jej łóżku pod kołdrą. Najczęściej wtedy, kiedy się bałam. Czyli prawie zawsze. Tym razem spałam w swoim pokoju, usłyszałam ten dźwięk przez uchylone drzwi, kiedy się obudziłam. Nastka nie miała o tym pojęcia. Kiedy przyszła do mnie chwilę później, udawałam, że śpię. Powiedz mi coś, czego nie wiem. To był on, twój brat? Czy ty? Które z was zabiło Filipa i zrzuciło winę na moją siostrę?

Kręcę głową stanowczo, kilkakrotnie.

– To była twoja siostra – powtarzam coś, w co nadal wierzę. – Była tam wtedy, były tam jej odciski palców. Był jej nóż. Był wyrok, który na niego wydała. Na Filipa. Zrobiła to przy mnie. A potem tylko potwierdziła przy wszystkich. Opublikowała to na blogu. Nie ja zdecydowałam o jej winie. Nie ja, tylko fakty. Fakty i twarde dowody.

Gabrysia gwałtownie odpycha się od drzwi i podchodzi do stołu. Z leżącej tam torebki wyciąga złożoną na pół kartkę. Rzuca mi ją pod nogi, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Czytaj!

Podnoszę kartkę z podłogi. Rozkładam ją. Natychmiast poznaję ten charakter pisma. Pochylone w lewą stronę litery, mocno ściśnięte. Smukłe „y” i „l” z pętelką.

Siostrzyczko, wiem, że to będziesz Ty. I za to cię przepraszam. Nie powinnam ci tego robić. Nie powinnaś mnie takiej widzieć.

Biorę głęboki wdech, ale nie przerywam. Nie przerywam, choć słyszę, że głos mi się łamie.

To możesz być tylko Ty, bo tylko Ty mnie tu odwiedzasz. Odwiedzasz i widzisz ten postępujący rozkład. Ja mam go już dosyć. Mam dosyć samej siebie, nieporadnej, właśnie takiej, jak to miejsce.

Upadłej.

Przerywam. Litery skaczą mi przed oczami. Niemal słyszę jej głos. Głos Anastazji mającej za chwilę odebrać sobie życie, inny niż ten, który zapamiętałam. Dorosły i przeraźliwie smutny.

– Czytaj! – słyszę komendę. – Czytaj, do cholery!

Prostuję list w rękach i czytam dalej.

W tamtym świecie z mojej starej głowy było mi lepiej, wiesz? Jakoś bezpieczniej. Ty nazywałaś go klatką i przekonywałaś, że tutaj świetnie dam sobie radę. Najpierw tylko w listach, tych koślawych, które kreśliłaś, kiedy wciąż byłaś dzieckiem. A potem, kiedy stawiałaś ze mną twarzą w twarz. Bo już mogłaś sama o sobie decydować.

Ale twoje słowa to było kłamstwo. Wierutne kłamstwo, chociaż chciałaś dobrze. Białe kłamstwo, chyba tak na to mówią. Chciałaś dobrze, usiłując mnie przekonać, że matka kiedyś do mnie przyjdzie albo chociaż wpuści mnie do domu. Dalej niż za próg. I choć na chwilę. Chciałaś dobrze, mówiąc, że ojciec też potrzebuje czasu, bo sporo wycierpiał, jak Wy wszyscy. Ale czas mijał. Długie miesiące, a potem lata. Odliczałam je wszystkie. Tykały mi w głowie nieprzerwanie i głośno. Lata tam, za ścianą, tygodnie tu, w agonii, a oni wciąż mieli mnie za potwora. Za potwora mieli mnie też inni,

znajomi i przypadkowi ludzie. Tak samo jednakowi. Kobiety i mężczyźni. Te twarze, złe i wykrzywione, wciąż były takie same.

Może słusznie?

Może dobrze wiedzieli?

Prawda jest taka, że dawno temu chciałam robić potworne rzeczy. Chciałam spróbować, jak to jest ją zadowolić. Wtedy myślałam, że chodziło o Pomornicę. Ale teraz wiem, że chodziło o mnie. To zawsze byłam ja. Cały ten czas chciałam zadowolić siebie. Wypełnić lukę, która sprawiłaby, że w końcu poczułabym się kompletna.

Bo to zadawanie bólu innym czyniło mnie kompletną. Wymierzanie własnej sprawiedliwości. Najpierw wystarczyły mi same myśli o tym, a potem chciałam jeszcze więcej. Zamiast sięgania tylko do wyobraźni i stałego jej kontrolowania, chciałam, by te myśli zaistniały naprawdę.

Chciałam poczuć śmierć tak bardzo, jak bardzo chciałam zdecydować o tym, kiedy przyjdzie i po kogo. Może więc gdyby mnie wtedy nie powstrzymali Julia, jej matka i cały ten pieprzony system, faktycznie sięgnęłabym po nóż? A potem po ożóg? Może ogień albo stłuczone szkło? Truciznę? Uwierz mi, byłam tego bliska. Byłam bliska zrealizowania planu z tamtej listy.

Na początek...

Pamiętasz mnie z tamtych czasów, siostrzyczko? Jak bardzo? Jeśli bardzo i wyraźnie, to widziałaś. Nie kryłam się przed tobą. Nigdy. Zawsze byłaś blisko, taka ciekawska i moja. Tylko Ty byłaś tak naprawdę moja.

Jedyna.

Tylko Ty.

Dlatego zostałaś przy mnie. Ty Jedyna. Ty Jedyna mnie tam odwiedzałaś, w Srebrzysku, kiedy już mogłaś. Odwiedzałaś mnie i tu.

...

A teraz najważniejsze.

Nie ja zabiłam Filipa.

To cały czas była prawda, choć nikt nie chciał mi wierzyć.

Kiedy przyszedłam do ogrodu, on już tam leżał.

Cały we krwi.

Nie uciekłam wtedy, nie od razu.

Nie uciekłam, bo chciałam się z nią scalić.

Tak dosłownie, w sposób czysto fizyczny.

Ze śmiercią.

I chcę, żebyś o tym wiedziała.

Że to było tylko tak.

Nie odhaczyłam żadnego z punktów z tamtej listy.

Nigdy.

Ja ją tylko przytuliłam. Tamtą śmierć.

Urywam. Urywam, bo zza okna dobiega mnie skrzywienie podeszew, coraz głośniejsze, coraz bardziej wyraźne, coraz szybsze. A potem, kiedy nagle cichnie, słyszę gwałtowne szarpnięcie za klamkę.

– Dzi, jesteś tam? – Dobiegający zza drzwi głos należy do Mileny.

Kiedy rozpoznaje go także Gabrysia, maska, za którą dotychczas się chowała, nagle spada. Jej wzrok staje się szklisty. Nie wiem, czy odpowiada za to noszony w genach obłęd, który teraz się ujawnił, czy jednak zwykłe wzruszenie, smutek albo tęsknota. Przez chwilę jestem niemal pewna, że dziewczyna potrzebuje kamień w zapalniczce. Jej kciuk unosi się i już lekko go muska.

– Odejdź. Odejdź stąd, proszę... – zwraca się Gabrysia do Mileny. W jej głosie słyszę coś nowego. Łagodność i troskę.

Ale Milena nie odchodzi. Po chwili jej twarz pojawia się w oknie. Jedynym tutaj. Przez niewielki lufcik dziewczyna musi czuć wydostający się na zewnątrz smród gazu. Na jej twarzy wypisane jest przerażenie. Przesłania dłonią nos i usta.

– Dzi, otwórz! – Stuka w szybką coraz bardziej natarczywie.

– Jeśli tego użyjesz, to zginiemy wszystkie trzy – zwracam się do Gabrysi.
– Tego chcesz? Jej też chcesz wymierzyć karę?

Wkrótce za drzwiami pojawia się więcej osób. Nie wiem, kim są. Nie wiem nawet, ile ich jest. Dwie albo trzy? Raczej nie więcej. Słyszę zwielokrotnione kroki, słyszę wokół zaniepokojone głosy.

– Dzi, otwórz! – woła Milena.

Tym razem wtóruje jej jakiś męski głos. Mówi coś o próbie sforsowania drzwi. Ale Milena go ucisza.

Gabrysia przenosi wzrok ze swojej partnerki na mnie. Niespodziewanie widzę w niej tamtą małą, opuszczoną przez siostrę dziewczynkę. Teraz zamkniętą w ciele dorosłej kobiety.

– Wiesz, za co najbardziej cię nienawidziłam? – zwraca się do mnie. – Za to, że byłeś zawsze tu, na wyciągnięcie ręki. Prowadziłaś swoje normalne życie. I nawet śmierć twojego brata nie była wystarczającą pokutą. Ty nas rozdzieliłaś. Z pełną premedytacją. Odebrałaś mi ją. A jej odebrałaś mnie. Nie miałyśmy wiele ponad siebie nawzajem. Zostałam z matką, którą od środka zżerała rozpacz. Aż zniszczyła ją całą. Nic po niej nie zostało. Nic poza pustym ciałem. A właściwie pustą skorupą – mówi z goryczą. – Zostałam z ojcem, który tak bał się opinii innych, że zaczął żyć pod ich dyktando. A żeby żyć na ich warunkach, najpierw musiał się znienawidzić. Musiał znienawidzić mnie, mamę i Nastkę, rzecz jasna. Taki był warunek. Cały łańcuch nienawiści, stale zwielokrotnianej. Ojciec karmił się nią całymi latami.

– Dzi, otwórz. – Palce Mileny wciąż stukają w szybę. Wpatruje się w zapalniczkę. Chyba dopiero teraz ją zauważyła. – Nie taki był plan. Cholera, obiecałaś mi to! Obiecałaś, że ją postraszysz i odpuścisz. Że zaczniemy na czysto!

– Odejdź! – odkrzykuje Gabrysia, ale nie spogląda w stronę swojej dziewczyny.

– Wal się! Nie zostawię cię tutaj! Nie pozwolę ci! – odpowiada Milena.

Faktycznie nie rusza się z miejsca.

Ponownie wprawiona w ruch zapalniczka przesuwa się między palcami. Gabrysia robi to jeszcze szybciej niż poprzednio. Mniej dokładnie i bardziej nerwowo.

A to nigdy nie jest dobry moment na podjęcie decyzji. Jednak ona ją podejmuje.

I dokładnie w tej samej chwili w pomieszczeniu rozlega się kolejny zgrzyt. Długi, przeciągły jęk przesuwanego metalu. Głośno brzęczy mi w uszach.

Zgrzyt, który kończy wszystko.

Zgrzyt, który do środka wpuszcza światło dzienne i świeże powietrze.

Zgrzyt przemieszczanej w drzwiach zasuw.

Oparta o ścianę Gabryśia wzdycha ciężko i odkłada zapalniczkę na stół, na sam środek stołu.

Wtedy wybiegam na zewnątrz.

Rozdział 25

Kilka godzin później

Kiedy wpadam do komisariatu, spóźniona przynajmniej o pół godziny, moja matka siedzi już pod zamkniętymi drzwiami gabinetu podinspektora Friebego. Bez makijażu wygląda fatalnie. Podchodzę do niej i siadam obok. Obie jesteśmy zaskoczone wzajemną obecnością w tym samym czasie i miejscu.

– Co ty tutaj robisz? – pytam ją.

– Nie wiem, skarbie, wezwali mnie – odpowiada i skubie mankiet białej marynarki z nadrukiem w różowe piwonie. Nie patrzy mi w oczy. – Podobno są jakieś nowe dowody w tamtej starej sprawie.

– Jakiej?

– Zamordowania Filipa – mówi. Kiedy wypowiada jego imię, wzrok ma rozbiegany i niespokojny. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz nazwała mnie swoim skarbem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wyszła na ulicę bez starannie zrobionego makijażu i ułożonej fryzury. Oznacza to, że albo wezwano ją tutaj nagle, tak jak mnie, albo musi być czymś potężnie zdenerwowana. Zgaduję, że chodzi o jedno i drugie.

– A ty? Co ty tutaj robisz? – pyta i dopiero teraz podnosi na mnie wzrok. W jej zaczerwienionych oczach i rysujących się pod nimi czarnych pierścieniach widzę zmęczenie i ciężar nieprzespanej nocy.

Co ja tutaj właściwie robię? Sama zadaję sobie to pytanie.

Z tego, co działo się tuż po tym, jak Milena wparowała do kontenera na kółkach i wyprowadziła stamtąd swoją dziewczynę, niewiele do mnie docierało. Nie zdążyłam nawet przetrwać tych wszystkich emocji ani zapamiętać twarzy ludzi wokół nas. Na pewno nie czuję ulgi, choć przecież zidentyfikowanie mojego prześladowcy powinno mi ją zapewnić. Ale historia naszych rodzin, i wpisany w nią nieodłączny tragizm, składa się ze zbyt wielu

warstw. To ludzie, których kiedyś kochałam. To wieloletnia strata i tęsknota, a one nigdy nie ulegają przedawnieniu ani nie obojętnieją.

Kilkanaście minut po tym, jak Gabrysia uwolniła nas z pułapki, na polanie zjawił się policyjny radiowóz. Jeden z funkcjonariuszy, wysoki facet z krótką i skrupulatnie przyszyżoną brodą, zarzucił mnie pytaniami. Wszystkie dotyczyły tego, co działo się w czasie występu Gabrysi na szarfach i po nim.

Dokąd ją potem zabrali? Czy była gdzieś tutaj, czy w ogóle ją dokądś przewieźli? Tego nie wiem. Nikt nie chciał mi nic powiedzieć.

Tymczasem dwie godziny temu odebrałam telefon od podinspektora Friebe, który prosił o przyspieszenie naszego dzisiejszego spotkania. Miałam stawić się w jego gabinecie w ciągu godziny, co było niewykonalne, bo kiedy dzwonił, wciąż znajdowałam się w okolicach Dębek. Nie wyruszyłam jeszcze w drogę powrotną do Gdyni. Miałam do pokonania ponad sześćdziesiąt kilometrów. To zdawało się podinspektora nie obchodzić. Pod koniec naszej rozmowy jego prośba przybrała formę kategorycznego nakazu. Lakoniczność jego słów nie pozwoliła mi wywnioskować, o co właściwie mu chodzi. Nie miałam jednak wątpliwości, że Friebe ma jakiegoś asa w rękawie. Wbrew temu, co wcześniej zakładałam, policyjna gra prawdopodobnie toczyła się równoległe do mojej własnej. Z rozmowy z nim wywnioskowałam jeszcze jedno. Ani sfotografowane przeze mnie dokumenty, ani Gabrysia nie były elementem tej konkretnej rozgrywki.

W korytarzu komendy panuje spore zamieszanie. Nieustannie krążący między pokojami funkcjonariusze raz po raz przesłaniają mi widok na drzwi gabinetu podinspektora. Niemal przegapiam moment, kiedy otwierają się na oścież.

– Pani Anna Wysocka? Dzień dobry – zwraca się Friebe do mojej matki, wita ją ze zwykłą obojętnością, a ona odpowiada mu szybkim skinieniem głowy. – Zapraszam do środka – mówi do niej. – Pani nie wchodzi z nami. Proszę tutaj poczekać – nakazuje mi, gdy mimowolnie podrywam się z krzesła.

Wracam na miejsce. Drzwi zamykają się za moją matką i przez pierwszych kilka chwil nie dociera do mnie to, co dzieje się po ich drugiej stronie. Cierpliwie czekam, tylko tyle w tej chwili mogę zrobić. Kiedy gwar na korytarzu cichnie, słyszę nieco stłumiony głos matki.

– Nie rozumiem pana pytania.

– Ależ jest bardzo proste – odzywa się Friebe. Słyszę, że jest zdeterminowany. Zapewne wierzy, że moja matka w jakiś sposób łączy się z celem, który sobie wytyczył. – Powtórzę je – ciągnie. – Czy pani mąż faktycznie utykał na lewą nogę? Z jego akt medycznych wynika, że ten problem pojawił się u niego jeszcze przed operacją wszczepienia endoprotezy. – Friebe milknie. – Ale po zabiegu doszło u pani męża do pogłębienia asymetrii kończyn dolnych. Mylę się?

– Nie. Nie myli się pan – odpowiada szybko i zdecydowanie moja mama. – Nie rozumiem jedynie, jak to, co zapisane jest w karcie medycznej mojego męża, ma się do pana pytania o przebieg wieczoru, w którym zginął ten chłopak? Mówiłam już, że nie pamiętam dokładnej godziny naszego powrotu do domu. To było szesnaście lat temu.

– Ten chłopak, jak to pani mówi, miał imię i nazwisko i był przyjacielem pani syna. – Friebe odchrząkuje. – Nazywał się Filip Kalinowski. Ale zostawmy na chwilę chronologię zdarzeń wieczoru z dwudziestego ósmego czerwca dwa tysiące szóstego, a wróćmy do utykania pani męża. Rozmawiałem z chirurgiem, który go operował, bodajże trzy lata przed zabójstwem Filipa Kalinowskiego.

– Nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Rozpoznaje to pani?

Nastaje chwila ciszy.

– To nasz ogród. I kamienna ścieżka biegnąca przez środek – odpowiada wreszcie moja mama.

– Tylko tyle pani tutaj widzi?

– Widzę też odciski buta. Czyje są? Tego chłopca, Filipa? – Mama wciąż wypowiada jego imię z pewnym oporem.

– Do tego właśnie zmierzam. Poprzedni śledczy przyjął pewne bardzo ogólne założenia. Ujmijmy to tak. – Friebe wypowiada te słowa nie tyle z politowaniem, ile z wyczuwalną ironią. – Owszem, dokonano przed laty odlewu z gipsu alabastrowego, ale użyto go jedynie do porównania wzoru spodu obuwia, które zestawiono ze wzorem na butach zabezpieczonych w trakcie śledztwa. Butów sportowych marki Nike, które należały do ofiary. Rozmiar czterdzieści cztery. Zgadzał się stopień zderzenia podeszwy, wzór odbitki, rozmiar i inne detale. Dlatego założono, że ten odcinek między tarasem pani posesji a miejscem, w którym znaleziono zwłoki, pokonał Filip

Kalinowski. Po szesnastu latach ekspert traseologii przyjrzał się odlewom ponownie. Wie pani, czym jest ichnogram?

– Dobrze pan wie, że nie mam pojęcia, o co chodzi – mówi matka zniecierpliwionym tonem. Ale poza zniecierpliwieniem wyczuwam w jej drżącym głosie coś jeszcze. Ukryty strach. Być może Friebe tego nie wyłapie, ale ja wiem. Wielokrotnie słyszałam tę charakterystyczną zmianę w jej głosie.

– Ichnogram ma w sobie coś z daktyloskopii – mówi Friebe jakoś chępliwie. Jakby to on rozdawał teraz karty, bo wie więcej niż moja mama. I dlatego ma nad nią przewagę. – Ale zamiast odcisków palców poddaje analizie indywidualne cechy człowieka na podstawie butów i chodu, badając odbity ślad. Szczegółowo bada kierunek i linie chodu, szerokość i długość kroku, kąt jego stawiania, a nawet obciążenie. W konsekwencji daje to dokładny obraz tego, kto naprawdę miał buty na sobie. Ichnogram jest w stanie dokładnie określić wzrost takiej osoby, wagę, a nawet kondycję fizyczną. I wie pani co?

Moja mama milczy. Po podłodze rozchodzi się krótkie, ale głośnie szuranie. Zgaduję, że Friebe odsuwa krzesło i na nim siada. Albo moja mama podnosi się z miejsca. Trudno to ocenić.

– Wzrost determinuje średnia długość kroku plus metr – kontynuuje Friebe. – Na tej podstawie ekspert traseologii oszacował, że osoba, która zostawiła te ślady, miała nie metr siedemdziesiąt, czyli tyle, ile mierzył Filip, ale metr osiemdziesiąt pięć. Jakiego wzrostu był pani mąż?

Szuranie powtarza się, tym razem jest jeszcze głośniejsze. Przez chwilę tłumi słowa mojej mamy.

– Chyba nie przytoczył pan tego wszystkiego, tego naukowego bełkotu, by mi wmówić, że mój mąż tamtego wieczoru miał na sobie buty tego chłopca.

– Niczego pani nie wmawiam. – Friebe niby zaprzecza, ale jest w tym wyczuwalny jakiś haczyk. – Pytam i jeszcze nie skończyłem.

– Skoro miał pan dostęp do karty medycznej mojego męża, to dobrze pan wie, że odpowiedź na to pytanie jest twierdząca. Mój mąż mierzył dokładnie tyle, metr osiemdziesiąt pięć.

– Jak już mówiłem, ichnogram pozwala określić też wagę i inne cechy charakterystyczne. – W głosie podinspektora słyhać cichy triumf. – Nacisk na podłogę wskazuje, że osoba, która zostawiła tamte ślady, ważyła sto sześćdziesiąt kilo.

– Mój mąż tyle nie ważył, jeśli chce pan wiedzieć – odpowiada moja mama.

– A czy możliwe, że ważył dziewięćdziesiąt kilo? Bo jeśli przyjąć, że ofiara ważyła o jakieś dwadzieścia kilo mniej, a takie informacje posiadam, to można by założyć, że sprawca niósł nieprzytomnego albo martwego Filipa Kalinowskiego. Miał na sobie jego buty, które następnie włożył mu na nogi. To też całkiem prosta matematyka przetworzona przez ichnogram. Tak jak dysfunkcja chodu. Utykanie. Ichnogram i to wskazał.

– Można by przyjąć? Można by założyć? – powtarza mama. W jej ustach słowa podinspektora brzmią karykaturalnie. – To już wszystko? To już koniec tych teorii?

– Nie. Ale w zasadzie faktycznie zmierzam już do finału. Kiedy sprawca to zrobił, czyli porzucił ciało na końcu alejki pod drzewem, wrócił na taras kamienną ścieżką, która biegła wzdłuż odbitych w ziemi śladów.

– Niby dlaczego miałyby to robić?

– Choćby po to, by jego droga powrotna nie była widoczna.

– Do czego pan, do cholery, zmierza? – pyta mama. Drżenie w jej głosie jest teraz wyczuwalne. Friebe też musi je słyszeć.

– Co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy? Mam grać w otwarte karty czy dalej bawimy się w podchody?

Moja matka milczy.

– To powiem tak. To nie są jedyne dowody, które świadczą o winie pani męża. Naprawdę mam je tutaj wszystkie przedstawić? Mam teraz wezwać pani córkę? Czy ona też jest w to zamieszana?

Cisza, jaka zapada po drugiej stronie drzwi, jest inna. Trwa zbyt długo. Nie wiem, co robi moja mama i dlaczego się nie odzywa.

– To nie był Marek – odzywa się wreszcie słabym głosem. Ledwie ją słyszę. – To nie on to zrobił.

– Jeśli nie on, to kto? Wie pani, prawda?

Naciskam klamkę i wpadam do środka. Mama i Friebe siedzą naprzeciwko siebie, ona wciśnięta w fotel, skulona, on wychylony zza blatu w jej stronę.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że moje wtargnięcie powstrzymało ją przed wyznaniem czegoś, co przez te wszystkie lata ją dręczyło. Ale jednak się odzywa. Mówi, patrząc na mnie. Mówi, patrząc mi prosto w oczy. A Friebe

wcale nie każe mi wyjść. Nadchodzi moment, w którym te wszystkie straszne puzzle wreszcie dają się ułożyć.

Rozdział 26

Czerwiec 2006

Stojący w pokoju Janek był cały zanurzony w spowijającym sypialnię mroku. Niewiele różnił się od innych nieruchomych cieni. Łóżko, biurko, puf, plecak, książki, odrywające się od ściany plakaty i obrazki namalowane ręką młodszej siostry.

Znów się zaczęło, pomyślał, łapiąc z trudem powietrze. Słysząc było jego świszczący oddech. Kiedy na powrót go wyregulował, co tym razem udało mu się zrobić dość szybko, wyrzwał przez okno. Na dole toczyło się nocne życie w blasku kolorowych światełek. Jego przyjaciele zanosili się śmiechem i wlewali w siebie kolejne shoty. Dłoń Wiktora przesuwiała się po udzie Alicji, władczo i zdecydowanie. Pokazywał w ten sposób, że dziewczyna jest jego własnością. Mówił coś do niej, patrząc na nią czule i przepraszająco. Wszystko wskazywało na to, że starał się ją czymś udobruchać. Zrobi to jeszcze pewnie ze sto razy, nim trafią do łóżka i będą się ze sobą kochać.

Czy jemu choć raz się to uda? Choć jeden jedyny raz? Tym właśnie się od siebie różnili. Możliwościami i danym im czasem. On za każdym razem uczestniczył w tym wszystkim odrobinę mniej, ale za to coraz bardziej zachłannie. Paradoks, którego sam nie rozumiał. Wiedział jedynie, że każda upływająca chwila coś mu odbierała, a zwłaszcza to, co najważniejsze – życie i czas. Mukowiscydoza. Tak nazywał się jego najgorszy wróg. Cały czas go sobą karmił, cały czas nosił go w sobie. Wróg, który cały czas go osłabiał.

Ostatnio ataki duszności nie tylko nasilały się coraz bardziej, przychodziły też coraz częściej. Przeszczep płuc, o którym z takim entuzjazmem mówili rodzice, jemu wydawał się tylko odległą mrzonką. Janek wielokrotnie czytał albo słyszał od kogoś, jak trudno jest znaleźć dawcę, a jeśli taki w ogóle by się znalazł, to wysoka śmiertelność po przeszczepie nie napawała optymizmem. Co drugi pacjent dożywał po takiej operacji zaledwie pięciu lat. Co piąty pacjent po zabiegu w ogóle się nie wybudzał. Nie, Janek nie był pesymistą. Dziesiątki pobytów w szpitalu nauczyły go jednego. Postrzegania pieprzonej

rzeczywistości taką, jaka była. Swoje własne hospitalizacje mnożył przez hospitalizacje innych dzieciaków, z którymi rozmawiał albo tylko się z nimi mijał. Łączyło ich jedno. Zawsze to samo. W końcu wielu umierało prawie na jego oczach. I w tym kontekście Janek był po prostu realistą. Tylko tyle.

Ale nawet z tą obciążającą go wiedzą, w jego charakter nie był wpisany strach. Ani bierność. Nie bał się śmierci tak bardzo jak tego, że kiedyś zostawi swoją siostrę. Kochał ją najbardziej na świecie, i to za nią oddałby życie, choćby i dziś. Janek nie lubił jednak patosu, zbędnych słów i ckliwych wyznań. Nigdy więc jej tego nie mówił. Chciał inaczej zapewnić jej bezpieczeństwo na wypadek, gdyby kiedyś faktycznie nie starczyło mu już sił. Czuł to zobowiązanie również wobec swoich rodziców, którzy, bądź co bądź, wydali na jego leczenie prawie cały swój majątek. Zlicytowanie ich wspólnego domu było tylko kwestią czasu. Janek był chory, ale nie był przecież głuchy na to, co się wokół niego działo. Wiedział o wiele więcej, niż się wszystkim wydawało. Nie tylko o finansowych problemach swojej rodziny. Wiedział przede wszystkim o rozpadzie małżeństwa rodziców. Nie wybaczył ojcu tego, że jest łajdakiem, który notorycznie zdradza matkę, ani jej tego, że pozwala mu sobie to robić. Ale grał w milczeniu w tę ich grę, bo sam był jej częścią. On też miał swój sekret. Dzięki niemu zamierzał wyciągnąć ich z bagna, w które na własne życzenie się wpakowali.

Deski zaskrzypiały pod jego stopami, kiedy zbliżył się do łóżka siostry, ale wyglądało na to, że gorączkująca wciąż Julia tym razem usnęła na dobre. Blask księżycowej poświaty padał na jej czoło i posklejane włosy. W tym świetle wyglądała trochę jak półprzezroczysta anielska istota nie z tego świata. Janek dotknął jej czoła i okrył ją kocem, który leżał skotłowany na podłodze. Potem wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Wychylił się przez balustradę i zauważył, że na dole, tuż przy kuchennej wyspie, ktoś się kręcił. W szybko poruszających się sylwetkach rozpoznał Filipa i Wiktora. Janek czekał na jakiś wybuch agresji, kolejny tego wieczoru, ale tym razem zanosilo się na pojednanie. A przynajmniej na jego próbę.

– Sorry, stary. Poniosło mnie – bąknął Wiktor, trochę jeszcze niechętnie. – To jak będzie? Zgoda? – Wyciągnął rękę w stronę Filipa, ale nie patrzył mu w oczy.

Filip nigdy nie nosił w sercu urazy. Tak było i tym razem. Janka czasem denerwowało, że tak łatwo wybacza. To, że bywa uległy. Zbyt łagodny. Był

nawet ciekaw, czy Filip wie, że jego własna matka puszcza się ze starym Janka. Czy wie i milczy, tak jak on sam. Ale nie było tego po nim widać.

– Pomogę ci to od razu zamontować i gitara. – Filip wyciągnął dłoń w stronę Wiktora i przyjaźnie ją uściśnął.

– Ale to za chwilę, okej? – Janek zawołał ze szczytu schodów. Zszedł do nich.

– Nie mów, że jego też zamierzasz teraz katować tą swoją nową muzą. – Wiktor zrobił kwaśną minę.

– Katować? A kto powiedział, że mu się nie spodoba? – odparł Janek.

– Nie spodoba się, bo to nie to, stary. – Wiktor aż się wzdrygnął. – Wiesz, że nie lubię wazeliny. Wałę prosto z mostu. Chodź, siedzisz w norze już cały wieczór i kombinujesz z tym swoim sprzętem. Zabawimy się lepiej trochę – dodał, biorąc w dłoń dwie szklanki z pobrzękującymi w nich kostkami lodu. Do połowy wypełnił je żubrówką, do której następnie dolał sprite'a. Wzniósł szklanki w dłoniach i stuknął jedną o drugą. Szkło głośno brzęknęło.

– Za moment – mruknął Janek. – Skoczysz ze mną na parę minut? – zwrócił się do Filipa. – Tylko jeden numer. Zmieniłem go trochę. Poprawiłem... – dodał z przekonaniem.

– No dobra. Jeden numer i wracamy. Ty też. – Filip spojrzał na Janka wymownie.

Wiktor wzruszył ramionami i wyszedł na ganek, pociągając łyk ze szklanki. Alicja już tam na niego czekała. Objął ją w pasie i wręczył jej drinka.

Choć Janek bardzo starał się usunąć ze swojego pokoju woń leków i antyseptyków, ich zapach zawsze tam był. Filip, zaintrygowany, dlaczego Janek go tutaj przyprowadził, albo nie zwracał na to uwagi, albo faktycznie nic nie czuł. Był zaciekawiony, ale i wyraźnie niespokojny. Czujnie rozglądał się wokół, ale nic się w pokoju Janka nie zmieniło.

Na jego monitorze studyjnym wyświetlały się dziesiątki kolorowych fal, diodek i suwaków. Składał się na nie DAW, mózg całej tej muzycznej operacji. Janek używał go do pracy z dźwiękiem, przede wszystkim do nagrywania, montażu, edycji, miksu i masteringu. Na biurku przed monitorem leżały jego słuchawki.

– O co chodzi, stary? Czemu się tak upierasz? – Filip spojrzał na Janka nieufnie. – Cały wieczór chodzisz jakiś struty. To o tę muzę ci chodzi? – Wskazał na uruchomiony interfejs audio.

– Po prostu chcę, żebyś tego spróbował – odparł Janek oględnie. Zachęta w jego głosie brzmiała inaczej niż zwykle, bardziej desperacko.

– Po co? Dlaczego masz takie ciśnienie?

– Testuję coś.

– Niby co? Ala i Wiktor twierdzili, że to żadna muza, tylko jakieś lipne szumy i brzdąkania. Mikołaj ściągnął słuchawki w połowie tego niby-utworu. Założę to tylko wtedy, gdy powiesz mi, o co chodzi. Stary, mówiliśmy sobie o wszystkim – dodał Filip z wyrzutem, bo kumpel wciąż uparcie milczał.

Janek odsunął krzesło i ostrożnie na nim usiadł. W dłonie wziął słuchawki. Zacisnął na nich palce, pozostawiając w skóropodobnym materiale cztery widoczne rysy. Minęła dłuższa chwila, ale materiał wciąż nie chciał się odkształcić.

– Wszystko się pierdoli. Muszę to naprawić – powiedział, zawieszając wzrok gdzieś w próżni.

– Wszystko? – Filip spojrzał na Janka pytająco.

– Jeśli stary do końca miesiąca nie spłaci raty plus zaległych odsetek, czyli prawie dwudziestu patoli, to całkiem możliwe, że stracimy dom.

– *Fuck*, to trochę kanał – przyznał Filip. – Ale niby że co? – Zmarszczył brwi. – Mówisz tak, jakbyś miał to zamiar za niego ogarnąć.

– Bo mam, a przynajmniej częściowo.

– Chcesz wypuścić na rynek numer, który od startu nie rokuje. – Filip się roześmiał. – Rzeczywiście zajebisty plan.

– To nie jest numer do słuchania w aucie ani na imprezie, ani nawet w drodze do domu. Do tego się nie nadaje – stwierdził z irytacją Janek.

Filip czuł się zdezorientowany.

– Wyjaśnij mi to wreszcie?

Janek spojrzał na przyjaciela z ukosa. Zagryzł dolną wargę.

– To zależy, komu zamierzasz o tym powiedzieć.

Filip przewrócił oczami.

– Darujmy sobie te podchody, dobra? Mów! – dodał nagle, odsunął krzesło i usiadł obok Janka. Patrzył mu w oczy długo i wyczekująco. Janek znał to spojrzenie. Wiedział, że jego przyjaciel potrafi dochować tajemnicy.

Czy dotyczyło to także tajemnicy jego własnej matki i jej romansu z jego ojcem? – Przeszło mu przez myśl.

– Słyszałeś o I-Doserach? – spytał wreszcie.

Po raz pierwszy tego wieczoru w jego oczach błysnęła iskierka podniecenia.

Filip pokręcił głową.

– A cyfrowa faza? Może to ci coś mówi?

– Dragi? – podchwycił Filip niepewnie.

Janek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Filip zorientował się, że zgadł.

– W Polsce to jeszcze świeży temat, ale w Stanach muza z wykorzystaniem dudnień binauralnych ma się dobrze – przyznał. – Rynek I-Dosera rośnie tam lawinowo. Jeśli uda mi się coś takiego tutaj zapoczątkować, przez moment mogę mieć na to monopol. Sprzedaż jednego I-Dosera to jakieś cztery, może nawet pięć dych. Mógłbym w ciągu miesiąca albo dwóch zbierać tyle hajsu, żeby wyciągnąć starych z kłopotów. Jeśli nie całkiem, to chociaż częściowo.

– Przy założeniu, że to będzie faktycznie działać. A niby jak chcesz to zrobić? – spytał Filip, spoglądając niepewnie na słuchawki.

– To rodzaj specjalnych dźwięków, które mają wywołać odmienne stany świadomości.

– Tak po prostu?

– Nic nie dzieje się tak po prostu – odparł Janek i raz jeszcze zacisnął dłonie na słuchawkach. – Tylko ja wiem, jak to robić. To sekwencje dźwięków o ściśle określonych częstotliwościach – kontynuował wyraźnie podekscytowany. – Albo, jeśli wolisz, to sekwencje podawanych do obu uszu tonów. Dzięki takim dudnieniom, a zwłaszcza bodźcom czysto pulsacyjnym, można zmienić stan naszego umysłu i ciała. Takie dudnienie pozwala zsynchronizować półkule mózgowe, a wtedy uzyskujemy stan, w którym obie półkule idealnie ze sobą współpracują.

Filip spojrział na Janka z wyraźnym dystansem.

– Na trzy osoby, na których właśnie to testowałeś, jakoś specjalnie to nie podziałało. Wiktor nie nawalił się ani po tym, ani po alko. Nadal jest cholernie trzeźwy. Ali i Mikołaja też to nie ruszyło.

– Ulepszyłem to – zapewnił Janek. – Wiem, że teraz się uda. Podrasowałem dźwięk. Do jednego ucha dotrze dźwięk o częstotliwości czterystu megaherców. W drugim uchu częstotliwość będzie zbliżona do pierwszej. Osiągnie czterysta dziesięć megaherców, ale będzie odmienna pod względem wysokości.

– Nie rozumiem. I jaki to wywoła efekt? – pytał coraz bardziej zaintrygowany Filip.

– W twojej głowie zabrzmie wtedy jeden pulsacyjny ton, a właściwie dudnienie o narastającej i opadającej amplitudzie. Mówiąc w skrócie, powinieneś odczuć puls wzrastający i opadający dziesięć razy na sekundę. Jego źródło będzie się znajdować dokładnie w twojej głowie.

– I co? Mam być twoją myszą doświadczalną?

Filip nadal przyglądał się Jankowi sceptycznie.

– To jest bezpieczne – usłyszał w odpowiedzi. – Możesz co najwyżej wejść w przyjemną fazę albo doznać halucynacji. Euforia albo wrażenie lewitowania też brzmią nieźle, co? No nie patrz tak, będzie jak po ecstazy albo LSD, tylko lepiej, bo bez chemii.

Filip odebrał od przyjaciela słuchawki. Obrócił je w dłoniach.

– Bez chemii? – Spojrzał na Janka jakoś zuchwale. – No to kicha.

– Ej... Jeśli to chodzi ci po głowie, to nie ma mowy. – Janek odsunął się na krześle. – Nie dzisiaj. Matka się w końcu zorientuje.

– A skąd wiesz, o czym mówię?

– O fentanylu. To jasne. Nie ma mowy – potwierdził.

– To ja pasuję. – Filip spochmurniał. Odłożył słuchawki na blat i odsunął od siebie.

– Nie przesadzaj – mruknął Janek. – Bez tego też będziemy mieć *fun*.

– Co ci zależy? Ostatnio było dobrze i nikt się nie połapał – namawiał Filip. – Wyluzowałeś wreszcie.

Co mi zależy? – powtórzył w myślach Janek. Pod powiekami jak na zawołanie wyświetliły się chwile z przyszłości. Tej najbliższej i tej nieco bardziej odległej. Wszystkie te, które chciał przeżyć, ale bał się, że zostaną

utracone, zanim faktycznie do nich dojdzie. Janek robił to nagminnie, wyświetlał je, wizualizował sobie, bo wtedy było trochę tak, jakby coś na zapas przeżywał. Ale był już tym wszystkim potwornie zmęczony. Chciał przeżywać. Chciał przeżywać tak, jak robią to inni. Póki jeszcze mógł.

– Dobra, ale bez przeginki. Po dwa wziewy i koniec – zdecydował.

Filip poderwał się z miejsca.

– I to rozumiem – skwitował z werwą.

Janek wyszedł z pokoju, a Filip za nim. Zatrzymali się przy drewnianej balustradzie prowadzącej do schodów. W równym rzędzie stały tam kwiaty doniczkowe matki. Łącznie kilkanaście sztuk. Spod doniczki, w której zasadzona była największa monstera, Janek wydobyl glinianą podstawkę. Odwrócił ją i wysunął kluczyk ukryty pod cienką warstewką modeliny. Przyłapał kiedyś matkę na tym, jak go tam odkładała. Był zafrapowany skrywaną przez nią tajemnicą, ale nie musiał długo szukać. Szybko dopasował kluczyk do jedynej zamkniętej w tym domu szuflady...

Kiedy obaj zeszli na dół, Janek stwierdził, że impreza rozkręciła się już na dobre. Z tarasu przeniosła się w okolice domku na drzewie. Wiktor siedział na najwyższym szczebelku drabinki. Teraz Mikołaj się na nią wdrapywał. Jego ciało chwiała się na każdym ze szczebli. Głowa Alicji na przemian pojawiała się i znikła w jednym z drewnianych okienek. Na podświetlonej lampionami dróżce stały trzy puste szklanki.

Janek przeniósł wzrok na drzwi łazienki. Wszedł do niej, zanim zdążyłby się rozmyślić. A przez moment był tego bliski. Kiedy dołączył do niego Filip, Janek szybko zamknął drzwi na zasuwkę. Sprawnym ruchem dopasował kluczyk do zamka w szafce. Przekręcił go i pociągnął za gałkę. W środku górnej szuflady znajdował się tylko jeden przedmiot – strzykawka z donosowym atomizerem, do połowy wypełniona przezroczystą cieczą i zakończona miękkim, stożkowym korkiem. Janek wziął ją ostrożnie i podał przyjacielowi.

– Dwa wziewy. Nie więcej – nakazał.

Filip włożył stożek do nosa i posłusznie przesunął tłok o jedną podziałkę, rozprowadzając płyn najpierw do jednej, a potem do drugiej dziurki w nosie. Następnie oddał strzykawkę przyjacielowi. Janek wprowadził stożek do nosa i powtórzył tę samą procedurę. Dotychczasowe napięcie nagle gdzieś się ulotniło.

Chłopcy nie spodziewali się natychmiastowego działania, wiedzieli, że będą musieli poczekać przynajmniej kwadrans. Wrócili więc na piętro i w oczekiwaniu na efekty usiedli przy biurku. Filip ponownie wziął słuchawki i obrócił je w dłoniach.

– Ile to trwa?

– Na początek spróbujmy pierwszy numer. Intro – powiedział Janek i przesunął jeden z błękitnych suwaków. Wybrał ten, który znajdował się na samym szczycie czteropoziomowej listy. – Minuta trzydzieści.

– Nie pytałem, ile trwa muza, tylko na ile twoim zdaniem zadziała ta jej faza?

– Intro powinno dać ci kopa na kilka, maksymalnie kilkanaście minut – uściślił Janek.

Filip spojrzał na mrugające przed jego oczami diodki, a potem na wypłaszczające się i rosnące na przemian ruchome parabole, w których zapisane były dźwięki. Szybko odwrócił wzrok. Zawahał się.

– Dobra, byle szybko – zdecydował wreszcie i nałożył słuchawki.

Muzyka od razu popłynęła z nich głośnym strumieniem. Każde ucho Filipa rejestrowało inne dźwięki, wszystkie o niskiej częstotliwości, które były przekształcane i łączone w jeden, przekazywany potem dalej do jego mózgu. Chłopak wpatrywał się w zmieniające się wskaźniki, ale nie odczuwał niczego, co byłoby przyjemne albo miałoby wprowadzić go w jakiś inny stan świadomości. Atakujące go zewsząd dźwięki były ostre i agresywne. Szumy, buczenie i piski wrzynały mu się w mózg. Wwiercały się w jego środek. Potem dołączyły do nich rozwarstwiająca się zgrzyty, które z kolei kąsały go coraz głębiej i coraz mocniej. Nieprzyjemne odczucie nie tylko nie mijało, ale intensyfikowało się coraz bardziej. Siedzący obok niego przyjaciel wpatrywał się w Filipa wyczekująco.

– I co? – spytał, kiedy dźwięki wreszcie ucichły.

– I nic – warknął Filip, jednym ruchem zrzucając słuchawki. Odłożył je na stół i poderwał się z krzesła, ale tamto ostrze noża wciąż poruszało się w jego głowie z taką samą siłą. Nieważne, że dźwięki ucichły. W głowie nadal się odtwarzały. Nigdy wcześniej się tak nie czuł, a już na pewno nie po fentanylu, który wypełniał go błogim ciepłem. – Idziesz czy nie? – rzucił w stronę przyjaciela. – Chodźmy na dół.

Dłonią tarł skroń na przemian po obu stronach głowy, jakby chciał zetrzeć stamtąd pulsacyjny dźwięk. Jakby z głowy chciał wydobyć nieistniejący nóż, który nadal w niej tkwił. Tkwił i nie mógł się wydostać, tak samo jak Filip nie mógł się wydostać poza samego siebie. Nadal był zamknięty w tej obcej klatce z metalu i ząbkowanego ostrza.

Dopiero wtedy Janek zauważył, że Filip jest jakiś inny. Zmiana w jego zachowaniu wcale nie była taka, jak ta spowodowana działaniem I-Doserów. Nie takiego działania Janek się spodziewał. Wciąż było zbyt wcześnie, by fentanyl zaczął działać. Początkowo Janek pomyślał nawet, że jego przyjaciel potknął się o coś i dlatego stracił równowagę. Ale nogi Filipa zahaczały jedna o drugą. Chłopak się zatoczył, próbował chwycić klamkę, ale z łomotem runął na podłogę. Leżał na wznak coraz mniej do siebie podobny. Źrenice w jego oczach gdzieś zniknęły, całkowicie przesłonięte ruchomymi białkami.

Zaczęły się drgawki. Jego ciało spięło się i wyprężyło, twarz wykrzywił zastygły szybko grymas, a jasną cerę zaalała purpura. Nigdy tak strasznie nie wyglądał. Kolor skóry powoli przechodził w coraz głębszy fiolet, coraz bardziej trupi.

Janek przykucnął i pochylił się nad Filipem. Ale on nie reagował, tylko nadal miał drgawki, wił się w konwulsjach. Nie pomogły próby cucenia przyjaciela, klepania go po policzkach ani rozpaczliwe nawoływania, które jakimś cudem nie zaalarmowały żadnego z bawiących się na dole znajomych. Ani śpiącej po drugiej stronie korytarza Julii. Jankowi wydawało się, że jest zamknięty z Filipem w jakiejś strasznej kapsule własnego umysłu, który też przyjął I-Dosera. Ale to nie umysł płatał mu figle. To była okrutna, rozgrywająca się na jego oczach rzeczywistość. Janek doskonale to rozumiał.

Chwilę później z rozchylonych ust Filipa zaczęła się sączyć piana. Na podłodze połączyła się z inną stróżką. Janek dopiero teraz ją zauważył, ta druga była jeszcze bardziej gęsta. Zauważył ją, kiedy przykucnął obok przyjaciela. Kiedy schował twarz w dłoniach. Kiedy czuł, że poległ. Kiedy chciał być na jego miejscu. Kiedy chciał zniknąć...

Z głowy Filipa powoli ciekła krew. Płynęła uparcie, aż wreszcie ugrzęzła w rowkach oddzielających klepki parkietu. Tam znieruchomiała.

Czerwień i biel. Biel i czerwień.

Oba kolory łączyły się w jedno.

W zakradającą się do pokoju śmierć.

Niosły ją ze sobą.

W pewnej chwili w pokoju Janka wszystko ucichło.

Zwłaszcza Filip. Zwłaszcza on zupełnie ucichł. Wkrótce przestał się także poruszać.

– Tato, wracaj... – Janek nie mógł wydusić z siebie nic więcej. Słowa grzęzły mu w ustach.

– Boże, znowu ma atak.

To nie ojciec odpowiedział, ale matka, której zduszony głos rozległ się gdzieś w tle. Pewnie mieli włączony tryb głośnomówiący. Na tej podstawie Janek wywnioskował, że jego rodzice wciąż byli w drodze. Prawdopodobnie nie zdążyli nawet dojechać na miejsce.

– Tato, pomóż. Pomóż Filipowi. On chyba nie żyje... Nie wiem, co robić...

Marek Wysocki nie wiedział wtedy jeszcze, co się stało pod jego nieobecność ani jak bardzo bliski prawdy był jego syn. Wyczuł jednak pewną charakterystyczną zmianę w jego głosie, która nie wynikała ze zdenerwowania. Może dla niewtajemniczonych był to ledwie wyczuwalny niuans, ale nie dla niego. Marek Wysocki po prostu wiedział. Słowa padały z ust Janka inaczej niż zwykle, bardziej bełkotliwie.

Kierowany instynktem, natychmiast zawrócił. Po drodze o wszystko syna wypytywał, powoli i szczegółowo. Wypytywał tonem rzeczowym i opanowanym, tak jak miał w zwyczaju. Tak jak wypytywał swoich pacjentów. W ciągu tych kilkudziesięciu minut w jego głowie powstawał plan. Przedstawił go żonie i synowi, po czym wymusił na nich bezwzględne podporządkowanie się jego wytycznym.

Marek Wysocki i jego żona dotarli na miejsce czterdzieści pięć minut później, pilnując, by nie złamać po drodze żadnych przepisów. W obliczu tego, co zamierzali zrobić, nie wolno im było ryzykować kontaktu z policją ani z fotoradarem. To mogłoby podważyć obmyślane naprędce alibi. Woleli oczywiście wszelkie plany opracowywać starannie, ale teraz syn nie pozostawił im wyboru. Kiedy znaleźli się w domu, żadnych imprezujących

nastolatków już nigdzie nie było. Zostawili po sobie otwartą bramę i górę śmieci, głównie puszek, papierowych kubków, pustych butelek.

Ich córka spała głębokim snem, najwyraźniej leki obniżyły jej w końcu wysoką temperaturę.

Janek był w swoim pokoju i nie odstępował na krok leżącego na podłodze ciała Filipa. Wciąż go dotykał, wciąż sprawdzał puls, którego ani na szyi, ani na nadgarstku dawno już nie było. Nigdzie. Marek Wysocki przywykł do obcowania ze śmiercią, ale widok martwego Filipa, chłopaka, którego traktował niemal jak syna, mocno nim wstrząsnął.

Zachowaj zimną krew, nakazał sobie w myślach. To samo powiedział żonie w drodze powrotnej do domu. Poprosił też, żeby jemu pozostawiła wszystkie decyzje i działania. Wiedział, że ona się temu podporządkuje, bo całe życie bała się własnego cienia.

– On nie żyje – zawyrokował, odciągając syna od zwłok. – Zostaw go – nakazał bardziej kategorycznie, kiedy Janek spróbował zbliżyć się ponownie. – Zostaw i wyjdź.

– Nie wiedziałem, że to tak na niego podziała. Te dźwięki. – Janek z trudem łapał powietrze.

Kiedy Marek odciągał go od Filipa, poczuł, że Janek jest lodowaty i blady jak zawsze, kiedy szykowała się kolejna zapaść. O eksperymentach syna z dźwiękiem Marek Wysocki dowiedział się niespełna godzinę temu. Na razie nie miał czasu tego analizować. Nie wiedział zresztą, czy na jego stan nie ma czasem wpływu jakiś lek o działaniu narkotycznym. Dwie dawki fentanylu, do których mu się przyznał, o ile faktycznie tyle przyjął, i tylko jednorazowo, nie powinny zrobić w jego organizmie wielkiego spustoszenia.

– Nie mogłeś wiedzieć, że... – starał się pohamować narastający gniew. – Filip chorował na epilepsję.

W spojrzeniu żony wciśniętej w kąt pokoju Marek Wysocki widział nie tylko przerażenie. Zauważył też zdziwienie. Pewnie zastanawiała się, skąd on to wie. Wiedział o rodzinie Kalinowskich o wiele więcej, a jego żona latami dawała mu przyzwolenie na takie dogłębne poznawanie. Marek Wysocki uznał więc teraz, że nie powinna się niczemu dziwić.

– To nie muzyka go zabiła. Prawdopodobnie wywołała atak epilepsji, jak każdy taki silny bodziec z zewnątrz. Migające światło albo taki gwałtowny dźwięk właśnie.

– Sam już nie wiem... – Janek kręcił głową bez przekonania. Cały drżał. – Filip uderzył się w głowę.

Trudno było tego nie zauważyć, pomyślał Marek Wysocki, patrząc na bordową smugę tworzącą krwawą aureolę wokół głowy Filipa.

– Przynieś mi rękawiczki – zwrócił się rzeczowo do żony.

Ale ona nie odpowiedziała nawet wtedy, kiedy powtórzył polecenie jeszcze głośniejszym głosem. Trwała w tej samej pozycji, z zaciśniętymi pięściami przysuniętymi do ust, sparaliżowana ze strachu.

Marek Wysocki wiedział, że kolejny raz musi wziąć sprawy w swoje ręce. W milczeniu poszedł więc do łazienki. Lateksowe rękawiczki trzymał w dolnej przegródce szafki. Kiedy je wyciągał, na kafelkach podłogi zauważył niewielką pigułkę. Była czerwona, miała owalny kształt i wytłoczone serduszko. Podniósł ją, zacisnął w dłoni i pobiegł do pokoju Janka.

– Co to jest? Co to za kolejne kurewstwo? Może jeszcze o czymś chcesz mi powiedzieć?! – krzyknął do syna. Jego wybuch był nieplanowany. W tych okolicznościach zupełnie nieuzasadniony. Ale miał już naprawdę dość.

– Musimy zadzwonić na pogotowie. A potem na policję – odezwała się Anna Wysocka po raz pierwszy, odkąd przekroczyła próg domu.

Podniosła się z miejsca, ale nadal bez ruchu opierała się o ścianę.

– Proszę cię, tylko żadnych idiotycznych decyzji – powiedział jej mąż.

– Ale tak trzeba. – Spojrzała na nieruchomego Filipa. Potem szybko odwróciła wzrok. Wpatrywała się w parapet, przesłaniając usta dłonią. – Marek, sam mówiłeś, że to był wypadek, że nie ma w tym winy Janka – wymamrotała.

– Poza tym martwym chłopcem mamy jeszcze narkotyki. Te eksperymentalne, którymi w komputerze zabawiał się twój syn, i te twarde, rozsypane na podłodze w naszej łazience. I leki, pochodne opioidów, które Janek wydobył z twojej szafki – warknął.

– I obecność tych ostatnich w naszym domu to moja wina, tak? – Anna Wysocka zacisnęła pięści. Jej twarz stała się purpurowa.

– No przecież nie moja. Nie ja je pochłaniałem...

– Ale to ty stale je uzupełniałeś – wycedziła oskarżycielsko. – Dbalesz o to, by nigdy mi się nie skończyły.

– A ty je brałaś. Jedną cholerną strzykawkę za drugą.

– Brałam, a ty miałeś święty spokój. Przyznaj, było ci to na rękę. Powinam brać je krótko, najwyżej dwa tygodnie po tym cholernym półpaścu. Jako lekarz doskonale o tym wiedziałeś. Wiedziałeś, a jednak ciągle mi je przynosiłeś...

– Będziemy to teraz roztrząsać? Naprawdę teraz? – syknął ze zniecierpliwieniem Marek Wysocki. – Dobrze wiesz, że te leki to nie wszystko. Dobrze wiesz, co gliny jeszcze mogą znaleźć na płycie głównej mojego komputera... – Spojrzał na żonę wymownie. – A przetrząsną cały dom, wygrzebią wszystkie brudy, jeśli tu na podłodze znajdą martwego chłopca.

Anna Wysocka wiedziała. Wiedziała o wszystkim i całymi latami milczała. Wiedziała o tym, że, aby podreperować rodzinny budżet, jej mąż sprzedaje lewe recepty. Sporadycznie, w sytuacjach podbramkowych, ale sprzedaje. Dowody tego procederu rozsiane były pewnie po całym domu. Anna Wysocka nigdy nie natrafiła na żaden, więc mogła się tylko tego domyślać. Ale była w stanie w to uwierzyć, bo jej mąż już dawno stracił nad wszystkim kontrolę, łącznie z faszzerowaniem ją opioidami, byle dała mu święty spokój. Byłe pozwoliła mu prowadzić równoległe życie, w którym całymi dniami znikał. Zresztą nie tylko do tego się ograniczał. Zdarzało mu się przekładać terminy planowanych zabiegów swoich pacjentów, oczywiście za odpowiednią opłatą. Robił to dla syna. Tak to sobie tłumaczył. Wyrzuty sumienia zawsze wtedy szybciej bladły. A w końcu zupełnie znikwały. Bywało, że Marek Wysocki zupełnie ich nie miał.

Kiedy dotknął głowy Filipa, a wreszcie kiedy starannie ją zbadał, nadal nie wiedział, co doprowadziło do jego śmierci. Nikt na tym etapie nie mógł tego stwierdzić, nawet on. Z jednakowym prawdopodobieństwem chłopca mógł zabić albo uraz czaszkowo-mózgowy, albo SUDEP, czyli nagła, niespodziewana, niezwiązana z urazem śmierć osoby chorej na padaczkę. Dalszy plan Marka Wysockiego dopasowany był do każdej z tych dwóch ewentualnych możliwości. Wciąż miał też na uwadze fentanyl, który zapewne zdążył przeniknąć do krwi Filipa.

– Janek, synu, musisz teraz być silny. Zrób to, co ustaliliśmy – zwrócił się do niego. Powiedział zwyczajnym rzeczowym tonem. Brzmiała w nim jakaś pokrętna zachęta.

– Brzydzą się wami – odpowiedział chłopak. Wzrok utkwiał w podłodze. – Brzydzą się obojgiem. – Dopiero teraz przeniósł na rodziców spojrzenie pełne

odrazy.

Marek Wysocki ściągnął zabrudzone krwią rękawiczki i ostrożnie odłożył je na regał. Oparł ręce na ramionach syna i potrząsnął nim.

– Nie masz wyjścia. Kazalesz swoim znajomym się rozejść. To stworzy wątpliwości. Zeznanie każdego z nich w tym kontekście będzie wycelowane przeciwko tobie. Każdy zada sobie pytanie, dlaczego to zrobiłeś. I tu nie chodziło wyłącznie o atak epilepsji. To byłby faktycznie tylko nieszczęśliwy wypadek. Ale wzięliście jeszcze narkotyki...

Janek potrząsnął stanowczo głową.

– To nie one go zabiły.

– Nie one, fakt. Ale z nimi wszystko się tutaj dalej łączy. Nie chodzi jedynie o ciebie, synu. Mówiłem ci już. Chodzi o mnie, moją pracę, twoją mamę i siostrę. O całą naszą rodzinę – powiedział Marek Wysocki z nieprzyjemnym błyskiem w oku.

– Nie chcę – wyszeptał chłopak. – To obrzydliwe. Wykorzystywanie twoich ciągłych przewałów jako argumentu, żebym kłamał. Nie chcę tego robić. Nie chcę być tacy jak wy.

Marek Wysocki kolejny raz potrząsnął synem, mocniej niż poprzednio. Janek wydał mu się wtedy jeszcze bardziej kruchy, jego ramiona były zapadnięte, w ciele brakowało młodzieńczego wigoru. Uspokoiło go jednak to, że nie drżał już tak, jak wcześniej. Jego oddech też względnie się wyrównał.

– Wypuść psa i obudź siostrę – nakazał. – Musisz to zrobić, musisz to zrobić dla niej. Dla Julki. Dla jej bezpieczeństwa. Zastanów się, co z nią będzie, kiedy prawda wyjdzie na jaw. Co będzie z nami wszystkimi. Poproś ją o to, o czym wcześniej rozmawialiśmy. Każ jej potem wrócić do łóżka. Trzymaj się tego prostego planu. Wtedy pojawimy się z mamą i resztą ja już się zajmę.

Kiedy jego ojciec skończył mówić, Janek w milczeniu i ze spuszczoną głową wyszedł z pokoju. Marek Wysocki nie wiedział, co tak szybko zdołało go przekonać. Nie wiedział, co zmieniło jego rozedrganego, przerażonego przed chwilą syna, który w tamtej jednej chwili jeszcze bardziej go nienawidził, w tę bezwolną kukłę. Przypuszczał jednak, że miało to związek z Julką, z tym, że Janek chciał ją ochronić.

Tylko czy na pewno milczenie Janka oznaczało, że godzi się na ten plan? Marek Wysocki musiał tego dopilnować.

– To się nie uda – odezwała się jego żona. W tej chwili Marek Wysocki nie wiedział, czego może się po niej spodziewać. Dłonie nadal miała zaciśnięte w pięści, wydawała się inna niż zwykle, jakby gotowa do skoku.

– Potrzebujemy czasu. – Podeszedł do niej i, delikatnie, ale stanowczo ściągnął jej ręce w dół. – Potrzebujemy czasu, żeby fentanyl zniknął z krwi Janka, nim dojdzie do ewentualnych badań toksykologicznych. A nie dojdzie do nich, nie w pierwszej kolejności, jeśli śledczy uznają, że ten dzieciak został zamordowany. Wtedy nie połączą naszej rodziny z fentanylem. Potrzebujemy czasu, żeby pozbyć się z domu obciążających nas wszystkich dowodów. Potrzebujemy czasu, by ukierunkować podejrzenia. Potrzebujemy jeszcze tych kilku godzin... Jeśli Janek pociągnie mnie na dno, stracę pracę. Stracimy pieniądze, dom i bezpieczeństwo. Stracimy środki, by go dalej leczyć. By w ogóle dać mu szansę na doczekanie przeszczepu...

– Twój plan nie trzyma się kupy. Nie zrzucisz winy na nastoletnią dziewczynę. Równie dobrze to ona może natychmiast zaalarmować policję – powiedziała jego żona.

I choć w jej głosie wyczuwalne było wahanie, Markowi nie podobało się to, że Anna wciąż protestuje. Chciał, żeby wreszcie się zamknęła i pozwoliła mu działać. Ale wiedział też, że teraz musi ją uspokoić, inaczej wszystko wymknie się spod kontroli.

– Nie odważy się, nie po tym, co sama zrobiła kilka godzin temu – odparł, ponownie pochylając się nad ciałem. – To mała psychopatka. Opublikowała post, w którym jawnie grozi Filipowi śmiercią. A poza tym wiemy, gdzie przechowuje nóż... Wiemy, jak się do niego dostać... Przecież Julia o wszystkim ci powiedziała...

– A do czego ci jest potrzebny jej nóż?

Marek Wysocki nie odpowiedział. Jego myśli biegły równoległe z planem odtwarzanym w głowie klatka po klatce. Wcale mu się ten plan nie podobał. Wraz z rozwojem wydarzeń miało być coraz gorzej. Kiedy w myślach dotarł do mającej się rozegrać finałowej sceny, poczuł, jak żołądek zaciska mu się w ciasny supeł. Za moment miał zamienić się w potwora. Ale był gotów na wszystko, byle ratować swoją rodzinę. Wzdrygnął się.

– Marek, co ty zamierzasz zrobić? – Głos jego żony wciąż był tak samo pełen przerażenia, piskliwy.

– Powiedziałem ci, nie wtrącaj się – warknął. – Nie wtrącaj się, jeśli nie chcesz, żeby twój własny dzieciak też umarł.

– Mój dzieciak? – jęknęła Anna. – To także twój syn.

– Dlatego właśnie robię to, co muszę.

Marek Wysocki wiedział, że ta groźba na nią podziała. Całą swoją miłość Anna Wysocka przelewała wyłącznie na swoje najstarsze dziecko. Od momentu diagnozy, a to miało miejsce jakieś czternaście lat temu, jego żona koncentrowała się tylko na Janku. Reszta świata i otaczający ją ludzie, nawet ci najbliżsi, byli dla niej jedynie cichym szumem w tle.

Marek Wysocki dziwił się, że na razie wszystko szło tak gładko. Na ostatnim etapie spodziewał się największych perturbacji, zwłaszcza że nie miał już dużo czasu. Nastka mogła pojawić się na dole w ciągu kilku minut. Miał jednak nadzieję, że nie stanie się to zbyt szybko. Ale i na to był przygotowany. W chwili, w której jego córka zeszła z domku na drzewie, stał z boku kamiennej ścieżki, ukryty za drzewem. Wsparty o pień trzymał w ramionach martwego chłopca. Na nogi wsunął jego buty. Filip był cięższy, niż się spodziewał. Ale inna sprawa, że martwe ciało zawsze wydawało się cięższe, bo było bezwładne, a przez to nieposłuszne. Z tym Marek Wysocki też się liczył. Głowa chłopca opierała się o jego pierś, nadal brocząc krwią gdzieś z okolic potylicy. Biały T-shirt Marka miał kilka rozmazanych plam. Ta największa rozlewała się na szerokim uśmiechu Barta Simpsona. Marek Wysocki uwielbiał ten kultowy serial. Wiedział, że Filip Kalinowski też był jego fanem. Kiedyś oglądali nawet razem kilka odcinków. Na wspomnienie tego ledwie pohamował falę mdłości.

Kiedy Julia oddaliła się w asyście Janka na bezpieczną odległość, Marek Wysocki z mozołem ułożył ciało chłopaka pod drzewem, w miejscu gdzie kończyła się ścieżka. Kątem oka zerknął na dom sąsiadów. Filigranowa sylwetka Nastki wciąż poruszała się za oknem na pierwszym piętrze.

To dobrze, bardzo dobrze, pomyślał.

Wciąż jeszcze miał czas. Kolejne dwa etapy wymagały od niego zdyscyplinowania, a także całkowitego znieczulenia i skupienia. Potrafił to zrobić, w swojej pracy wykorzystywał te umiejętności wielokrotnie. Tylko że inaczej niż dzisiaj robił to, by ratować życie. Teraz miał przypieczętować śmierć. W obu dłoniach poczuł nieprzyjemne mrowienie.

Miał na rękach lateksowe rękawiczki. W prawą rękę chwycił kamień, jeden z wielu okalających kwiatowy klomb, dumę jego żony. Wiedział, że nie może się zawahać. Jeśli to zrobi, umkną mu cenne sekundy, których tak naprawdę już brakuje. Pod palcami wyczuł ostrą krawędź kamienia. Zacisnął go w dłoni, wycelował, wziął zamach i uderzył. A wtedy nie było już odwrotu... Świat stał w miejscu, tak samo jak zawsze niemy i okrutny.

Uderzenie kamieniem w pękniętą już czaszkę chłopca w uszach Wysockiego zabrzmiało jak rozłupywana łupina. Dźwięk był niemal identyczny, tylko znacznie głośniejszy. Zwielokrotniony. Marek Wysocki nie spojrzał nawet na to, co z głową chłopca zrobiła siła i precyzja jego ręki dzierżącej kamień. Nie mógł. Zagryzł tylko zęby i przeszedł krok dalej, w kierunku kolejnej przeszkody. W przetyku wciąż czuł wzbierającą żółć. Wysocki wiedział, że jeśli pozwoliłby sobie na moment refleksji, jeśli dopuściłby do siebie część człowieczeństwa, które przecież w sobie miał, to nie zrobiłby już ani kroku dalej.

Ale zrobił kolejny unik. Skoncentrował się na następnym celu. Tuż za płotem znajdował się główny spreparowany dowód winy Nastki. Musiał się tylko do niego dostać. Ściągnął ze swoich stóp buty Filipa i włożył mu je.

Oczywiście nie mógł przedostać się na drugą stronę płotu między dwiema ruchomymi sztachetami, tak jak robiły to dziewczynki, jego córka i jej przyjaciółka. Płot nie był wysoki, co teoretycznie pozwalało mu pokonać go górą. Rozchylił jednak deski, żeby zachęcić Nastkę do przyjścia. Bijące od strony ogrodu światło miało stanowić dodatkową przynętę. Chciał, żeby w jego ogrodzie dziewczynka pozostawiła jak najwięcej śladów.

Cofnął się kawałek kamienną ścieżką i, nie schodząc na trawnik, przedarł przez tuje, a następnie wybrał miejsce po obu stronach porośnięte płożącymi się roślinami. Liczył, że tam odciski jego stóp nie będą widoczne. Albo że nie zwrócą niczyjej uwagi. Musiał zaryzykować. Nie miał innego wyjścia. Pergola, pod którą stał taboret, znajdowała się zresztą blisko, była tuż przy płocie. Jego sforsowanie faktycznie nastreczyło mu trochę trudności. Gdyby nie endoproteza i to piekielne utykanie, byłby zwinniejszy. Tym razem zahaczył lewą nogą o płot, przekładając ją za drewniany wspornik. Bolesnie się poharatał. Ale to go nie zatrzymało. Nie zniechęciło go nawet światło w domu sąsiadów, które po chwili zapaliło się w oknie na korytarzu, ani drugie, halogenowe, które sam uruchomił, przemieszczając się w ogrodzie.

Według tego, co Julka powiedziała dziś matce, bushcraftowy nóż znajdował się w rozsuwanej skrytce pod siedziskiem taboretu. Marek Wysocki szybko go zlokalizował, stracił jednak na tej manipulacji przynajmniej kilkanaście sekund. Szarpiąc za nieruchome wieko, kątem oka spoglądał na drzwi frontowe domu sąsiadów, ale te się jeszcze nie otworzyły. Wierzchem dłoni otarł z czoła kropelki potu. Wieko nareszcie puściło, ukazując schowany w skrytce niczym niezabezpieczony nóż. Marek Wysocki znał się na ostrzach. Na co dzień przecież nimi pracował. To, które miał przed sobą, było w stanie z łatwością przeciąć ludzką skórę i tkanki. Oceniał szybko, że bez problemu mogło uszkodzić także kość. Ostrożnie go wziął i wrócił pod płot. Adrenalina sprawiła, że tym razem przejście na drugą stronę było dużo łatwiejsze.

– Lena, jesteś tu? – usłyszał delikatny dziewczęcy głos, kiedy znalazł się już po drugiej stronie. Głos dobiegał zza płotu.

– Lena, gdzie jesteś? – usłyszał ponownie. Głos zupełnie nie pasował do dziecka. Zawsze dostrzegał w tej dziewczynce coś niepokojącego. Ale ta przyjaźń dawała radość jego wyobcowanej w szkole córce, dlatego nigdy w tę znajomość nie ingerował. On też chciał mieć swoje życie, odmienne od tego, które wiódł w swoim smutnym domu. Nie lubił tam wracać.

Czas kurczył się w zastraszającym tempie. Marek Wysocki wiedział, że w poszukiwaniu przyjaciółki córka Seretnych przejdzie zaraz na drugą stronę płotu.

– Lena, jeśli zawołałaś mnie tylko po to, żeby zrobić mnie w wała, to koniec. Rozumiesz? Po tym wszystkim to będzie koniec – usłyszał.

Teraz wyczuł w jej głosie nutkę rozpaczy. Podążył za nim szelest trącanych gałązek. Był coraz bliżej płotu. Wysocki nie mógł być tego pewien, ale wydało mu się, że usłyszał skrzypnięcie sztachety.

Trzymał nóż sztywno w prawej dłoni. Tylko w tym roku jego ręce chirurga wykonały wiele ratujących życie zabiegów. A teraz szybkim, urywanym, niewprawnym ruchem jego ręce zadawały ciosy, takie jakie mogła zadać ogarnięta ślepą furią nastolatka. Po chwili z szyi Filipa Kalinowskiego ziała już głęboka jama. Tym razem Marek Wysocki nie odwrócił w porę wzroku. Patrzył na zmasakrowane ciało chłopca, którego znał. Znał i kochał, choć nie tak bardzo jak jego matkę. Lubił światło, które ten dzieciak nosił w sobie. Światło, ambicję i empatię. Miał wszystko, mógł być dobrym, wartościowym człowiekiem.

Mógł.

Za to jego syn był słaby i fizycznie, i psychicznie, wciąż podejmował nieodpowiednie decyzje. Wysocki był o tym przekonany. Teraz i on odpowiadał za jedną z nich.

Wzbierająca w jego przetyku żółć tym razem nie dała się powstrzymać. Marek Wysocki zdążył tylko odłożyć nóż. Potem zrobił dwa kroki w stronę krzewu różanecznika. Zgiął się wpół i osunął na kolana. Wyrzucił z siebie tamtą żółć, tamtą rozpacz i tamten gniew.

Tym razem szelest gałązek rozległ się po jego stronie płotu. Uświadomił Markowi Wysockiemu, że czas się już nie kurczył, czasu po prostu nie było. Nie mógł uciec, jego oddalająca się sylwetka zwróciłaby uwagę nadchodzącej dziewczyny. W tych okolicznościach mógł zrobić tylko jedno. Wcisnął się jeszcze głębiej za krzak różanecznika. Nie poruszał się, nie reagował na palący ból uda. Niemal nie oddychał.

Obserwował.

Pojawienie się Julki w ich dawnym miejscu spotkań, w domku na drzewie, rozbudziło w Nastce nową nadzieję. Taki właśnie wpływ miała na nią przyjaciółka. Jej dobre słowo potrafiło wynieść Nastkę bardzo wysoko. Czowała się wtedy, jakby unosiła się na wyrastających jej jak na zawołanie skrzydłach. Zdrada natychmiast je podcinała, a ona spadała w otchłań. Każdy taki upadek odczuwała coraz boleśniej. Ale mimo to Nastka nie chciała zrywać ich przyjaźni. Nie chciała wciąż tylko zanurzać się w świecie, który miała w głowie, świecie natarczywych szeptów, bełkoczących ust, wykrzywionych warg, wybałuszonych oczu i rozmytych półtwarzy. Świecie zlepionym ze szerniałej organicznej masy, dokąd światło nigdy nie docierało. To ją męczyło, odbierało jej pewny grunt pod stopami. Z Julką było jej inaczej. Jakoś lepiej. Głos Julki był prawdziwy. Łagodził ten hałas, który w głowie Nastki prawie nigdy nie ustawał.

Zanim dziewczynka opuściła swój pokój, podeszła do stroju Pomornicy. Wzięła ciężki rękaw w dłoń i delikatnie go pogładziła. Łuski wykonane z perłowej masy mieniły się jej w palcach. Bliskość Pomornicy sprawiała, że dziewczynka czuła się prawdziwie niezwykła. Niezłomna. Czowała, że w tym otaczającym ją złowrogim świecie, wśród cierpkich słów, wyzwisk, pogardy i fizycznej krzywdy, miała dzięki niej pewną przewagę.

Czy mogła wykorzystać swoją siłę, by ranić? Czy mogła stać się prawdziwym przekąźnikiem tej energii z równoległego świata, w który naprawdę wierzyła? I wreszcie, czy mogła wykorzystać któreś z tych narzędzi, by zabić?

Czy mogła zabić? To ostatnie pytanie bardzo lubiła powtarzać. Lubiła się nim bawić.

Mogła. Taka nasuwała się jej odpowiedź. Nie pierwszy zresztą raz czuła to całą sobą. Ta pewność wypływała gdzieś ze środka, z głębi jej trzewi.

Nastka skierowała się do wyjścia. Była bosa. W połowie drogi do schodów zatrzymało ją znajome stęknienie. Dobiegało z pokoju siostrzyczki. Weszła do środka i pochyliła się nad wiercącym się w łóżeczku dzieckiem. Pogładziła po głowie wybudzającą się małą. Pod rączkę wetknęła jej ulubionego misia, który podczas tego niespokojnego snu musiał się jej wysunąć. Tyle wystarczyło. Gabrysia, jakby wyczuła obecność siostry, natychmiast usnęła.

Cienie towarzyszyły Nastce w całej dalszej drodze. Prowadziła ją z piętra na parter. Cienie były długie, wyjątkowo hałaśliwe i nachalne.

Ona cię wcale nie chce!

To tylko kłamliwa suka!

Wcale cię nie lubi!

Jej powinnaś to zrobić jako pierwszej!

Zasłużyła na karę!

Zrób jej to, no zrób!

Chwyć za nóż.

Zabij!

Zabij!

Zabij!

Zabij!

Zabij!

Zrób to wreszcie!

Głosy warczały coraz głośniejsze, rozpychały się wciąż w jej głowie czarnym, gęstniejącym kłębem. Ale w tej chwili Nastka nie chciała ich słuchać. Chciała tylko, żeby było jak dawniej, kiedy Julka nie patrzyła na nią jak na

nienormalną, kiedy nie zadawała jej tylu niewygodnych pytań. Frustracja Nastki brała się też stąd, że najczęściej na te pytania nie знаła odpowiedzi.

Cienie nie opuściły dziewczynki nawet wtedy, kiedy wyszła na ganek. Widziała je na fasadzie budynku, pełzające, z wijącymi się jak węże palcami. Potem zupełnie się rozpierzchły i ponownie zmaterializowały dopiero w ogrodzie. Nad pergolą, obok piaskownicy, na naprężonych do granic możliwości linkach z praniem. Robiły to, co wcześniej. Nie przestawały jej podżegać do zabójstwa.

– Lena, jesteś tu? – zawołała. Ale nikt jej nie odpowiedział. – Lena, gdzie jesteś? – ponowiła pytanie, coraz bardziej rozdrażniona Nastka. W sercu poczuła znajome ukłucie, zapowiedź kolejnej zdrady.

Co by było, gdyby naprawdę sięgnęła po nóż? Tylko żeby sprawdzić reakcję Julii? Może wtedy przyjaciółka wreszcie przestałaby jej to robić? Może wreszcie nie kazałaby jej przeżywać tych wszystkich kolejnych zdrad i rozczarowań?

Za płotem usłyszała jakiś tępy odgłos, powtórzył się kilkakrotnie. Przerywał go czyjś przyspieszony oddech. Ktoś ewidentnie był po drugiej stronie płotu, tuż za obrastającymi go półtorametrowymi tujami. Może ktoś ćwiczył albo biegał. Albo zwyczajnie na nią czekał. Uznała, że to Julia, ale towarzystwo z domu Wysockich już dawno się rozeszło.

– Lena, jeśli zawołałaś mnie tylko po to, żeby zrobić mnie w wała, to koniec. Rozumiesz? Po tym wszystkim to będzie koniec – powiedziała ostrzegawczo.

Liczyła na to, że przyjaciółka zaprzeczy. Że jej głowa wyłoni się między drewnianymi sztachetami w płocie. Że Julia uśmiechnie się i ją przeprosi.

Wtedy głos ucichł. Ucichły wszelkie odgłosy czyjejkolwiek obecności.

Tylko cienie wciąż były na swoim miejscu. Nastka miała je teraz niemal na wyciągnięcie ręki. Przelatywały nad jej głową, szybkie, natrętne i coraz bardziej złośliwe. Muskwały jej twarz, ocierały się o kostki i gołe ramiona. Kąsały. Przyprawiały ją o dreszcze.

Zabierz go! Co ci szkodzi?! Przynajmniej ją przestraszysz. Zabierz nóż! Niech wie, że z tobą się nie pogrywa. Niech wie!

To były one. Ich głosy świszczwały w szumie wzmagającego się coraz bardziej wiatru.

Co mi szkodzi? – odezwała się Nastka do swoich myśli. Podeszła do ustawionego przy palenisku taboretu i pociągnęła za dno schowka. Zdziwiło ją to, że nie było domknięte. Nigdy go tak nie zostawiała. Ale uznała, że sama musiała to przeoczyć, kiedy kilka godzin wcześniej była tutaj z Gabrysią. Nastka pociągnęła za skrytkę mocnej, a kiedy szuflada wysunęła się na pełną długość, dziewczynka zobaczyła, że noża nie ma. Skrytka była pusta. Po jej plecach po raz kolejny przebiegł zimny dreszcz.

A co mówiliśmy? Przecież mówiliśmy, że to suka! To jej sprawka. Idź do niej, no idź! Rozpraw się z nią wreszcie!

Nastka po raz pierwszy od dawna czuła w swoim ciele tak dziwny dysonans. Jej wnętrzności paliły ją od środka – żołądek, płuca, przełyk, serce, wszystkie organy całe były rozognione. I tylko lodowatym ciałem wstrząsały kolejne dreszcze. Teraz cienie były niewidoczne, ale wciąż do niej przemawiały. Przemawiały głośno i wyraźnie.

Nastka, Nastka!

Nastka, chodź!

Złowieszczo zachichotały.

Nastka, zrób to, ty tchórze! Nie bądź luzerką!

Luzerka, frajerka. O tobie mówię, śmierdzący tchórze!

Niedojda!

Znów jątrzyły.

Nastka! No weź!

Nie daj się prosić!

Zrób to!

Tym razem zmieniły ton. Z prześmiewczego przeszły w przymilny.

Zróbmy to razem!

Z jakiegoś nieznanego jej powodu Nastka podążała za nimi, za tymi rozlewającymi się w ciemności głosami. Kiedy precyzyjnie przeszła przez rozsunięte sztachety i przeszła na drugą stronę płotu, nie od razu go zobaczyła.

Najpierw jej uwagę przykuły zawieszony na ganku kolorowe lampiony z papieru. Wisały także wzdłuż kamiennej ścieżki. Światło, które rzucały, było miłe i ciepłe, ale po chwili zaczęły ją boleć oczy. Ściągnęła okulary i potarła powieki. Kiedy znów je włożyła, zobaczyła go leżącego pod drzewem.

Filip Kalinowski.

Znów odezwały się głosy.

Wyglądał, jakby tylko spał.

Filip Kalinowski nie żyje.

Głosy wyszeptały jej wprost do ucha.

Nastka szybko zorientowała się, że tym razem nie kłamały. Rozpoznała charakterystyczną wiatrówkę z logo Lakersów i sznurowadła, zawiązane na podwójną pętelkę. Rozpoznała rozwiewane przez wiatr delikatne złote włosy. Nie byli tutaj sami. Oprócz niej i Filipa Kalinowskiego była tutaj ta, którą Nastka od dawna była zafascynowana najbardziej. Śmierć.

Stopy dziewczynki brodziły w miejscami wilgotnej trawie, aż pokonały ten dzielący ją od ciała dystans. Nie więcej niż kilka metrów. Potem Nastka przykucnęła obok ciała, nie zważając na to, że ciągnie za sobą koszulę nocną, że brudzi ją krwią i ziemią. Wciągała do płuc unoszące się zapachy, w pełni świadomie i łapczywie. Oba były jednakowo silne, jednakowo nęcące. Organiczny zapach ziemi i wyrazisty, metaliczny zapach krwi. Dobrze go znała. Czuła go zawsze wtedy, kiedy brała nóż i otwierała oseski. Ale śmierć, która przyszła po człowieka, diametralnie różniła się od tej, która zabierała gryzonie. Nastka przyglądała się jej najpierw tylko przerażona i zawstydzona. Ale to się wkrótce zmieniło. Przez chwilę nie widziała w ciele Filipa swojego szkolnego kolegi. Nie widziała w nim nawet człowieka. Patrzyła na niego w ten sam sposób, w jaki przyglądała się oseskom – z zaciekawieniem, a nawet cichą podniętą, tyle że zwielokrotnioną.

Efekt tej konfrontacji był zupełnie inny niż każdy dotychczasowy. Jej ciało posłużyło się nią wtedy bez porozumienia z mózgiem. Nastka wyciągnęła w kierunku ciała dłoń. Kierowała nią ciekawość. Ciekawość i głód, który chciała zaspokoić. Następnie sięgnęła do obu ran, najpierw tej, którą dostrzegła na głowie chłopaka. W okolicach jego potylicy poczuła pękniętą

skorupę i wydobywający się z jej środka wciąż jeszcze ciepły płyn. A pod nim gęstą, galaretowatą maź. Nie czuła oporu przed tym, by jej dotknąć. Dłoń odsunęła dopiero po kilkunastu sekundach. Rana na szyi była bardziej widoczna, właściwie bardziej niż ranę przypominała głębokie rozprucie. Jej dłoń powędrowała i w tamtą stronę. Nastka rozcapierzyła palce i przesłoniła dłonią dźgnięte miejsce. I tam nie wyczuła śladu życia, choć ciało Filipa wciąż jeszcze było ciepłe. Ale życie od dawna już w nim nie tykało.

Nastka nie potrafiła jednak ocenić, ile czasu rzeczywiście upłynęło. Ale kiedy mózg znów zaczął współpracować z ciałem, a stało się to po kilku minutach, dziewczyna uzmysłowiła sobie, co robi. Wtedy przerażenie ponownie wzięło górę. Podniosła się z trawy i uciekła, nie oglądając się za siebie. Cienie wciąż do niej przylegały, ciasno oplatały jej ciało, ale tym razem milczały. Milczały złowieszczo. Nie musiały jej mówić, że popełniła błąd. W jednej chwili doskonale zdała sobie z tego sprawę.

Rozdział 27

maj 2022/wtedy

Wiktor miał z tym miejscem złe wspomnienia. Usytuowany na obrzeżach miasta motel Ranczo nie zasługiwał nawet na jedną lichą gwiazdkę. Wiktor był tutaj tylko raz, całkiem niedawno, ze swoją nowo poślubioną żoną. Gdyby nie awaryjna sytuacja, nigdy nie wybrałby tego miejsca. Poprzedni krótki pobyt tylko go w tym przekonaniu utwierdził. Brud, nieuprzejma obsługa i kradzież pieniędzy z pokoju to tylko niektóre przykłady tego, co uprzykrzyło im tamten czas. Z oczywistych przyczyn Wiktor nie wróciłby do Rancza, ale kiedy Em wybrała właśnie ten motel, nie protestował.

Em była cudownie nieskomplikowana. Cudownie wyzwolona i pociągająca. Właśnie tak Wiktor o niej myślał. Czuł się przy tym jak parszywy skurwiel, ale żądza seksu z tą dziewczyną była większa niż przyzwoite myślenie. Przy niej czuł się całkowicie nieczuły na wyrzuty sumienia. Kogoś takiego teraz potrzebował. Kogoś takiego jak Em.

To nie tak, że nie kochał żony. Chciał z nią być, chciał z nią mieć dzieci i z nią się zestarzeć. Chciał z nią robić wszystko to, co robią ze sobą względnie szczęśliwe pary, ale bał się, że z Julią nigdy nie zbuduje tej zmysłowo-zwierzęcej więzi, jaką stworzył z Em. W tym względzie Julia zawsze była zachowawcza. Zbyt zimna i przewidywalna. Julia zwierzyła mu się ze swojej trudnej relacji z ojcem, ale czasami Wiktorowi zdawało się, że wciąż jest skrzywdzoną dziewczynką, która boi się wyjść ze swojej skorupy. Chciał ją zrozumieć, ale nie potrafił, choć bardzo się starał. Miał przecież swoje naturalne potrzeby, tak o tym myślał. To też pomagało mu wyzbyć się wszelkich wyrzutów sumienia.

Oliwkowy dywanik zaprowadził Wiktora i Milenę na sam koniec wąskiego korytarza. Mężczyzna przyłożył kartę do czytnika i popchnął drzwi. Kiedy weszli do środka, najpierw Milena, a tuż za nią on, uderzył ich stęchły zapach niewietrzonego od dawna pomieszczenia. Ściany pokoju pokryte były wyjątkowo szpetną spłowiałą tapetą. Poza metalowym łóżkiem stojącym

pośrodku pokoju w trójce nie było wiele więcej. Biurko, kosz na śmieci, dwa krzesła, stolik nocny i lampka. Ale prawdę mówiąc, poza łóżkiem Wiktor i Milena nie potrzebowali niczego więcej.

– Lubię to w tobie – powiedział, gwałtownym ruchem przysuwając jej głowę do swojej piersi. Usta Mileny znalazły się na wysokości jego ramienia zakleszczającego jej głowę. Był przekonany, że tak właśnie Milena lubiła się z nim droczyć. Zawsze robili to na ostro.

– Co masz na myśli? – wyszczerzyła zęby i polizała jego skórę. Jej szorstki język wprawił ciało Wiktora w drżenie. Jego podniecenie eskalowało, kiedy poczuł na sobie jej zęby. Napierały na jego skórę, ale nie kaleczyły jej.

– Że od razu przechodzisz do rzeczy. Nie naciskasz, nie robisz mi wyrzutów, nie chcesz więcej.

– Od tego masz swoją żonkę. – Milena parsknęła śmiechem. – Mówiłam ci już, że nie należę do zazdrośnic. Po co komplikować sobie życie, skoro już z założenia jest kurewsko popaprane. Czy nie o to chodzi, aby od czasu do czasu pozwolić sobie na *fun*? Czysty, cielesny *fun*? Lubisz to, co? – Wyrwała się z objęć Wiktora. Zsunęła z ramion bawełniany plecak i odłożyła go na podłogę. Usiadła na skraju łóżka, układając nogi w szerokim rozkroku. Napięła stopy jak gotowa do wykonania piruetu, stojąca w pointach baletnica. Równocześnie podwinęła krawędź sukienki, odsłaniając krocze.

Zachęcony gestem dziewczyny, Wiktor zrobił krok do przodu. W spodniach poczuł znajome rozpierające pulsowanie. Kiedy przed nią stanął, jedną dłonią sięgnął paska, a drugą rozporka.

– Nie tak szybko. – Milena poderwała się z łóżka. – Muszę na chwilę do kibla – wyszeptała mu do ucha. Wiktor poczuł wtedy w środku jej język, jego przyjemne ciepło. Znał dobrze te gierki. Zabawę w dawanie i odbieranie, akurat wtedy, kiedy on był najbardziej podniecony. Ale mimo wszystko je lubił, bo podniecały go jeszcze bardziej.

Kiedy Milena zniknęła za drzwiami łazienki, Wiktor odłożył portfel i klucze na nocny stolik. Potem się rozebrał i zrzucił kapę z łóżka. Była tak samo szpetna jak całe to miejsce. Cuchnęła brudem i papierosami. Czekał. Minutę, dwie, trzy. Tym razem nie mógł wypełnić tego czasu podnieceniem, które mała z minuty na minutę. Myślał o Julii. O jej ciepłym oddechu, o łagodnych oczach, o dobrej energii, którą emanowała. O tym, że kładł to wszystko na jednej szali, a drugą wypełniał pożądaniem.

Milena Kos spuściła klapę toalety i na niej usiadła. Dziś wyjątkowo nie brzydziła jej otaczająca szpetota i brud widoczny gołym okiem. Kilka włosów łonowych leżało na płytkach tuż pod jej stopami, pewnie od wieków. Brudna szczotka do czyszczenia muszli klozetowej była przewrócona. Tkwiła obok wypełnionego brązowym płynem pojemnika. Milena miała ją na wyciągnięcie ręki. Z kieszeni sukni wyjęła telefon, odblokowała ekran i przełączyła go na drugą kartę. Tę, której używała tylko do komunikowania się z Gabi. W okienko wiadomości wstukała esemesa.

Bądź za godzinę. Na siedemnastą frajer musi wrócić do swojej żonki.

Przesunęła palcem nad „wyślij”. Po chwili dodała jeszcze kilka słów i, podobnie jak wcześniej, wysłała je do swojej dziewczyny.

Boszz... Jaki on jest obrzydliwy. Zwykły palant, serio! W zasadzie on sam w sobie jest jej najgorszą karą. Pieprzyć się z inną laską tuż po własnym ślubie?! Ohyda.

Milena ścisnęła telefon w dłoniach i wygięła usta z obrzydzeniem. Brzydziła się wszystkiego – tego miejsca, tej sytuacji, a najbardziej człowieka, który czekał na nią za drzwiami. Powinna już wyjść, ale chciała ją jeszcze usłyszeć. Chciała, by Gabi do niej napisała i dodała jej odwagi. I, zgodnie z jej życzeniem, kilka chwil później przyszła nowa wiadomość.

Uważaj na siebie. Kocham cię, mała.

Jesteś najlepszym, co mam. <3 <3 <3

A potem jeszcze jedna.

To nas tylko zbliży. To scali nasz związek na zawsze, zobaczysz.

Em też ją kochała. Kochała Gabi jak nikogo innego na świecie. Nikt inny nie rozumiał jej tak dobrze. Z nikim innym nigdy nie połączyła jej tak silna więź, fizyczna i emocjonalna. I, co najważniejsze, Em tak naprawdę zawdzięczała Gabrysi życie. A to zobowiązuje, Em była o tym przekonana. Nikt inny nie odwiódłby jej od próby samobójczej, kiedy, po swoim coming oucie, odtrącona przez rodzinę i przyjaciół, sięgnęła samego dna. Gabi ją wtedy znalazła. Siedziała nad szklanką whisky z garścią pigułek w zaciśniętej

dłoni. Znalazła ją i już nigdy nie zostawiła samej. Nie pozwoliła jej ponowić tamtej próby.

Z tego, a także z wielu innych powodów, Milena była skłonna zamknąć się w tym obskurnym motelowym pokoju i wcielić w życie plan, który opracowywała wspólnie z Gabrysią. Oczywiście to nie ona, tylko jej dziewczyna była jego inicjatorką. Gabi była mózgiem tej operacji, a Em jej ciałem. Dosłownie.

Każde zbliżenie z Wiktorem odzierało ją z godności, którą potem długo próbowała odbudować. Ale teraz stawka była jeszcze większa, a zadanie trudniejsze. Bała się nie tyle związanego z tym fizycznego bólu, co konsekwencji. Ale Milena była bardzo lojalna, bo kierowała się miłością do Gabi. Wstała więc z tej ohydnej klapy klozetowej, w tym ohydny motelowym kiblu, i otarła łzę, łzę utraconej godności. Potem nacisnęła kłamkę, westchnęła i wyszła. W tej chwili była już kimś zupełnie innym.

Z plecaka wydobyla skórzane kajdanki, które niedawno zamówiła w internecie, korzystając z danych widocznych na karcie kredytowej Wiktora. Wystarczyło, że sfotografowała numer karty i znajdujący się z tyłu trzycyfrowy numer kontrolny. Teraz bez ostrzeżenia chwyciła za lewy nadgarstek mężczyzny i nasunęła na niego skórzaną obejmę kajdanek. Zacisnęła ją i zapięła, wybierając pierwsze oczko. Wiktor syknął wtedy z bólu połączonego z rozkoszą. Nie znał tego zestawienia przed Em, a to właśnie przyciągało go do tej dziewczyny i jednocześnie od niej odpychało. Drugą obejmę, połączoną z pierwszą metalowym łańcuszkiem, Milena obracała w dłoni.

Wiktor przyłgął do niej niemal natychmiast. Wiedział, co Em lubi, więc pozwolił jej przejąć kontrolę. Dziś też zdziwiła go jej siła, wiedział, że mimo tak kruchej i delikatnej postury autentycznie potrafiłaby go odepchnąć, a może nawet przewrócić. Tak samo jak wcześniej Milena usiadła okrakiem na brzegu łóżka i jednym ruchem zdjęła majtki. Tą samą dłonią przesunęła tuż pod jego członkiem, na który Wiktor zdążył już naciągnąć gumkę. Zacisnęła ją na jego nagich pośladkach i przyciągnęła go do siebie.

Oboje opadli na łóżko, a ona ugięła kolana, przycisnęła je do jego bioder i unieruchomiła. Potem wbiła paznokcie w jego lewe ramię. Wbiła i przeciągnęła wzdłuż na całej jego długości, głęboko, aż do krwi. A potem szarpnęła, odginając je i ciągnąc ku górze. Zwinnym ruchem przypięła wtedy drugą obejmę kajdanek do ramy metalowego łóżka. I choć robiła to drugi raz

w życiu, można by odnieść wrażenie, że albo miała do tego dryg, albo kierowało nią prawdziwe doświadczenie. Zresztą Em, czegokolwiek się podjęła, zawsze była zaangażowana, a pod presją skuteczność jej działań zawsze była jeszcze większa.

– Kurwa, skarbie, nie przesadzasz? – jęknął Wiktor i spojrzał na swoje okropne szramy. Jego unieruchomione ramię rozdzierał ból. Był już jednak w transie, odczuwał zbyt wielką rozkosz, by oponować. Wszedł w nią wtedy, mocno i gwałtownie, a wyrzuty sumienia gdzieś nagle przysły. Ból też. Była tylko rozkosz. Teraz liczyła się tylko ona.

Chwilę później rozkosz przerwana została kolejną falą bólu. Jego bólu. Milena uniosła głowę i przyłgnęła twarzą do jego piersi. Znalazła miejsce najbardziej czułe, najbardziej delikatne. Otworzyła usta i zacisnęła na nim zęby.

– Wystarczy już! – Wolną ręką Wiktor odepchnął ją od siebie. Ale wciąż w niej był. Był i nie przestawał.

Kiedy to wszystko robiła, Milena próbowała sobie wyobrazić, że to nie jego ma nad sobą, ale swoją dziewczynę. Ale nie było jej łatwiej. Ani trochę. Wciąż czuła w sobie pulsowanie jego członka, czuła, jak się w niej rozpychał. Te i wszystkie kolejne sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

– Mocniej! – krzyknęła. – Jeszcze mocniej! – Bardziej zacisnęła nogi na jego biodrach. Odchyliła głowę, by nie mógł zobaczyć odrazy, jaka musiała malować się na jej twarzy.

Jeszcze minuta, może dwie. Wiedziała, że Wiktor dłużej nie pociągnie. Nigdy nie wytrzymał dłużej. Odliczała sekundy, nie robiąc już właściwie nic. Nie musiała. Zostawiła na sobie jego ślady. Tylko o to chodziło. Pozwoliła mu więc dokończyć. Kajdanki ściągnęła mu kilka minut później. Tym razem nie chciało jej się już bawić w żadne erotyczne gierki. Miała już to, czego chciała. Na skórzanej obejmie kajdanek powinny znajdować się ślady jego DNA. I ona zadbała już odpowiednio wcześniej, żeby zostawić tam także fragmenty swojego naskórka.

Po wszystkim leżeli obok siebie, w tej zmiętej, zszarzałej pościeli. Nie dotykali się. Milena patrzyła, jak zawieszony na ścianie zegar odmierza czas. Słyszała, jak tyka. Tik-tak, tik-tak.

– Muszę iść – odezwał się w końcu Wiktor, kiedy duża wskazówka zegara zdążyła obejść połowę tarczy.

A potem było tak jak zawsze. Nigdy o niczym nie rozmawiali. O swoich planach. O swoim życiu. Nie pytał jej o jej własne. Była dla niego dziwką, kurwą, za którą nie musiał płacić. Właśnie tak się czuła po każdym stosunku.

Wiktor zrobił to, co zwykle, wyrzucił gumkę do kosza, ubrał się i poprawił włosy.

– To do następnego – powiedział na odchodne, wsuwając portfel do kieszeni spodni. W rękę wziął klucze. – W przyszłym tygodniu?

Em podciągnęła się na łóżku, wciąż zawinięta w kołdrę. Ale zamiast na Wiktora patrzyła na kosz na śmieci, na leżący tam dowód.

– Zgadamy się. – Uniosła dłoń i mu pomachała.

– Tylko następnym razem musisz trochę spasować – stwierdził Wiktor na odchodne, spoglądając na swoje ramię. – Nie wiem, jak wytłumaczę się z tego Julce.

A potem wyszedł. Tak po prostu.

Do następnego kroku Em nie potrzebowała obecności Gabi, choć powinna się pojawić za jakiś kwadrans. Em wolała zrobić to szybko i sama, tym bardziej że odwlekanie tego tylko przyprawiało ją o dreszcze. Z pozostawionego na podłodze plecaka wydobyła butelkę. Zieloną butelkę z długą szyjką. Niedawno piły z niej z Gabi chardonnay.

Milena zrzuciła z łóżka kołdrę i objęła butelkę obiema rękami. Włożyła ją sobie między nogi i wsunęła w siebie, aż poczuła opór. Ból był mniejszy, niż się spodziewała, ale może nie dość się starała. Próbowwała więc bardziej, bardziej i mocniej, próbowała, przesuwała szyjkę butelki w przód i w tył, dopóki nie poczuła ciepła na palcach.

Krew.

Właśnie tam była.

Na butelce i na jej dłoniach.

Wyciągnęła ją powoli i usiadła na łóżku, z butelką nadal zaciśniętą w dłoniach. Czekwała kilka sekund, pozwalając zszarzałemu prześcieradłu zabarwić się czerwienią. Kilka kropli. Tyle wystarczyło. Milena bała się, czy nie będzie ich więcej. Czekwała więc jeszcze chwilę. Ale nic się nie działo. Kropli już nie przybywało.

Gabi zjawiła się pod oknem kilka minut później. Zastukała w szybę, dokładnie tak, jak wcześniej ustaliły. Milena zwlekła się z łóżka i dopiero

wtedy, kiedy próbowała pokonać trasę między łóżkiem a oknem, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest wycieńczona, jak bardzo kręci jej się w głowie. Otworzyła okno i wpuściła swoją dziewczynę do środka.

– Jak się czujesz? – Gabi spojrzała na pobrudzone krwią prześcieradło. – Nie krwawisz?

Milena tylko pokiwała głową. Nie było jej stać na nic więcej. Gabi wyczuła, jak bardzo jej dziewczyna jest skołowana. Wiedziała, że oczekiwała od niej zbyt wiele. Wiedziała, że wplątywanie jej w tę prywatną sprawę było okrutne. Ale kiedy podejmowały decyzję, w pełni świadomie, nie widziała innego rozwiązania. Od lat pałała żądzą zemsty, która w ostatnim tygodniu stała się nie do wytrzymania. Śmierć siostry, a tym bardziej jej okoliczności, zamieniły Gabi w pusty, pozbawiony uczuć wrak. Tylko żądza zemsty. Gabi wiedziała, że rany Mileny wkrótce się zasklepią, a ona odzyska spokój. Boże, musiała go odzyskać! Musiała odzyskać spokój, którego nie miała od pieprzonych szesnastu lat. Inaczej musiałyby skończyć ze sobą. A nie mogła tego zrobić. Obiecała przecież Milenie, że będą ze sobą na dobre i złe. Na zawsze.

– Będzie dobrze, mała. – Złożyła pocałunek na ustach swojej dziewczyny. – Jeszcze tylko ta ostatnia rzecz. – Z torby, którą miała ze sobą, wyciągnęła młotek. Był niewielki, zakończony gumową osłonką. – Możemy tego nie robić. Już i tak wystarczy. – Opuściła młotek i spojrzała na zakrwawione prześcieradło.

Chwilę później poczuła na nadgarstku znajome ciepło dłoni swojej dziewczyny.

– Krew to za mało. Zróbmy to i chodźmy już stąd. – W oczach Mileny pojawiły się łzy.

– Wiesz, że nie pójdziemy do domu. Nie tak po prostu. Zawleką cię na obdukcję. Nie powinnam ci była tego robić.

– Za późno. Zróbmy to. Dokończmy to, co zaczęliśmy, i zaczniemy od nowa, z dala od tego syfu – powiedziała Milena z dawno już zapomnianą werwą. Z dawno zapomnianą determinacją. – Wydostaniemy się stąd.

Gabi uniosła młotek, wzięła zamach i bez słów wyprowadziła cios. Ale nie trafił tam, gdzie celowała. Cichy świst przeciął powietrze i gwałtownie się zatrzymał.

– Nie zrobię tego – powiedziała. W jej głosie słychać było żal i skruchę.

Na trzonku młotka zacisnęły się dłonie Mileny.

– Daj mi go – zażądała.

– Nie. Wystarczy. Już tego wystarczy. – Gabi potrząsnęła kilkakrotnie głową. Nie wypuściła młotka z rąk, choć teraz to ona czuła obezwładniającą słabość.

Milena podniosła się z łóżka i bez słowa weszła do łazienki. Wciąż kręciło jej się w głowie. Odbicie w lustrze też fałszowało rzeczywistość. Zobaczyła w nim siebie, potrojoną, wręcz nierzeczywistą. Zmienioną tym, co działo się przez ostatnie tygodnie.

Poza tym obcym obliczem w lustrze zobaczyła też prysznic, a raczej przewieszoną niedbale przez szybę słuchawkę. Okazała się ciężka, kiedy Milena wzięła ją w dłoń. Nie zastanawiała się dłużej. Kierował nią instynkt. Owinęła słuchawkę w czarny worek, który chwilę wcześniej wyciągnęła z kosza na śmieci. Stojąc przy szybie prysznic, chwyciła słuchawkę w dłoń, wzięła zamach i uderzyła. W tej samej chwili w drzwiach łazienki pojawiła się Gabi, która albo nie zdążyła, albo jednak nie chciała jej powstrzymać.

Cios był celny, ale zamiast na łuku brwiowym ból pulsował nieco wyżej, na skroni.

I znów pojawiła się krew.

Krew.

– Podaj mi telefon – rozkazała Milena swojej dziewczynie, a szare płytki wirowały jej przed oczami. Wyglądały jak kalejdoskop szpetoty. – I idź już... Idź do domu... Sama to dokończę...

Gabi posłusznie wcisnęła jej w rękę telefon, a potem zniknęła w otwartym oknie, przez które wcześniej weszła. Milena doczłapała się do łóżka i wykręciła numer alarmowy. W słowach, które kolejno padały wtedy z jej ust, w tym kłamstwie, Milena utopiła całą swoją utraconą godność, cały ból. Cały strach.

Zaciśnięte w dłoni pigułki. Szklanka whisky.

Wierność, miłość, lojalność, ból. Gniew.

Wciąż je czuła.

Wciąż miała je pod skórą.

Epilog

Brama wjazdowa jest otwarta na oścież. Po asfaltowej drodze rozchodzi się wesoły pomruk rozpedzonych kół. To dzieciaki sąsiadów urządziły sobie wyścigi na hulajnogach. Gnają na oślep, szczęśliwe i roześmiane, z kieszeniami po brzegi wypchanymi cukierkami. Obstawiam, że to ich trofeum zdobyte na pewnym etapie tej gry. Mój mąż objuczony stertą pustych kartonów lawiruje między tą wesołą gromadką, chodnikowymi płytami a hydrantem.

– Co ty tutaj robisz? – pyta, kiedy wreszcie staje ze mną twarzą w twarz. Nie zostawiłam kluczy u sąsiada. Nie zniknęłam. Przestałam bać się niewygodnych konfrontacji. Jestem tu i na niego czekam.

– Uznałam, że nie powinniśmy sobie tego robić – odpowiadam.

– Tego? – podchwytuje Wiktor. Zauważam, że kartony lekko drgnęły w jego dłoniach. Jego twarz jest taka jak kiedyś, zanim na naszym podjeździe po raz pierwszy zjawiał się Friebe. Wyspana i rumiana. Zniknęły też cienie pod jego oczami. Ale nie ma na niej dawnej beztroski.

– Nie powinniśmy tak tego kończyć. – Staram się ostrożnie ważyć słowa, by nie robić mu złudnych nadziei. Ale słowa, które padają z moich ust, nie są takie, jak bym chciała. Dwuznaczne.

– Nie powinniśmy tego tak kończyć czy nie powinniśmy kończyć w ogóle? – pyta Wiktor z nadzieją. – Słyszałem o Filipie. O nowych dowodach w sprawie. Słyszałem o twojej mamie. O tym, do czego się przyznała. – Wiktor kładzie nacisk na ostatnie zdanie. – Jeśli chcesz, żebym z tobą... Może teraz potrzebujesz... Na jakiś czas... – mówi, ale nie kończy.

– Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał – wchodzę mu w słowo. – Nie chcę, żebyśmy się unikali. Nie chcę, żebyśmy mówili o sobie ani pokątnie, ani źle, nie patrząc sobie w oczy. Chcę zachować o nas te dobre wspomnienia. Naprawdę chcę. – Kiwam sugestywnie głową. – Ale...

– Ale? – pyta.

Odstawia kartony na błyszczący poranną rosą trawnik. Nasze spojrzenia znów się spotykają. Oboje jesteśmy wyraźnie zakłopotani. Swoją obecnością i sytuacją, w której tkwimy.

– Ale nie mogłabym wrócić do tego, co było. Już nie – podkreślam. – Nie mogłabym wracać do domu, do ciebie z myślą, że może i tym razem spotykasz się z kimś na boku. Czułabym niesmak, przede wszystkim do samej siebie, że wbrew sobie zostałam z tobą. To najlepszy moment, żeby to zakończyć, na etapie, kiedy nie będziemy do siebie pałać nienawiścią i odrazą.

– Jesteś pewna?

Zauważam, że Wiktor autentycznie czeka, aż zaprzeczę. W jego oczach widzę tłącą się jeszcze nadzieję. Ale nie zaprzeczam. Tym razem jestem więcej niż pewna. I dokładnie to mu komunikuję. Wiktor rusza przed siebie pierwszy, ukrywając przede mną to, co czuje.

Kiedy wchodzimy do środka, kierujemy się w dwa różne miejsca – Wiktor idzie do salonu, ja zostaję w kuchni. Ale mam na niego widok zza kuchennej wyspy. Zmywam naczynia. Robię to zbyt energicznie, by mógł uwierzyć, że akurat teraz chcę zaprowadzić w kuchni porządek. Jednak każde z nas w milczeniu robi swoje, bez niepotrzebnych prowokacji, bez niepotrzebnych złośliwości. Ja nadal udaję, że sprzątam, on pakuje swoje rzeczy do kolejnych kartonów. Godzinę później wszystkie cztery pudła są zapełnione i zaklejone grubą taśmą. Leżą jedno na drugim, tuż przy zamkniętych drzwiach, gotowe do wyniesienia. Podaję Wiktorowi szklankę wody, o którą mnie przed chwilą poprosił.

– Co z nią teraz będzie? Z twoją mamą? – pyta i pociąga łapczywy łyk.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Jej adwokat mówi, że powinno się skończyć na zawiasach. Ale na razie to tylko gdybanie. Postawiono jej zarzut poplecznictwa i udziału w zbezczeszczeniu zwłok, za co teoretycznie grożą trzy lata, zakładając, że faktycznie tylko taki zarzut zostanie jej postawiony.

– Tylko taki? Nie rozumiem – zdziwił się Wiktor.

– Prokurator podobno zlecił już ekshumację szczątków Filipa. Mają przeprowadzić ponowną autopsję. Ale po tylu latach zapewne nie uda się jednoznacznie stwierdzić, że do jego śmierci bezpośrednio doprowadził atak epilepsji. A wtedy mogą podważyć zeznania mamy i uwzględnić zupełnie inną wersję.

– Zabójstwa?

Kiwam na potwierdzenie głową.

– Ślady, jakie zostawił mój ojciec, w obliczu tych nowych dowodów są podobno niepodważalne.

– Co wtedy? – pyta Wiktor. – Co, jeśli śledztwo skręci w tę stronę?

– Na razie nie chcę o tym myśleć. Nie chcę tego zakładać.

– A ona?

– Jaka ona?

Zalega między nami niewygodna cisza. Wiem, kto się kryje w tym niewypowiedzianym głośno słowie.

– Milena. – Wiktor w końcu je wymawia. Robi to z niesmakiem.

– Niewiele o niej wiem – mówię. – Niewiele więcej niż ty, bo zakładam, że jesteś w stałym kontakcie z Wróblem.

– Nie rozmawiałem z nim od kilku dni. Mogę być niedoinformowany – wyjaśnia Wiktor i patrzy na mnie wyczekująco.

– Postawiono jej zarzut fałszywego zawiadomienia o przestępstwie. Z tego, co słyszałam, i to od Wróbla właśnie, przyznała się, że tamtego wieczoru, kiedy wyszedłeś z motelu, okaleczyła się z pomocą swojej partnerki. Jest nią Gabrysia, siostra Nastki, o czym oboje dobrze wiemy. To ona była inicjatorką tych wszystkich działań, począwszy od sfigowanego gwałtu poprzez każdą z prób napaści na mnie. I jej zostały postawione odpowiednie zarzuty, wtargnięcia i napaści właśnie. Nie mam pojęcia, gdzie ta dziewczyna teraz jest. Ani ona, ani jej rodzina. A byłabym spokojniejsza, wiedząc, że jest chociażby pod jakimś stałym nadzorem...

– Boisz się, że może tu wrócić? – Wiktor spogląda na ogród za oknem. Gałęzie wierzyby szamoczą się na wietrze.

– Nie – odpowiadam. – Gdyby chciała zrobić krzywdę, sobie albo mnie, zrobiłaby to wtedy na festiwalu. Ale nie wiem, co siedzi w jej głowie. Co może siedzieć w głowie kogoś, kto znalazł ciało siostry, przeciął linę, na której wisiała, przeniósł siostrę i odwiedzał ją przez kilka kolejnych dni, patrząc na postępujący rozkład... Co ta dziewczyna musiała wtedy czuć?

Po tych słowach milczymy oboje, pewnie każde z nas podświadomie biegnie myślami do tamtych strasznych zdarzeń w Ostoi. Wkrótce wątki w naszej rozmowie zupełnie się urywają. Wiem, że oboje chcielibyśmy

wiedzieć więcej, ale zadowolamy się z Wiktozem bezpieczną ciszą. Kilka minut później odprowadzam go do bramy. Kiedy znika, on i te zamknięte w pudłach skrawki naszych wspólnych wspomnień, zamykam bramę na ciężką zasuwę. Wracam do ogrodu i siadam na szczeblu drabiny, która prowadzi do domku na drzewie. Zadzieram głowę i raz jeszcze mu się przyglądam. Zbutwiały, niekonserwowany od lat szkielet już dawno powinien stamtąd zniknąć. Bo wspomnienie tamtej czerwcowej nocy, z powodu jego istnienia, jest wciąż żywe. Rozebranie domku będzie pierwszą rzeczą, którą się tutaj zajmę. Już to postanowiłam.

Ostatnio nabyta wiedza nie przywróciła życia żadnej z bliskich mi osób. Nie przywróciła życia mojemu ojcu, którego latami musiały gnębić wyrzuty sumienia. Nie wierzę, że potrafił tak po prostu zapomnieć widok okaleczonego ciała chłopca, którego darzył czułością. Ciało okaleczonego jego własną ręką, która, jeśli wierzyć mojej mamie, ani razu nie zadrżała.

Wiedza nie przywróciła też życia mojemu bratu, którego stan zdrowia gwałtownie pogorszył się po śmierci Filipa. Ani Nastce, która nigdy nie wróciła do normalnego życia.

Czasem zastanawiam się, czy gdyby nie została zamknięta w psychiatryku, to faktycznie sama sięgnęłaby po nóż. I kto padłby jej pierwszą ofiarą? Czy to wszystko było tylko kwestią czasu, a powstrzymanie jej w ten przypadkowy sposób miało jakiś sens? Czy ochroniło kogoś, kogo w końcu i tak by skrzywdziła?

Nigdy się już tego nie dowiem.

Czy ta wiedza zapewniła mi spokój? Ukojenie? Nie. Ale staram się budować nowe życie. Nieważne, że robię to mozolnie, bo i tak posuwam się do przodu, choć w swoim własnym tempie. A przede wszystkim staram się uwolnić od przeszłości. Nie chcę dłużej być jej więźniem. Całe życie nim byłam. Przez ostatnie lata bardziej niż w świecie żywych poruszałam się w świecie duchów moich bliskich i tajemnic, które zabrali ze sobą do grobu, a one całymi latami podświadomie oddziaływały na mnie, niszcząc mnie od środka.

Po raz pierwszy od dawna skłaniam się więc ku życiu – namacalnemu, fizycznemu, pełnemu zapachów i pulsującej w żyłach krwi, pojawiających się w nim znajomych, ale także i nieznajomych nowych twarzy. Mam nadzieję, że któreś zostaną w moim życiu na dłużej. Na stałe. I że ja też znajdę spokój, tutaj, w tym domu. Tym razem już na dobre.

KONIEC

Podziękowania

Każda historia zaczyna się od przebłysku. Bywa, że jest on czymś na kształt gwałtownego samozapłonu w głowie. Jednak częściej stoi za nim impuls, który przychodzi do mnie wraz z jakąś zasłyszaną historią. Tym razem takim zaczątkiem *Pomornicy* były autentyczne zdarzenia, do których doszło kilkanaście lat temu w stanie Wisconsin, w USA. Dwie nastoletnie wtedy dziewczynki, Morgan i Anissa, usiłowały zamordować rówieśniczkę, powołując się na zobowiązania, jakie miały ponoć wobec pewnego demonicznego bytu. Zainspirował mnie jednak nie tyle sam przebieg tamtych zdarzeń, co tło społeczne tej historii, a także chęć rozgryzienia tego, co mogło dziać się w ich głowach.

Każda moja książka to także ludzie, którzy na mnie oddziałują, i piękne, wartościowe relacje, jakie wzajemnie budujemy, a także nieoceniona merytoryczna pomoc. Bez niej książka nie zostałaby osadzona na solidnym fundamencie.

Dziękuję:

– Tobie, Mamusiu, za to, w co jestem dzięki Tobie wyposażona, za wrażliwość, którą mam, ten sakramencki upór i moją niepokorną naturę, które czasem pakują mnie w tarapaty, ale generalnie pchają do przodu :). Jest też milion innych rzeczy, pewnych subtelności, które mam od Ciebie, a które składają się na taką a nie inną „mnie”. Dziękuję też za to, że zawsze, jak nikt inny, wspierałaś mnie na mojej własnej ścieżce.

PS Strasznie za Tobą tęsknię.

– Tobie, Kasiu, moja siostró półkrwi, za to, że byłyśmy i jesteśmy ze sobą w każdym rozdziale życia – w tych najpiękniejszych chwilach i w tych najtrudniejszych. Wiem, że to, co nas łączy, jest na zawsze, najbardziej czyste i prawdziwie.

– Tobie, Marysiu, za to, że jesteś najlepszą sąsiadką, jaką mogłabym mieć. Dziękuję za życzliwość i za to, że przeżywasz ze mną rozterki i radości,

a także za to, że tonujesz te moje „twórcze loty”, które nader często odrywają mnie od powierzchni ziemi :D.

– Tobie, Megi, za nasz wspólny jungowski korzeń. *NF rulezzz!* Za nasze porozumienie bez słów, twórczą wymianę myśli, wzajemne wsparcie, ale też za całą masę niezapomnianych wypadów! I jaram się ogromnie na to, co twórczo kombinujemy razem w tym roku. Ale o tym jeszcze (chyba) cicho sza! :)

– Tobie, Asiu, za naszą przyjaźń i za Twoje nieustające wsparcie, a także wiele ważnych wspólnych chwil, jakie spędziłyśmy w zeszłym roku :).

– Moim Kuzynkom – Magdzie, Ani, Agnieszce i Marcie – za silną więź, która łączy nas od zawsze, za wspólne wspomnienia i radości. Dobrze jest Was mieć w swoim życiu!

Szczególne podziękowania ślę:

– Zofii Urban, za cierpliwość i rozmowy, które przeprowadziły mnie przez meandry zagadnień prawnych i pozwoliły mi na stosowne interpretacje zawłości kodeksu karnego.

– Beacie Kępie, za pasję i kreatywność jakich mało! Za ich sprawą w formie audiowizualnej obudziłyśmy do życia nie tylko Laurę Wagner, ale i całą galerię pomornicowych postaci. Dziękuję za głos i serce, które im tak pięknie oddałaś.

– Agacie Karwat, za poświęcony mi czas, za serdeczność i zaznajomienie mnie z tajemnicami oraz technikami tańca akrobatycznego aerial dance.

– Tomkowi Majewskiemu, za artyzm i za nadanie tej historii najpiękniejszej wizualnej oprawy.

– Mojej Redaktorce, pani Małgosi Burakiewicz, za lata wyjątkowej współpracy, za naszą więź opartą na zrozumieniu i ogromnej sympatii. Nigdy nie czułam się tylko autorem, którego Pani odgórnie przydzielono. Bardzo cenię sobie wszystko, co zawiązało się ponad to, co formalne i konieczne.

– Pani Małgosi Czarzasty, za wsparcie, za wiarę we mnie i w kolejne mroczne historie, które tkam.

I Tobie, Czytelniku, za czas, jaki poświęcasz na to, by zanurzyć się w Przydrygowym świecie. A także za nasze spotkania „twarzą w twarz”, które wreszcie miały szansę zaistnieć w minionym roku. Ogromnie wyczekuję

kolejnych – to one doładowują we mnie „twórczy, mroczny pazur”. A bez niego ani rusz!

Do zobaczenia i przeczytania <3.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz